



XII. II
Dzieła

23
FRANCISZKA

KARPIŃSKIEGO

Wierszem i Prozą

Nowe i zupełne Wydanie.

Tom III.

W WROCŁAWIU

U WILHELMA BOGUMIŁA KORNA

1826.

BIBLIOTH
Seminarii Diocesis, Cracov.



884-1

4991's

14702

5

884-1 + 884-3

Akc VI ⁴³⁰
Er 2 / 67 / C

O G R O D Y
P O E M A.

Przez L'ABBE DELILLE

NAPISANE.

z Francuzkiego przetłumaczone.

Roku 1783.

DEDYKACYA.

*Ty, która lubisz zarabiać na chwałę,
A zawstydzasz się, gdy cię kto pochwali;
Twoją robotą jest to dzieło małe,
Choć i my razem pracować się zdali.*

*Jeśli powszechność (jak nadzieja tuszy),
W tém tłumaczeniu smak jaki uczuje;
Tam gdzie Czytelnik wyrazem się wzruszy,
Tobie niech za tę słodycz podziękuje.*

*Jeszcze słów wdziękiem, któreś wymawiała,
Zdaje się, że brzmi powietrze okolne.
Jeszcze czuć słodycz, którąś z pióra lała,
Układając to tłumaczenie wspólne.*

*A gdy tak mowa moja się wmięszala
Między słów twoich nayszczętsze składy,
Kradnę twą chwałę; o co gdyś niedbała,
Łatwiej mi przyszło dokazać téy zdrady.*

*Niedbasz o chwałę, ani mi się zdało,
Przypisywaniem książki by cię kłócić:
Každy dar, chwała, dla ciebie jest małą.
Gdzież się mam z memi Ogrody obrócić?*

- *Ty lubisz wiosnę, boście tak podobne:
Obom wam kwitną nayswieższe jagody.
Obom wdziek, uśmiech, postaci nadobne!
Tobie więc, Wiosno, poświęcam Ogrody.*
-

DO CZYTELNIKA.

LABBE DELILLE, z Akademii Francuzkiej, we czterech Pieśniach to małe Poema o Ogrodach napisawszy, nie losem jakim, ale prawdziwą pięknością aż do téj miary podobał się, że powtórzone w jednym roku po tyle razy w samym Paryżu edycye, nie mogą dostarczyć żądaniu powszechnemu. Narod tak oświecony, jak jest Francuzki, kiedy się o książkę jaką z taką gorącością ubiega, jest to zapewne cechą piękności dzieła. Jakoż nie można nadto pochwalać szczęśliwych myśli Autora, opisywania rzeczy najpiękniejszego, i tych czułych na tyłu mieyscach wyrazów, któremi zimne to z siebie dzieło (jak koniecznie bydz musi książka każda, sztuki jakiej regułę przepisująca), ustawicznym prawie do słodkiego myśli swojéj zapędu zwrotem, ożywia. Szczupłość czasu, który mi zbywał, i zimność mieysc (jak nazywają) dydaktycznych, przywiodły mnie, że prozą wszystko to przetłumaczone,

kazać. Nie sądź: ażeby tylko dla czerzyć zabawy twojej było napisane. Naucz się w niem jedni gustu prawdziwego zakładania ogrodów swoich; mieć będą inși piękne wymowy, na tylu miejscach, przykłady. Na jakiegokolwiek z tych dwóch rodzajów Czytelnika książka ta napadnie, będzie się z piękności ogrodów, albo z wymowy przekonywał, że co tylko w nich do naturalności nakłonione jest, już tém samem piękne będzie, a téy piękności stałe zabezpieczenie u wszystkich ludzi i wieków znajdzie.

OGRODY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Słodka wiosna powraca! i jéy dzielna siła
 Ptactwo, kwiaty, Zefiry, głos mój odżywiła.
 Do jakiegoż nócenia nawiążę me strony?
 Ach! gdy ziemia zbywa się załoby sprzykrzonéy,
 Gdy pola, lasy, góry, w około młodnieją,
 Wszystko śmieje się szczęściem, miłością, nadzieją;
 Niech kto pali kadzidło imionom wieczystym,
 Niech przewozi zwycięstwo na wozie ognistym,
 Atreusza maże się krwawemi niezgody;
 Flora się uśmiechnęła: ja śpiewam Ogrody.
 Powiem, jak sztuka wsparta mieysca położeniem,
 Rządzi wodą, kwiatami, murawą i cieniem.
 Ty więc, co godząc wdzięki i moc wyrażenia,
 Umiesz pieśni uczący ożywić nudzenia;
 Muzo! coś Lukrecego poratować chciała,
 Gdyś twardych jego nauk ostrość ugładzała:
 Wszak nie krzywdząc języka Bogów, z twéy posługi;
 Rywal jego opiewał pracowite pługi.
 Przybądź, i chciey przystroić rzecz tę większéy wagi,
 Tę, która warta była Wirgila przewagi.

Nam tu dalekich ozdób szukać nie należy,
Przybądź! me czoło tylko ma zdobić kwiat świeży,
I jak chmura swą barwę ma z promienia daru,
Język mój wdziękiem mego zaprawię zamiaru.
Niewinna ta zabawa, którą wiersz mój głosi,
Do pierwszych się dni świata starego odnosi.
Gdy człowiek dziką ziemię w posłuszeństwo wprowadził,
Jakiegoś się jéy kąta wykształceniem bawił;
Blisko pod swoim okiem, co praw jego strzegły,
Drzewa mu ulubione, i kwiaty się zbiegły.
Że prosty Alcynous dawał za przykłady,
W starożytnéj Grecyi nikczemne swe sady:
W ten czas, kiedy nierównie większemi zachody,
Babilon na powietrzu zawiesza ogrody!
Gdy Rzym światu całemu rozdawał kaydany,
Zwycięzca szedł w swój ogrod łupami przybrany;
Tam składał gniew wojenny, tam składał i chwały.
Dawniej, ogrody Mędrcom schronienia dawały,
Gdzie z twarzą śmiejącą się ludzi nauczają.
I gdy grunt Elizeyski nieba cnocie dają,
Czyż tam były pałace? Gay to był zielony,
Gay, kwiatem, strumykami, polem, napelniony.
Mieszkanie próżnowania, i najsłodszy chwili,
Gdzie zmieszaną z pokojem długim rokosz pili.

Zacniemy teraz (bo już czas jest) bieg, który
sobie założyłem: Filip mnie do tego zachęca, i
rzecz sama wzywa.

Ażebyś niewinne w ich wdziękach pola przyozdobił, nie znieważay natury, a jeszcze tak wieląłożonemi kosztami. Ta szlachetna zabawa potrzebuje mistrza w sztuce, któryby myślił, i więcej rozumu, niżeli pieniędzyłożył; przez coby dzieło mniej przepychu, niżeli wyśmienitości, mniej ozdób, niżeli piękności miało. Ogród w oczach moich, jest to duży obraz; bądź więc malarzem. Pola, ich niezliczone odmiany, rzut światła różny, zebrane zaciemnienie, pory następujące ustawicznie, bieg dnia i roku, łąki kwiatami przystrojone, uśmiechające się wzgórki, zielona murawa, drzewa, skały, wody i kwiaty, oto są twoje pędzle, płótna malarskie i kolory. Natura jest w mocy twojej, i twoja ręka płodna może tworzyć świata żywioły.

Ale niżeli zaczniesz Ogród zasadzać, niżeli ziemię motyką nieroztropnie poruszysz, chcąc dać piękny kształt ogrodowi twojemu; uważay, poznaway, i naśladoway naturę. Czyliżes nie zdybywał często na ustroniach, gdzie nie tak ludzie zachodzą, te położenia miejsca szczęśliwe, które zatrzymały krok twój, i na których obraz najpiękniejszy, w zamyslenie się i w zadumienie wpadałeś? Naśladoway ile możliwości w ogrodzie twoim, co tam widziałes najpiękniejszego, i z ogrodu natury, naucz się przystrajać ogrody twoje. Poglądaj nadto na miejsca, które gust doskonalszy przyozdobił. Z pomiędzy takich piękności, wybieray jeszcze. W

swoim przepychu okazałym zadziwiał się nad ogrodem *Chantilli*, który bogatyrowie, i wicki jeden po drugim przystrajały; *Beloeil*, razem wspaniały i wiejski a), *Chanteloup* pyszny jeszcze wygnaniem pana swojego; a będą ci się kolejną podobały. Tak jak pączek jaki czerstwy z bojaźnią uprzedzający porę wiosny, piękny ogród *Tivoli* b) kształtem swoim nowym, stał się najpierwszym wzorem we Francyi. *Gracye* uśmiechając się *Montreuil* zakładały c). *Maupertuis* d), *le Dessert*, *Rincy*, *Timours*, *Anteuil*, jakże po ścieżkach waszych z słodyczą błąkać się trzeba! Cień wielkiego Henryka, jeszcze lubi i szanuje Nawara. Podobny do swego szanownego, i młodego tego bostwa ogród *Tranon* e), wdzięki połączył ze wspaniałością, dla niego on i pięknym jest, i przez niego samego przyozdobionym. A ty! najsłodsze z Xiążąt wierne schronienie, Ogrodzie! którego nazwisko nadto skromne stało się

a) *Beloeil* dom i ogród Xiążęcia *de Ligne*.

b) Pan *Boutin* w ogrodzie *Tivoli* dał najpierwszy wzor ogrodów nieregularnych.

c) *Montreuil* ogród Xieżny *de Guémené* na drodze z Paryża do Wersalu.

d) Ogród *Maupertuis*, nazywa się inaczej, *l'Elysée*, należy do Markiza *Montesquieu*. Ogród *Desert* zrobiony z abrysu *P. de Monville*. Ogród *Rincy* należy do Xiążęcia *d'Orleans*.

Limours, miejsce dzikie, przyozdobione przez Hrabina *de Brionne*.

e) *Tranon*, Ogród Królowéy.

niegodnym ciebie f); Mieysce wdzięczne! pozwól
mu tego wszystkiego, czego mu życzyć winienem;
przy słodkim uchronie, daway mu chwile swobo-
dne! On który równie łaskawie Poetę, jak i wier-
sze jego przyymuje; który w wyborze piszących
wdzięcznie, w tym ogrodzie kwiatami Poezyi przy-
ozdobnym, i moję Muzę przytulić raczył, że z łona
krzaczku swojego poziomy fiołek obok wspaniałey
rosnę lilii. Towarzysz nieznajomy tym ludziom
sławnym, o gdybym głosem moim słabym, jak oni
niegdyś, mógł się tak podnieść; opisywałbym ogro-
dy twoje, Bóstwo, które w nich mieszka, przyjaźń
i nauki, które przy boku twoim trzymać się lubią.
Mieysce rozkoszne! bądźże uszczęśliwieniem dla
niego: A ja, jeżeli kiedy z łaski jego przyozdabiać
sobie będę wieyskie mieszkanie, obraz w nim do-
broczyńcy mojego położę, który naypiérwszemi
kwiatami ogrodu mego przystroję. Około niego
nasadzę, i gałęzie porozciągam mirtu i lauru, tak
miłe drzewa Burbonom; i kiedy wdzięczne ich cie-
nie pokóy i wolność, natchną mnie, sprawcy da-
rów tych i lutnią moję poświęcę.

Mówilem o położeniach mieysca szczęśliwych,
które sztuka może naśladować. Ale są takie przy-
padki, gdzie wzorów niektórych chronić się nawet

f) Rzecz tu jest o ogrodzie nazwanym *Bagatelle* Xiąż-
ęcia *d'Artois*, który jest wpośrodku lasu wdzię-
cznego.

potrzeba. Często duch naśladowniczy zawodzi nas. Nie przymuszaj gruntu twojego do przyjęcia piękności, których mieć nie powinien. A najpierwéy, miejsca położenie naylepiey poznay, i szanując hostwo okolicy, radź go się, bo jego władza nie bywa bezkarnie naruszona. Tym czasem nie tak śmiały, jako bardziey dziwaczny w myślach swoich ogrodnik, ustawicznie coś bez gustu odmienia, mięsza, przewraca, wszędzie sprzeciwiając się naturze; a przez nieskładne wybranie piękności, które z sobą łączy, psuje pięknych miejsc Włoskich położenia, chcąc je przenosić do Francyi.

Poznay się na tém, i tego się chwyta, co grunt twój przyymie z łatwością; i toto jest co pięknieyszem nad naturę zowie się, a wszelako samą naturą jest; to jest, ten obraz doskonały, który wzoru swojego nie ma, i na którego wyborze Berghem i Poussin tak daleko poznać się umieli: Poglądaj często i bierz naukę z dzieł ich doskonałych, a co ci malarstwo pożyczyło, niech sztuka ogrodnicza z wdzięcznością odda naturze.

Teraz uważmy, jakie ma bydź wybranie gruntu, i jakie miejsca zdadne będą do wypełnienia zamysłu twego. Były czasy tak nieszczęśliwe, gdzie czyniąc ostatnie dla ziemi naprzykrzenia, położeniom nayszczęśliwsiym sztuka wypowiadała wojnę, i zrównywając doliny, albo niszcząc pagórki, z miejsca naypięknieyszego, nieprzyjemne robiono

równiny. Równie podobnym nierozmysłem, sztuka tyrańska pól położystych, dziś na nich góry i doliny chce robić. Chroń się, ażebyś w przypadki takie nie wpadał. Wszystkie starania twoje na próżno opierać się będą gruntowi górzystemu; a na położeniach płaskich zrobiony wzgórek mały, miasto tego, żeby miał być osobliwą jaką odmianą, staje się tylko śmiesznym.

Ale jeżeli szukasz miejsca pracom twoim zgodnego, chroń się i pól nadto położystych, i gór zbyt nierównych. Ja wybierałbym te miejsca, gdzie bez pychy przyjemny wzgórek nad bogatemi panuje dolinami. Tam ziemia miła jest bez przysady, podniesiona bez przykrości, i sucha bez czczości: tam postępując horyzont jest ci coraz posłuszny, grunt zniżą się albo podnosi; ściska się, albo się rościaga; a tak położenie miejsca i rozkosz złąd twoja za każdym krokiem się odmienia. Niech tam sobie niernik z cyrklem w ręku, w cichości domu swego, ogrodu z zupełną symetryą na papierze plany rysuje; ty pójdź na miejsca same; tam z ołówkiem w ręce, maluj te wesołe weyrzenia, te piękne brzegi i doskonałości. Zgadyway sam sposoby, przewiduj i ułatwiał trudności: cuda też to sztuki, na wykonaniu rzeczy trudnych zawisły.

Grunt najnieużyteczniejszy swoją zobaczy piękność: bo jeżeli jest czczym i nagim, niech nagość jego lasek przykryje; jeżeli zakrytym, niech słońcu

siekiera miejsce otworzy; jeżeli wilgotnym, zrobione kanały w potok płynący zgniją wodę przemianą, i pracą szczęśliwą, poprawisz za jednym razem powietrze, ziemię i wody; jeżeli nakoniec suchym i nieurodzajnym, szukaj, gruntu, kop jeszcze, bo może woda, której żądasz, jest blisko. Tak ja sam, długiem utrudzeniem znudzony, kiedy czczość gruntu przeklinałem, strumyk szczęśliwy nagle z ziemi wytrysnął, i mój wiersh tym ożywiony płynie nakoniec łatwiej.

Staranie twoje około ogrodu daleko będzie słodsze, i sztuka daleko więcej przyniesie rozkoszy; jeżeli mało mając na tem, ażebyś zabawił oko, jeszcze i do serca mówić będziesz. Znaszże ty te połączenia z sobą i rozumienia się niewidome ciał duszą nieożywionych, i istot czujących? Słyszałeś kiedy wód, łąk i lasów, milczącą wymowę, i głos ich tajemny? Spraw nam te dziwy. Jakże od uśmiechającego się miejsca, do smutnego, od poważnego do wdzięcznego przeyscia, zawsze mnie obchodziły! Prosty, wspaniały, silny i słodki, połączone te wszystkie tony, będą się wszystkim podobać gustom.

Tam niechay malarz przychodzi brać wzory.

Niechay rymopis rodzi swoje twory;

Niech człek rozumny słodycz jakąś czuje;

I w swoim szczęściu, szczęśliwy smakuje,

A ten, któremu wiek upływa w biédzie,
Niech w te ustronia napłakać się idzie.

Ale my powszechnie śmiałemi jesteśmy, dobre
zaś myślenie rzadkie. Miasto tego, ażeby piękność
jaka gwałtownie nas w oczy uderzyła, — dziwaczniemi
stajemy się. Strzeż się, ażeby połączone rzeczy
tak różne, nie były raczéy niesworném zamiesz-
aniem. Te zaś rzeczy, które sprzeciwiają się sobie,
nie zawsze z sobą będą walczącemi.

Prócz tego; na obrazy takie potrzeba miejsca
obszerniejszego; dlatego w szczupłym kącie chroń
się umieszczać razem, rzeki, kanały, góry i lasy.
Śmiać się przychodzi z ogrodów takich, w których
tam, gdzie natura w obszernem co miejscu poro-
biła, sztuka gruba zaniedbawszy podobieństwa, w
jednym zagonie gruntu, położenie kraju całego za-
myka.

Miasto tego dziwaczного wielu rzeczy zebrania
i pomięszania, mięszay ozdoby, albo niechay się
rzucenie na nie okiem odmienia. — Przybliżay,
oddalay niespodziewane widoki; niechay się jeżeli
można, za jednym razem tysiąc różnych widowisk
pokazuje. Niechay niepewność, co też tam daléy
będzie, zostawia oku ciekawemu słodką niespokoy-
ność; niech nakoniec ozdoby z gustem zażyte będą.
Nigdy jednak bardzo niespodziewane bydz nie mają;
ani też, którychby nayłatwiey domysleć się można.

Naybardziey zaś, ile możności, niech będzie wszystko w poruszeniu. Bez tego, myśl niczém nieroztargniona, zapada w letarg; bez tego, na wasze nieżywe ogrody oko moje ledwie że spojrzy. Czyliż trzeba się tu świadczyć wielkich malarzów sztuką? Patrzcie, jak tworczym pędem ruszające się obiekta na płótnie malują nieruchomém! Wodę, która upływa, wiatr, który nagina gałęzie, bryły dymów unoszące się nade wsią, trzody, pasterzów, ich igrzyska i tańce! Użyycie tego ich sekretu. — Zasadzaycie w obfitości te smagłe drzewka, te drzewa ruchawe, których głowa posłuszna jest powianiu wiatrów. Jakiegokolwiek bydź mogą, szanuycie chwiejącą się zieloność ich, i zakażcie żelazu znieważać tak okrutnie naturę. Patrz, jak ręka jéy odmalowała te dęby, te wiązy! jak od pnia aż do gałęzi, od gałęzi aż do liścia pomnażając ścięnczenie ich, łatwość im dała pochylenia się. Ale żelazo okrutne!... Nimfy leśne, uprzedzaycie to okrucieństwo, biegniycie... coż mówię? już się stało:

Stal twarda drzew wierzchołki przycięła zielone.
Już nie słyszę, jak czasem głowy ich wzniesione
Wspierały wiatr burzliwy; który nim je minął,
Jęczał po ich gałęziach, oddalał się, ginał.
Ozionione żelaza nieczułością stoją,
Podobne mu, cichością i twardością swoją.

Wy więc, którzy w waszych ogrodach żądacie
żywości jakieysi, zostawcie drzewom ich wdzięczną
skłonność pochylania się; niech perspektywa wasza
będzie pełna rzeczy ruszających się: przymuście,
niech wam ta woda bieży, niech się podnosi i wy-
tryska. Widzicie te doliny, te lasy, te pola opu-
szczone: posyłajcie tam różne trzody, i po ro-
żnych miejsca położeniach, zarzucajcie liczne ich
osady:

Tam, po wierzchach skał przykrych wieszają się kozy,
Tu owiec pasących się niewinne obozy,
Wdzięcznym swoim okrzykiem powietrze zmięszają,
I głos ich twarde sobie podawają skały:
Na dolinie z gór bliskich wodami oblany,
Legł na kolanach żując wół upracowany.
W tenczas kiedy koń rzeźwy, pyszny, niespokoiny,
To zwierzę natarczywe, i lubiące wojny,
Okazuje zbujął, pozbywszy się ręki,
Swą moc nieukróconą, i swe dzikie wdzięki.
Jakże mi gibkość jego i postać jest miła?
Czyli mu do przebycia rzeka się trafiła,
Skacze, nurza się, płynąć przeciw wodzie umi,
Bije nurt nogą, który zapieniony szumi;
Czyli po buynéy łące wyskakiwać woli,
I wiatr, który go lubi, z grzywą mu swawoli.
Wspaniały, z ogniem w oczach, nozdrze mu się jeży,
Piękny pychą, miłością, do kochanek bieży.

Chociaż go już nie widzę, widzieć go się chciało,
I żądne go me oko po łące szukało.

Tak bogacąc się ze skarbów natury, ziemia,
prospekty, wody i cienie, dają ruchawość niejaka
i życie okolicom.

Ale jeżeli oko nasze lubi patrzeć na widoki ruszające się, niemniej mu także miła jest i wolność. Zostaw więc ogrodu twego granice niepewne; albo przynajmniej niech sztuka ukryje i zagładzi je. Gdzie oko niczego już więcej nie spodziewa się, tam rozkosz niknie; z ciężkością nam przychodzi widzieć koniec miejsca pięknego; nudzi to nas, i nawet gniewa. Z tamtej strony muru, tej natrętny granicy, myślimy sobie, że jeszcze piękniejsze miejsca znajdują się; i rozum niespokojny oświeca w tém oczy błędzące. Kiedy zawsze wojnami bawiący się grubi przodkowie nasi, swe wiejskie pomieszkania murami zamykali, każdy na swojej zagrodzie twierdzami otoczony, ażeby żył bezpieczny, żyć musiał w więzieniu. Ale coż znaczy dzisiaj ta nudząca zagroda? którą do tych czas pycha utrzymuje, a którą bojaźń wynalazła? Miasto tych murów, które zasmucały weyrzenie, gust prawdziwszy przekłada te zieleniejące się zagrody, te mury utkane z kolców, gdzie ręka twoja drżąca; rozę dziką, albo morwę urywa.

Przykrość ogrodów zamkniętych jeszcze mi ciężka. Przeydźmyż za te ciasne obręby do widoku

nierównie obszerniejszego, i kształtów rzeczy piękniejszych, jakich sam *Ermenonvil* wzór nam wystawić może. Ogrody, zaprosiły jeszcze i pole do swego towarzystwa, i wzajemnie, pomiędzy pola weszły ogrody.

Z wierzchołka brzegów wielkich i gór wyniesionych,
Zkąd oko rozległości sięga niezmierzonych,
Natura dowcipowi rzekła: „Ztąd gdzie stoję,
„Wszystkie, co tylko widzisz, te skarby, są twoje.
„W ich dzikiej wspaniałości bogactwie ukrytem,
„Skończ mą pracę przemysłu twojego zaszczytem.“
Rzekła, dowcip się rzucił; wnet na każdą stronę
Szpera w ziemi, gdzie setne piękności uspione,
Od doliny do wzgórka, las, gaje, rozważa,
Przechodząc wszystko dotknie, wszystko przeobraża,
Umie, co się ma łączyć, co od siebie stronić,
Co oświecić, zaciemnić, co odkryć, zasłonić.
On nie wymyśla, ale wykształca te dzieła,
I kończy rysy, które natura zaczęła.
Postać naszych skał dzikich okropność swą traci,
Ciemność lasu smutnego z uśmiechem się braci;
Strumień się był zabłąkał, zwrócony upływa,
Poprzywłaszczał jeziora, i zrzódła odkrywa.
Pomyślił, i zewsząd się ścieżki pozbiegały.
Znalazły coś, i miejsca odległe złączały:
Te dziwiąc się, co je tak w jeden węzeł spięło,
Składają z sta piękności naywspanialsze dzieło.

Tak wielkie prace, podobno zastraszają sztukę twoją. Powróćmyż do dawnych ogrodów, i obaczmy w nich te fraszki, takimi nakładami porobione; te marne wynalazki, te rznięte *trelaże*, ten *bassin*, te rowy do spadku wody. Kosztem daleko mniejszym rozległą przyozdobisz okolicę, niżeli dawne dziecinności szczupły kąć jaki przyozdabiały. Niechay fałszywa wspaniałość przed sztuką naszą upadnie, i niech kiedyś Francya w nowy Eden przemieniona; przed oczy nasze jeden obszerny ogrod wystawi.

Jeżeli zaś do pracy téj zaprządz się nie śmiesz, przynajmniey zagrody twojéj przeszedłszy granice, przez piękne weyrzenia powiększay mieysce: tę dolinę, ten wzgórek, tę wdzięczną dalekość przyczyn do ogrodu twojego; tym sposobem cudzą rozległość, posiadać oczyma, i wzrokiem używać jéy będziesz.

Naybardziey, umiey uchwycić, i staray się przywiązać do planu twego te przypadki szczęśliwe, które ogrodom cechę piękności dają. — Tu widać wioskę, którą lasy otoczyły, tam się mieyskie wysokie wieże pokazują, i skała w dalekości błękitna bijąc cię w oczy, ostrym wierzchołkiem swoim zdaje się, że w obłokach zginęła.

Ktoż może zapomnieć o rzece? o jéy biegu i brzegach? Oko twoje zdaleka ściga wody uciekające; często wyspy z łona ich pokazują się, często same po pod arkady mostu dalekiego ubiegają. A

jeżeli morze obszerne w twoich się oczach pokazuje,
w odmieniającym się często widoku wystaw tę scenę
ważną. Tu z pomiędzy gałęzi niechay daje się wi-
dzieć; tam w zacieku głębokiego drzew zielonych
sklepienia niech się pokaże, indziej w zakręcie
gaju, niech go oko nadybie, niech go czasem za-
gubi; nareszcie wzrokiem wolnym, niech go całe
w swojéj wielkości widzimy.

Nad tak różnemi widokami miło zastanowić oczy
błąkające się, ale przyznać potrzeba, że ręką skąpą,
ludzie, sztuka, czas i natura na około nas te dre-
gie przypadki rozsiewają.

O równiny Grecyi? Pola Włoskie wdzięczne!
Mieysca coś wmawiające, i dowcipom zręczne,
Malarz od was wstrzymany, jakże wiele razy
Pogląda, zapala się, i składa obrazy,
Rysując odległości, i wyspy, i morze,
Porty, góry ogniste, po których pług orze.
Lawy z tychże gór jeszcze lejąć się strugi,
Z pałacu zburzonego wzrastający drugi.
W ciężkiey robocie ziemi i morza słonego,
Świat nowy wychodzący z rozwalin starego!
O mnie! którym nie widział téy krainy dzielnéy!
Tych mieysc, kędy Wirgili śpiewał nieśmiertelny.
Lecz przysięgam przez jego pieśni niezrównane,
Póydę przez Apenin góry niemieszkane,
Póydę, niosący z sobą wiersh Wirgila' święty,
Czytać go na tém mieyscu, którem był natchnięty.

Wy! którzy zapalając się nad pięknością widoków takich, miasto tych wdzięcznych mieysca położeń, za ogrodami waszemi same tylko macie dzikie i nieużyte pola; za tę obcą, i przyczyniającą się ze strony piękność, niechay oku waszemu nagrodzi, rzeczy milszych i wdzięczniejszych wewnątrz zebranie. Potrzeba wreszcie przywykać, ażeby się nam w własnéy zagrodzie podobało, idąc wzorem mędrca szczęśliwego, który na nikim nie polegając, wchodzi w samego siebie, i sobą samym bawi się: Do tego uchronu waszego tajemnego ja sam za wami póydę.

Ale chociażby grunt nayobfitszy miał widoków pięknych naywięcéy, roztropnie wzrokowi udzielając skarbów tych, niechay tę słodycz szukaniem oczy kupują. Niech ją sztuka obiecuje, niech jéy się oko spodziéwa: w téy mierze obiecać, jest to już dać; spodziéwać się, jest to używać. Nie nagle zaślepić, ale mnie zatrudnić w mojéy rozkoszy potrzeba.

W moich przepisach, chciałbym cię jeszcze nauczyć sztuki przestrzegania oczu, i ich nagłego zagadnienia, co niżeli obaczysz, wiedzieć potrzeba, że dwa rodzaje z sobą od dawna kłocące się, o wybór się nasz ubiegają. Jeden przed oczy nasze wystawia sworny ogrodu układ, dając mieyscu postać, któręy nie znało nigdy; obcą wspaniałością przyozdabiając wdzięki jego; drzewom prawo, i wodom

przepisy swoje naznaczając; a ten jak pyszny despot niewolnikami otoczony, prawda że postać jego wspaniała jest, ale wdzięcznie uśmiechać się nie umie. Drugi kochający z uszanowaniem naturę, przystraja ją bez obciążenia ubiorem, pobłaża czasem jéy wdzięcznym dziwactwom, jéy wspaniałemu zaniedbaniu się, jéy krokowi niejednostaynemu; i robi to przez swoją sztukę, że z pośrodka nieporządku i losu samego piękność wynika.

Każdy z nich ma swoje prawa, nie zaniedbujemy obudwóch. Nic nie postanawiam między *Kent* i *Le Notre* g), bo każdy równe ma i piękności i prawa swoje. Jeden z nich na to jest, ażeby się przed monarchami okazywał, zwłaszcza, że królowie losem swoim skazani na to, ażeby trzymali się wspaniałości; zawsze około nich usiłowania jakiegoś i okazałości szukamy; zawsze nad czymś dziwić się, wzrok nasz cudami zbytku, i przemysłem sztuki nasycić żądamy. Sztuka więc uporną może sobie podbić naturę, wszelako zawsze z jakąś wspaniałością z niey tryumfować powinna; bo jéy blask, stanowi prawa jéy. Gwałtowny przywłaszczyciel może u nas otrzymać łaskę, ale tylko dlatego, że wielkim jest. Porzućmy więc te zimne ogrody,

g) *Kent* Architekt i ogrodniczy sławny Angielski, pierwszy wprowadził rodzaj ogrodów nieprzymuszonych. *Le Notre*, Francuz. Ogrodnik sławny Ludwika XIV.

marne bawidła, niewdzięczne uchrony, któremi po-
błażając sobie, chwali się z pychą Pan na nich nie
znający się; jego dobrze utrzymane i poobstrzygane
małe sale zielone, jego plantę z zupełną symetryą,
w jednéj połowie w niczem nieróżną od drugiej,
gdzie każde przeyscie ma swego brata, każda ulica
sklepiona ma swoją siostrę; jego ścieżki przykrzące
sobie sznur, za którym prowadzone, *parterre*
upstrzony, strumyk wody nikczemny, drzewa po-
obcinane w kule, w piramidy, w naczynia i po-
sągi marnych pasterzów popodnoszonych na podsta-
wach swoich. Pozwólmy mu, niech się nachełpi
zbytkiem nikczemnym, a ja przekładam czcze pola,
nad jego smutne Ogrody.

Mijajmy zdaleka te nudne przyprawy, te drobne
osobliwości; pójdźcie za mną do kraju prawdziwych
cudów, do wspaniałego *Wersalu*, do uśmiechają-
cego się *Marly*, które Ludwik, natura i sztuka
przyozdobiły. Tamto wszystko jest wielkie, tam
sztuka bojaźni nie zna, i rzecz każda w zadziwienie
wprawuje. Tęto jest sławny pałac Armidy, ogrod
Alcyny, czyli raczéj bohatera nawet w ustroniu
swoim wspaniałego, i wielkiego w spoczynku swoim,
który chodząc samemi otoczony cudami, wszędzie
zwycięzać, i przeszkody lubi przełamywać. —
Widzisz wodę, ziemię i drzewa, także od niego
zwyciężone i posłuszne mu; widzisz, jak z najpię-
kniejszą budową tych dwunastu pałaców, zielona

drzew łączy się architektura; Te bronzy oddychające, te rzeki na powietrzu zawieszone wielkimi bałwanami z pianą i szelestem spadające, a potem rozplywające się wzdłuż najwspanialszych kanałów! Tam zlewają się, jak płotno rozciągnięte, indziej niby krzak jaki w górę podnoszą się, a zdybując się na powietrzu z promieniem słońca, kroplami złota, szmaragu i szafiru ku ziemi lecą. Jeżeli między smutnemi jego gajami zabłąkałem się, tam w tych ustroniach *Fauny* i *Sylwany* zamieszkały; a *Wenus* i *Dyana* oddechem swym słodkim te miejsca oziończyły. Każdy lasek jest tam kościołem, i każdy marmur bożkiem: a Ludwik odpoczywający w nim po tłumie zwycięstw: zdaje się, że cały na ucztę Olimp zaprosił. I w takich ci to wielkich robotach sztuka w blasku swoim okazać się powinna. Wszelako utrudzać nas zwykły długie nad czém zadziwiania się. Chwałę ja mowę, w której wspaniałe myśli jedna po drugiej postępują, ale ta rozkosz krótka jest. — Porzucam mówcę, i idę szukać przyjaciela, który mi do serca gada. Przyozdobieniem sztuczném, spiżą i marmurem, które zbytek wystawia, oko się prędko utrudzi; ale lasy, wody, ciemne zacisze, i taki cały niewinny zbytek, nigdy nie nudził. Przywiąż się więc do naturalnéj ogrodów piękności. Bóg sam ludziom, jakie bydź mają, pokazał ich wizerunek. Obacz w *Miltonie* h). Kiedy jego wszechmocne ręce pierwszym tym ludziom

gotowały schronienie, czyliż im tam ścieszki sznurami ciągnięte porobiono? Czyliż wody w ich biegu do pewnego ciągu przymuszone? Czyliż obcemi jakimi ozdobami dzieciństwo ziemi, i ta jéy nayszybsza wiosna poprzystrajana? Bez przymuszania, bez sztuki, wszystkie nayszybsze słodkie pierwiastków swoich natura wyniszczyła. Wdzięczne pagórków i równin pomięszanie, wody według ich woli zwolna upływające, ścieszki kryte i drożyny niepewne, nieporządek przyjemny, niespodziewane miejsce pięknych otwarcia się, wielorakie, a te najmilsze weyrzenia, nad których wybraniem oko zastanawiało się; różniły, zatrzymywały, i przedłużały rokosze ich. Na nayzielenśzém i nayszybszym murawie tysiące drzew zwolna uginając się, i te miejsca przyozdabiając, powonienie, smak i oczy zabawiały. Czasem w wdzięczne kupy pozbijane, czasem z niedbałością rozrzucone, uciekały niby od siebie, i zbliżały się wzajemnie. Często nagle otwierały w dalekości widowisko niespodziewane: często schylając się aż ku ziemi, i zginając gałęzie swoje, słodką zawadą zastanawiały przeyscie pierwszych rodziców naszych, albo zawieszały nad ich głowami niby wieńce jakie, uplecione z zieloności i kwiatów, które rozsypywały po głowach ich. Mamże wspomnieć o tych łaskach i krzewinach, splatających się w sklepienia i ulice? o ich rokosznych i zakwitłych gałęziach?

W tém to mieyscu rokoszném, w szrodku tego drzewa,
Wdziękiem swego małżonka zniewolona Ewa,
Rumiana, jako gwiazda, która rano wstaje,
Z okiem pełném miłości swą mu rękę daje.
Całe im winszowało zarazem stworzenie,
Niebo przez swą pogodę, woda przez mruczenie.
Ziemia się lekko wstrzęsła czując moc kochania,
Wiatr po grotach powtarzał słodkie ich wzdychania.
Drzewa się poruszyły, i schylone róże
Wylewały swą wonność na małżeńskie łoże.

O szczęście niewymówne! o małżeństwo jedyne!
spokoyne w ogrodach swoich! Jakże szczęśliwy,
kto jak wy, żyłby daleki od ucisków pychy, a
bogaty tylko w owoce, kwiaty, radość i niewinność!

KONIEC PIEŚNI PIERWSZÉY.

P I E Ś Ń D R U G A.

Ktoby mi dał tę lutnię, co dawnemi czasy
 Wzruszała w górach Trackich kamienie i lasy!
 Brzmiałbym na niey, by razem za stron poruszeniem
 Okolica się drzewa załoniła cieniem.
 Pomarańcze, cedr, lipa, i dąb wielkorody,
 Skacząc przychodziłyby zdobić me ogrody.
 Ale dawnéy muzyki zginęło zamwienie,
 Dziś lutnia bez téy mocy, bez uszu kamienie.
 Drzewo stoi nieczułe, choć się granie uda,
 Sama sztuka i praca, te wyrabia cuda.

Naucz się więc od sztuki, jakim staraniem i
 sposobami dać możesz drzewom różnym wdzięki i
 ozdoby. Swoim owocem, kwiatami, i liściem
 wdzięcznym, drzewa są ogrodów naszych ozdobą
 najpiękniejszą. Jakże wiele kształtów na siebie
 biorą, ażeby się oczom naszym podobać mogły?
 Tam wspaniale rozszerzają gałęzie swoje w tenczas,
 kiedy pniak ich prosto wzbija się w górę; tu na
 wdzięki ich poglądam z słodyczą, indziej mnie ja-
 kaś powaga ciągnie. Na najsłodsze wiatru po-

wianie trzęsą się, albo przeciwko gwałtownej burzy, głowę swą siłą i pień sękowaty nadstawiają: dzikie albo wykształcone, podnosząc albo zniżając gałęzie swoje, jak drugi Proteusz między roślinami, ażeby przyozdobić naturę, kształtem, zielonością i owocem, ustawicznie się odmieniają.

Te różne drzew odmiany i skutki, są skarbem sztuki: czego wszelako gust dobry zabrania nam na los zażywać. Krzewów wielorakich kształt i mnogość, jeszcze się nam pod różnym rzuceniem oka pokazuje. Czasem las głęboki, dziki i zaciemniony, cień niezmierny otwiera; czasem drobniejszy z drzewek wybornych wdzięczny gay składa, dalej porozrzucane po pięknej okolicy wdzięczne urywki lasu oko zadziwione zastanawiają; indziej, zausfawszy swojej własnej piękności, jedno przed inszem drzewo wybiegło, i jedno ziemię przyozdabia.

Taki (jeśli pozwoli ogrod nam spokojny
Woyska wspomnieć ogromne), taki krwawe woyny
Obraz przed naszym zwykły wystawywać okiem.
Tu oboz nieprzebyty, i plotony bokiem;
A zamożny w swą siłę, i dawne działanie,
Wyszedł rycerz na czoło, sam za woysko stanie.

Wszystkie te krzewy wielorakie różnych praw swoich słuchają. Dawniej, w ogrodach sztucznych, zbytek nasz pogardzał pięknnością drzewa samotnego! dzisiaj przeciwnie podobają się w ogrodach, które

stosowniej do praw natury zakładamy. Szczęśliwém dziwactwem i dowcipnym niejako losem drzewa ich porozrzucane, oczy nasze zabawiać będą. Niechay się od siebie różnią weyrzeniem, kształtem i odległością; niech zawsze drzewom wielkość, albo przynajmniej piękność pierwszeństwo daje, a te które się wstydzą, że nikczemnymi są, niechay się w tłum ukryją, i przed naszym zatają okiem.

Ale kiedy dąb wieczny, albo jawór w lesie,
Ten puszczy patryarcha głowę swoją wzniesie,
Niech go w koło otoczy rod jego zdaleka,
Usunie się przez względy, i rozkazów czeka.

Tymto sposobem drzewo samotne, podoba się nam na gruncie, który przyozdabia.

Z większym daleko wyborem i gustem, po kilka drzew po polu rozrzuconych, tysiąc pięknych sprawują widoków. Z drzew drobnych albo dużych, mnogich albo w mniejszój liczbie, porob albo laski nieprzebyte, albo gęstwiny lekkie; zdaleka oko oglądać lubi na ten naród braterski. Tymto sposobem miłą tę kształtów ogrodowych odmianę robimy: przybliżamy, albo odsuwamy dalekości, łączymy albo rozdzielamy, nad okolicą rozciągamy, albo cieniów zasłonę odchylamy.

Wasze lasów urywki już są skończone; teraz czas jest, ażeby się i lasy same do praw sztuki przyuczyły.

Lasy wspaniałe! witam. Wasze dziś sklepienia
Nie słyszą Bardów dawnych dzikiego nucenia;
Słodkie zmamienie tylko ciągnie pustyniami,
I lochy wasze jeszcze uczą nas wierszami.
Wy mię wierszem natchnęły, cieniom waszym dzięki;
Przyymiycie dziś powinna szanujący ręki
Ofiarę jakąś dla was! chceycie mię sposobić,
Jak bez zniewagi waszély mam was przyozdobić.

Las, może nam się pokazywać pod rzuceniem
oka wielorakiem; Tu drzewa zbite gęstwina swoją
zrobią głębokie zaciemnienie. Tam pozwoliwszy
przedrzeć się promieniom słońca, i to miejsce orze-
źwić, niby dnia z nocą wdzięczną sprawują walkę.
Daléy rozproszywszy po gruncie liście swe lekkie,
drzewa rozrzucone po piękny polance jedne pochy-
lające się ku drugim, a wzajemnie dotknąć nieśmie-
jące się, zdawać się będą razem i szukać się, i u-
ciekać od siebie. Tym sposobem las staraniem wa-
szém może długość swoją zagubić: ale pamiętajcie,
wspaniałych jego charakterów nigdy nie zamazywać.
Częstém lasu przecięciem, widoków mniej ważnych
zdarzeniem, nie psuycie całkowitéj piękności jego.
Niech będzie jeden, prosty i wspaniały; sztuka zaś
niech mu tylko z całym jego przepychem trochę dzi-
kości zostawi. Niech leżą pniaki poprzelamywane,
niech czarny potok, albo wylewek jaki, w głębiźnie
rowu swojego blakając się upływa. Czasu, wody

i powietrza śladów, gubić nie należy. Szanuy i skały, które zawieszone jedna nad drugą zdają ci się grozić; i niech nakoniec w tych miejscach pełnych wspaniałości, wszystko żywą i dziką oddycha pięknnością; a ta wieyska lasu okazałość będzie się pewnie podobała.

Gay mniej daleko pyszny, ale więcéy mający wdzięków, widok nierównie weselszy oczom naszym wystawia. On się kocha w położeniu miłszém, i lubi żeby części jego związek jakiś miały między sobą; ucieka, wraca się, błąka się ścieszkami krętymi, pomiędzy kwiaty, wody rokoszne przeprowadza; że zdaje mi się, jakbym w pośrzedku niego, upojonego słodkiem próżnowaniem widział jeszcze Epikura, a on rokoszy życia nauki daje.

Ale to nie dosyć jest, ażeby we śrzedku lasów i gajów dzikie te, a wdzięczne znaydowały się piękności; potrzeba z usiłowaniem i powierzchowność przyozdobić. Naypiérwéy zaś pamiętay, ażebyś lasowych brzegów ogrodzeniem, albo smutnemi temi szpalerami nie zakrywał. Ja chcę las widzieć, chcę przeysć wgląb jego, i patrzeć na drzewa różne rosnące razem; jedne czerstwe i młodości pełne, insze zgrzybiałe, i ze starości sękowate; te przy ziemi czołgające się, insze pyszne tyrany lasu z soku żywiącego ogołacające poddaństwo drzewek przyległych; widok ten obszerny! gdzie myśl moja,

obyczajów, życia i wieków obrazy z rokoszą rozoznawa.

W porównaniu tych wielkich widoków, czémże będą te zielone zagrody, których kształt naprzykrzony zasmuca weyrzenie, kształt zawsze jednaki, i zawsze spodziewany? O ty bawiąca różności! Ty rokoszy wzroku; przybądź! przybądź i przerwij tę nudzącą równość, zepsuy tę smutną węgielnicę, i sznury przeciągnięte porozrzucay.

Pomięszaniem szczęśliwém wyskoków i zakrętów, lasy bydź mają przyozdobione. Oko, które się nudzi drzewami swornie usadzonemi, i za jednym razem aż do końca rzędu przepada, miło mu jest przebiegać brzegów tak różnych kształt niespodziewany. Błąka się, bawi się, w tych zakątach rozlicznych, koleją z niemi zacieka się, i znowu z niemi powraca. Nad różnemi widowiskami, które ich łańcuch składa, z miejsca do miejsca, z rokoszą odpoczywa. Tym sposobem lasy powiększać się zdają; a w swoich długich przebiegach odmieńnając wysoki swoje, i rokosz razem odmieńniają.

Ułóż więc kształt ich. A naypiérwéy wybrać należy drzewa, które podług gustu stać się powinny ofiarą twoją. Wszelako nie kwap się z tém; potępiay je z politowaniem; i niżeli wypełnisz wyrok surowy, pomyśl; jak one czasu długiego są robotą, jak wszystkie twoje skarby cienia ich zapłacić nie

mogłyby! i jakiey słodyczy kosztowałeś pod ich kiedyś cieniami uchroniony!

Często jednakże pan ich niewdzięczny, bez potrzeby i litości wycinać je rozkazuje.

Obalone na ziemię obrażoną, giną!

Już te miejsca rokosznym uchronem nie słyną,
Gdzie dowcip myślił, miłość miała grzeczne schadzki.

Ach! przez te lasy święte! gdzie kiedyś wieśniackiey
Młodzieży tańce były; te chłodników ślady,

Kędy poczesne wasze spoczywały dziady,
Świątokradzcy! szanujcie te pniaki czci godne,

I kiedy im i grubość, i wzrosty dorodne

Wiek rozdał ich równiennik, dał jeszcze i wdzięki;

Na poważną ich starość nie podnoście ręki.

Przyyjdzie czas, że tym drzewom laty nadpsowanym,

Ustąpić trzeba będzie drzewkom młodocianym,

Gdzie padną pod żelazem, i ich pyszna głowa

W marnym popiele dawną chwałę swoją schowa.

O Wersalu! o żałości! o gaje i ogrody naywdzięczniejsze! Naczelne dzieło wielkiego króla, *Le Notre*, i czasu! Już siekiera do korzenia waszego jest przyłożona, i wasza godzina przyszła! Te drzewa, których pycha aż do chmur samych podnosiła się, uderzone żelazem, chwiejąc po powietrzu wierzchołkami swojemi, nagle upadają, i pniakiem ogromnym zawalają te drogi, nad którymi kiedyś gałęzie ich w sklepienia się wspinałe zagi-

nały. Już upadły te lasy, których postać poważna zasłaniała wielkiego Ludwika czoło zwyciężkie. Te lasy, gdzie najsłodsze zwycięstwa obchodząc nayakanaléy, przemysł rokoszny pomnażał jeszcze uroczystości.

Miłości! w co się obróciły teraz te uchrony naywdzięcznieysze, które pyszną Montéspan widziały wzdychającą? W co się obróciły zacisza, gdzie ta wdzięczna i czuła *Valliere* kochankowi swemu przy niey rozpływającemu się, i z roskoszą jéy słuchającemu, serca swojego sekret odkrywała; i niespodziewając się jeszcze, ażeby była kochaną, już swego wyznawała zwyciężcę. Czyż nie widzisz? jak te leśne mieszkańce uciekają? Ten naród ptaszy, pyszny kiedyś przebywaniem w Ogrodach tych, schronieniu królów poświęconych, w których niegdyś śpiewał miłości swoje, dziś z dawnych siedlisk i gałęzi ich wypędzony! Te bóstwa, któremi dłuto kamieniarskie, zielone zaludniało przysionki, zastoną kiedyś zieloności przybrane, dziś ze wstydem odarte, za wdzięcznemi swojemi płaczą cieniami; i *Wenus* sama bojąc się, ażeby nie była obaczona, pierwszy raz podobno zadziwiła się, że nago stoi.

Wzrastaycie, śpieszcie się z cieniem waszym, zaludniaycie te pola, drzewka młodociane! A wy drzewa pod żelazem upadające, mieycie ztąd pociechę jakąś, że świadkami będąc słabości ludzkiej

widziałyście, jak także *Kornel* i *Turenne* upadł. Wyto już setną wiosną pamiętacie; ach! a nasze dni najpiękniejsze, ulatują nayprędzėj, ulatują na zawsze!

Szczęśliwy więc, kto posiada lasy z wiekami wzrosłe, ale szczęśliwy niemniej kto sam sobie gaik założył, te drzewa, które z czasem piękności nabývają! on może mówić, jak *Cyrus*: Jato je zasadzałem. Ty więc, który jeszcze panem jesteś planty Ogrodu twego, chroń się naybardziej, ażebyś go nadto wcześniej nie zakładał; jak malarz zatrzymuje pędzel swój, i długo w myśli układa obraz; tak ty planty twojey rozpamiętyway ułożenie. Trzeba się poznać na miejsca okolicy i prospektach, trzeba wiedzieć, jak wdzięczne są lasy na górach zawieszzone, jak są wspaniałe, po równinie rozległe.

Tak jak znasz kolor i kształty z sobą zgadzające się, potrzeba ażebyś znał farby i kolory różniące się między sobą. Jesion z długimi na powietrze wzniesionemi gałęziami, sprzeciwiać się będzie wierzbie, z długimi także, ale opuszczonemi gałęziami. Zieloność topoli sprzeciwia się dęba zieloności. Ale sztuka dowcipna, te ich nienawiści pogodzić może; i szczęśliwy téy zgody pośrednik drzewo jakieś z obojga coś mające, pogodzi je między sobą. I tymto sposobem przydając jakąś farbę pośredniczą *Wernel*, dwóch przeciwnych kolorów gasi antypatya.

Umiey więc poznawać się na zażyciu tych różnych zieloności, mniej lub więcej świetnieysze, jasne, czyli zaciemnione bydz mogą. Takim sposobem odmieniając je, w okolicy twojey możesz z jakimści wybořem różność cieniów układać; i ztąd silne albo słodkie, niby walczące, albo z sobą zgadzające się skutki wyprowadzać.

Uważay je naybardziej, kiedy w czasie bladéy jesieni bliskiem i już są uwiędnięcia: co tam odmian, co wspaniałości i blasku? Purpura, pomarańcza, opal i inkarnat bogatemi się swojemi farbami popisują!

Ach! cały ten znikomy blask upadek znaczy!
Taki jest los powszechny! . . . w krótcie zadziwaczy
Akwilon niespokoiny, zostawi las goły,
Uściele zdartém liściem wilgotne padoły:
Te, co chwila na ziemię lecąc obnażoną,
Jeżeli komu przyszło przechodzić tą stroną,
I coś myślił samotny; przerwą zamyślenie,
Lecz to nawet ma dla mnie wdzięki spustoszenie.
Tam, jeżeli z mém tęskném sercem sam zostanę:
Jeśli gorzkie wspomnienie rozjątrzy mą rauę,
Idę, gdzie tylko smutek wiedzie mię ponury,
I lubię łączyć żal mój z żalobą natury.
Te gałęzie uwiędłe; i tych drzew zbótwiałe
Sam błędząc depcę nogą reszty pozostałe.
Minęły dni roskoszy, i młodość niestety!
Słodka melancholio, przybądź . . . ale nie ty,

Co ciemną posępnością czoło zawiązane:

I nogi masz w niezbytłych troskach uplątane!

Lecz z okiem w półodkrytém, jak w jesiennym czasie,
Srzodkiem mgły grubéj promień słońca przedziera się;
Przyydz, z twarzą zamyśloną, z czołem niesurowém;
Przyydz z okiem łzy najsłodsze wylewać gotowém.

Ale w tenczas, kiedy serce moje takimi zaba-
wia się myślami, krzewów różnych tysiączne poko-
lenia ciągną mnie na stronę swoją. Przystąp naro-
dzie wdzięczny! Ty pośrednim jesteś między
kwiatami i drzewami; przyydz swoją postacią nay-
kształtniejszą scenę naszą przyozdobić. Och! gdyby
mi nie tak pilno było kwapić się do dzieła, które
sobie za cel założyłem, jakąż ztąd rokosz miałbym
prostować gałązki wasze? Odradzałbym was pod
stem coraz inszych postaci, ręka moja wodąby was
podlewała: w sklepienia, w ściany układałbym ga-
łązki wasze, zlekka umotane nakoło wiązów tych,
jak wizerunek jaki wdzięków z siłą połączonych, po
silnéj korze ich ramiona wasze zwijałyby się; prze-
mieniałbym kolory wasze, i od najczystszyć białości,
nayżywszego inkarnatu, aż do najciemniejszego
błękitu oka nasyczonego rokosz odmieniając, wasze
upięrzania, kwiaty, pączki okrągłe, i kształty niby
kielichów, na zuchwał łączyłyby się do pracy
mojéj, że sam *Van-Huysum* zazdrościłby obra-
zowi mojemu.

Wy! którym niebo w obfitości tych krzewów udzieliło, umieycie zażyć ze sztuką okazałości ich. Podzielcie je na różne pory roku; niech każdy przynosząc wonność swoją i kolor, w swoim się miejscu i kolei pokaże; i niechay na czole roku wieniec z ich kwiatów nigdy nie więdnije; a tym sposobem Ogród twój z czasem się odmieni. Miesiąc każdy ma swoje gaiki, i każdy gaik ma swoją wiosnę; wiosnę, która w krótkce niszczeje! Wszelako zręczność twoja może ci nagrodzić jeszcze tę krótką trwałość piękności tych. Niech staraniem rostopném wszystkie te drzewka tak będą zasadzone, ażeby chociaż zostaną bez kwiatów, nie zostawały bez piękności. I tym to sposobem dowcipna *Egle*, chcąc przedłużyć swoje panowanie, ku końcowi już pięknych lat swoich, umie nas jeszcze zwodzić.

Niebo samo mimo ostrości powietrza, ze wszystkich darów swoich zimy nie wydziedziczyło. W teyto porze, wiatrów zawistnych pogardzając zachwałością, wiele drzew liście jeszcze swoje zatrzymuje. Patrz, oto cisina, bluszcz, żywiczna sosna, świecący się ostrokrzew, ościami kolczastemi uzbrojony, i lauru zieloność nieśmiertelna, nagradzając ziemi stratę, i za znieważoną mszczą się naturę. Patrz, jako owoce ich farby purpurowéy z zielonością gałęzi, nayżywszą mieszają barwę; i w pośrodku pól obnażonych zastanawiając mnie ich szata naywdzięcznieysza, im bardziey niespodziewana

jest, tém mi zdaje się miłsza. Taką tedy sztuką Ogrody wasze zimowe przyozdabiajcie. Tam pewno miło wam będzie pięknego dnia zażyć promieni; tam ptaki (kiedy gdzieindziej ziemia ogołocona) zlecają się, pod zieloném liściem ucieszą; tam zwiedzione przez miejsce, nie poznawając się na czasie, zdawać się im będzie, że już piękne dni powróciły, i pieśń swoją o wiosnie zaśpiewają. Tak, ten uchron piękny podobać się musi, chociaż nie będzie nadto wymyślny.

Ale królów Ogrody z większą nierównie sztuką i zachodem z zimy tryumfują. Świadczyć się o *Monceaux*! i) twemi zawsze zielonemi Ogrodami! Tam drzewa, którego nie masz, pień udawany! niby czarodziejską sztuką groty i sklepienia porobione! wszystko cię razem bawi i zadziwia. Tam nie dbając na zimę róża w pośrodku lodów rozwija się; a czas i *Clima* cudami zwyciężone, zdają się, że czarnoxiężką sztukę wyniszczyły.

Ale tak dziwne twory i omamienia ich, nie są Ogrodów ozdobą najpiękniejszą. Cokolwiek przyzwyczajenia się do nich, prędko smak odejmuje, który w takich Ogrodach mieliśmy. Częstokroć gdy kto obcy roskoszą takimi bawi się Ogrodami, pan ich własny nudzi się, i nie już w nich znaleźć nie może. Czyliż nie ma sposobu jakiego, przez któ-

i) *Monceaux*. Ogród zimowy Xiążęcia *de Chartres*.

ryby tajemne wdzięki ich, zawsze ci jednak piękne i miłe były? O jakże podoba mi się zwyczaj Lapończyków szczęśliwych! jakże dobrze oszukać umieją zimy ich twarde! Nasze lipy wspaniałe, nasze wiązy zamożne, tych pól nieprzyjaznych zimności obawiają się! jakieś tam czarny jedliny marna zieloność ledwie gdzieś na gruncie ich zimnym pokaże się; ale najmniejsze drzewko, któremu tamto *Clima* posłogowało, przez sposób nierównie słodszy, oczom ich podoba się. Zasadzone na pamiątkę przyjaciela, syna, oycy, albo gościa, który się z żalem oddalił, drzewa zatrzymują nazwiska ich, nazwiska miłe na zawsze.

Wy, których oyczyznę łaskawsze niebo oświeca, możecie naśladować ten wynalazek szczęśliwy; on odżywi wszystko. Wasze drzewa i gaje, tym sposobem nie będą ani milczącemi, ani opuszczałemi; będą zamieszkane przez pamiątki bez liczby, i wasi przyjaciele nieprzytomni, cieniom ich piękności jeszcze przydawać będą.

Coż wam przeszkadza; kiedy dobre niebo pozwoli wam nakoniec cieszyć się dziecięciem, któregoście nie mieli, zasadzoną latoroślą, gajem, albo laskiem dzień ten naznaczyć? Ale w ten czas kiedy ty Muzo śpiewasz, jakiż okrzyk wzbija się razem na powietrze? Oto dziedzic berła królów naszych urodził się, urodził się w naszych murach, w naszych polach, nad wodami naszemi; nasza armata tryum-

fująca ogłasza go obiema światom. Dla przyozdobienia kolebki jego mało to jest same przynosić kwiaty, przynieście jeszcze laury i palmy zwyciężkie. Niech najpierwéy spojrzawszy na ziemię, na dzień zaraz chwały pogląda, niech rodząc się, pieśni zwyciężkich śpiewanie słyszy. Taka uroczystość, nyczystszéy krwi Burbonów powinna jest. A ty, przez którą niebo ten kosztowny dar nam sporządza; ty przez którą ten najpiękniejszy węzeł, ten Niemców i Francuzów naydroższy związek między bratem i mężem zrobiony, których niby dwóch wspaniałych wiązków zetknięte gałęzie wieńiec z kwiatów połączył; Siostró! matko! i żono nayzacieysza! Przeznaczenie nakoniec mięsza ze smutkiem pogrzebu owoc małżeństwa twego, i łzy w oczach twoich z uśmiechem zakłócając, kiedy utracasz matkę, daje ci syna. Insi w zapale wesołości, którą ten dzień sprawuje, płótno, marmur, albo lutnią ożywią, ja w pokorze, Ogródów niskich przyjaciel, w te miejsca póyde, gdzie Flora i Zefiry same dwór twój składają; póyde do *Trianon*. Tam na hołd szczególny, synowi twojemu, wieku jego krzewinę poświęcę, i gajk imieniem jego zaszczycę. Ten prosty podarek, te drzewa młodociane Ogródów tamtych ozdoby naywdzięcznieysze, wzrastać będą pod oczyma twojemi, a syn twój razem z niemi wzrastając, będzie kiedyś pod ich cieniami braterskiemi spoczywał.

Już nakoniec używasz! a serce i oczy pochwalają ci słodkie w lasach uchrony twoje. Czyliż chcesz jeszcze do rokoszy i chwałę przydadź? Czyliż chcesz z sztuki nawet twojéj zwycięztwo otrzymać? już umiejąc szczęśliwie przyozdabiać Ogrody, bądź w nich jeszcze niejako i stwórzycielem. Patrz jak tajemnie natura wzburza się, i widać w niej żądzę jakąś, aby coś ustawicznie rodziła i wydawała; Ty ją wspomagać nie chcesz! Któż zgadnie w skarbach swoich jakie jeszcze dobra przemysłowi naszemu zostawiła? Jak sztuka według swego upodobania wiedzie zabiegi wody, podobnym sposobem prowadzić może sok płodny i ożywiający. W Ogrodach twoich nowém między sobą drzew różnych poźenieniem bogatych: sokom ożywnym nieznane im przedtém pokazuy drogi, nowe pootwieray kanały; które są jeszcze czyste i nietykane, z inszemi pomięszay je, przykładając się do tego; ażeby własności ich wzajemne wspólnie udzielały się sobie. Jakże wiele drzew, kwiatów i owoców znajdziemy, których sztuka, smak, wonność, i kolor przemieniła? Takim odmianom brzoskwinia swoją powinna chwałę, tym sposobem potroyną koroną szczyti się róża, i wdzięczny goździk swoim kędziołem pyszny. Potrzeba to ośmielić: Bóg świat utworzył, a człowiek go przyozdabia.

Jeżeli zaś nie śmiesz takich probować zwycięztw, jakże wiele bogactw pod inszém niebém dla ciebie

przygotowanych? Zażyj tedy tych skarbów. Tak niegdyś Rzymianin pyszny, ów wydzierca sprawiedliwszy, i zwycięzca więcéy mający ludzkości, nowemi zbogacał się owocami; tak sprowadzał do Włoch z Damaszku śliwki, z Armenii morele, od Gallów gruszkowe drzewa, i tyle wielorakich owoców: a tak nawet należało się świat cały sobie podbić. Kiedy Lukullus zwycięzca, z Azji tryumfował; miedź, marmur i złoto, były w oczu Rzym zaślepiony. Człek mądry, między tłumem ludu na ten czas zamiészany, wołał na niego patrzeć, jak roszczkę drzewa wiśniowego na tryumf Rzymianom niesie. A ciż sami Rzymianie, czyliż nie widzieli oyców naszych w szykach uzbrojonych pod niebem szczęśliwszém winogrodu szukających, i chorągwie zczerwienione winem zwyciężonych narodów Bachusowi poświęcających? Owocem dzieł nieśmiertelnych zagrzone woyska ich, powracały do domu z pieśniami, niosąc te łupy naykosztowniejsze. Winną latoroślą skronie swoje uwieńczali, i winna latorośl wieńcami powiązana po włocznich ich zawieszała się.

Tak zwycięzca Gangesu powracał Bóg wina,

Każda ów powrot święci góra i dolina.

I gdzie tylko ten napój cudowny zapłynie,

Wszędzie rokosz, wesołość, i odwaga słynie.

Gallów potomkowie! Przodków naszych naśladowmy: Wydzieraymy, i o te łupy ziemi ubi-

jaymy się. Patrzymy w tych Ogrodach, które się chlubią z tego, że są w ręku, co berło Temidy piastowały, jak krew domu *Lamoignon*, i wymowny *Malesherb*, grunt nasz tysiącem pysznych latorośli ubogacili. Tam od końca świata pozbierane rośliny, z wierzchołka gór i brzegów morskich, od stron zachodnich i wschodnich, od gorącego południa i zimny północy, dzieci słońca i zimy sprawiły to, że w mili jedny tysiączne przebiegam kraje. Tym tłumem wybornym otoczony, z Ameryki do Europy, z Afryki przejeżdżam do Azji. Wszystkie te obce rody między dawnymi naszymi roślinami z ochotą szykując się, grunt nasz ulubiły; a daleki cudzoziemiec z kraju, który porzucił, drzewa poznając i widząc je też same, powątpiewa o wygnaniu swoim, i wspomnieniem słodkiem serce jego wzrusza się. Biorę cię na świadectwo młody Potawery k).

Z szczęśliwych O-taity gruntów, gdzie się rodził,
I gdzie miłość bez wstydu z niewinnością godził, 1)
Ten dziki, ale razem w swéy prostocie miły,
Z za morza dalekiego młodzian tu przybyły,

k) Potawery, jestto imię mieszkańca wyspy niedawno znalezionej O-taity, sprowadzonego od Pana *de Bougainville*: to co się tu mówi o tym młodzieńcu z O-taity prawdziwe jest. W ogrodzie poznawszy drzewo kraju swojego ścisnął go, i oyczyznę swoją przypominał.

1) Mieszkańcy O-taity wstydu nie znają.

Żałował w sercu swoim i słodkiej wolności,
I wyspy swojej wdzięczney, i łatwéj miłości.
Nudząc się w miastach naszych, często odezwie się:
„Wróćcie mi moje lasy! ja wolałbym w lesie.“
Dnia jednego w Ogrodzie, gdzie koszty wielkimi
Ludwik z tysiącznych w jednéj pozgromadzał ziemi
Różne świata rośliny, co się dziś stykają,
Dziwiąc się same sobie, że razem mieszkają:
I kiedy swe polecie z miejscem odmieniały,
Zebrały się, aby hołd Jussiemu dały.
Indycczyk przechodząc się między ich gromady,
Gdy razem postrzegł wśród téj zielonéj osady,
Drzewo jedno, które znał od dzieciństwa swego;
Nagle bieży ku niemu, wśród krzyku wielkiego,
Niespodzianym widokiem poruszony znacznie,
I łzami go obleje, i całować zacznie.
Tysiąc rzeczy zarazem w pamięci mu staje,
Te wdzięczne, w których kiedyś igrał z dziećmi gaje,
To niebo, co go dawniej szczęśliwym widziało,
Ta rzeka, którą często wpław się przebywało.
Ta puszcza, pod pociskiem, gdzie legł mu zwierz dziki,
Drzewa dające owoc, i razem chłodniki,
I niski dach oycowski, i las w przyległości,
Który lubił powtarzać pieśń jego miłości.
Na to wszystko zda mu się, że razem poglądał,
I obaczył kray na czas, co go widzieć żądał.

PIEŚŃ TRZECIA.

Opiewałem Ogrody, lasy, sad zielony;
Kiedy potrzykroć trąba zabrzmiała Bellony;
Na ten krzyk porzucając oyczyste podworza,
Lecą nasi rycerze za dalekie morza,
I Mars nasz zatrudniony ważnemi sprawami,
Pozostawiał Wenerze Ogrody z gajami.
Bóstwa pól! które pokóy lubicie niewinny,
Nie bójcie się! Niechce was Ludwik dobroczynny
Wyniszczać; ale raczén na odległe lądy
Przeniesie, i rozszerzy słodkie wasze rządy.
Chce, by lud przyjacielski zdawna uciskany,
Zbierał z roli pożytek swą ręką zasiany.
A wy, młodzi rycerze, dziwiący świat nowy,
Nie mogę ku Jorkowi wasz zapęd Marsowy
Ścigać po wielkiem morzu, ale powróconych,
Muza ma witać będzie w Ogrodach zielonych.
Już kwiatom nakazałem rość na waszą głowę,
Już wam skronie uwieńczać mirty są gotowe,
Przygotowałem dla was wody szemrające,
Murawę jak najmiększą; ulice chłodzące.
Gdzie słodko spoczywając zapomniawszy toni,
Powiadać nam będziecie sławę naszéy broni.

W tenczas, gdy dzieci wasze wkoło zgromadzone,
Nadzieją wsparte, albo strachem przerażone;
Słuchać będą przypadków, co się wam trafiły,
I bać się niebezpieczeństw, które ustąpiły.

Skonczmy już te chłodne schronienia się przyozdabiać. Przedtém w Ogrodach naszych piaski nieużyteczne, smutne, suche i światło słońca odbijające; nogi i oczy nasze utrudzały. Wszystko było nagie, i słońcem upalone, aż nakoniec Anglia nauczyła nas sztuki ziemi przyozdobienia. Dbay więc o tę murawę usłaną na łonie jéy, ustawicznie ją skrapiaj, w pragnieniu zasilaj, albo z kosą w ręku przycinaj jéy trawę. Niech ją kamienny wał toczący się przytłacza. Niech zawsze dobrze wybrana, złączona, ściśniona i od chwastu nieużytecznego wolna, miękkiego puchu delikatność utrzymuje. Jeżeli się zaś starzeje, staraj się odmłodzić ją: zachowaj jednak w mieyscach nie nadto oddalonych najpiękniejszą jak można, zieloność i murawę twoją; z reszty zaś zrób dobrą łąkę, którą niech owce twoje uprawiają. A tak za jednym razem zrobisz pożytek trzodom, uprawisz pola, i piękny dasz oczom widok. Nie wstydź się więc, chociaż pycha temu przeciwna będzie, wołom i płodnym krowom, Ogrody twoje otworzyć, które je pewnie tém nigdy nie znieważą, tak jako i wierszów moich nie poniżają.

Ale to mało jest, obszerne porobić murawy;
należy jeszcze z jakimś gustem kształt ich układać.
Chronić się potrzeba, ażeby w czworograny jedna-
kowe, albo w nudzące cyrkuły nie były układane.
Niechciałbym je nigdy widzieć ciasno zwężone, bo
wolność ich niejako jest ich najpierwszą pięknoscią.
Niechay czasem w lasku pod cieniem drzew ukry-
wają się, a czasem las niby niech sam ich szuka.
Takie to jest piękny murawy proste i czyste zaży-
cie. Jeżeli zaś chcesz ją lepiej jeszcze przyozdobić,
naśladowy naturę. Ona przystraja łąkę farbami naj-
przyjemniejszymi; kwap się, Ogrody twoje także
żądadają od ciebie kwiatów.

Kwiaty! natura w wasze stroi się kolory!
Sztuka w swoich obrazach z kwiatów bierze wzory,
Czysta serca ofiaro! waszych darów staje,
Czyli je przyjaźń bierze, czyli miłość daje.
Waszém przyozdobieniem twarz piękna się chlubi,
Was w swojém towarzystwie laur zwycięzki lubi;
Rzeźwy wieśniak daje was swojéj ukochanéj
Na znak, i na nagrodę cnoty szanowanéj.
Ołtarz sam, gdzie się cała wielkość Boga mieści,
Ofiarną darów waszych wonnością się pieści;
I te bukiety, które pobożność zwinęła,
Sama je religia z uśmiechem przyjęła.
Córki słońca i rosy! Ogrodna wam rola
Siedliskiem. Chciejcie nasze przyozdobić pola.

Nie czekajcie jednak, ażebym zbyt wiele do was przywiązany, miasto zasadzania w gęstwinie dłuższyć, albo między krzakami rzadzić rozrzuconemi, wyglądając rozwinienia się kwiatka nowego, od grzędy do grzędy, od zagrody do zagrody przechodził, uważając z pilnością farby i odmiany wasze. Ja wiem; że w Harlem m) ci bałwochwalczy kwiatów, w głębokości Ogrodów zamykają się z kwiatkiem swoim, aby widzieli renonkuł, niżeli zorza zabłyśnie: ażeby się zadziwiali nad pięknnością jedynego swego anemonu; Albo też szczęśliwego sąsiada zazdroszcząc sekretowi, wielą pieniędzmi kropki na goździkach przepłacali. Zostawmy im ten zbytek przywiązania, niech posiadają kwiaty jak zawistni, i niech ich używają, jak skąpcy.

Bez podległości sztuce wykwiśnięty, kwiaty! ozdoba pól! i oczu rozkoszy! waszą bogatą barwą przyozdabiacie mi ziemię. Przyjdźcie; ale w obrębie parteru nie zamykajcie się; Niechay wszędzie bogactwa wasze będą rozsypane. Czasem wdziękami swojemi tę zieloność przyozdabiacie, czasem okrywajcie brzeg ścieżki, czasem w bukiety zwijajcie się, i osłaniajcie miejsca zasklepione; Jak rokoszny Meander przy brzegach potoku wieszajcie

m) Harlem, miasto Holenderskie, gdzie jest sławny handel na kwiaty, i to jest wiadomo, jak Holendrzy zawistni są o swoje kwiaty.

się, otykaycie mury, albo zebrane w koszyku słodyczą wonności pszczoły zatrzymujcie.

Niech sobie *Rapin* n) za wami postępując, w każdéy porze roku wszystkie wasze rysy opisuje, wszystkie wasze nazwiska wspomina; te długie wyliczania prawdziwemu gustowi sprzeciwiają się.

Lecz któż winnego Róży hołdu nie oddaje?
Róży, z której Wenera swoje składa gaje,
Wiosna swoje girlandy, miłość swe bukiety;
O której Anakreon śpiewał, i zalety
Szukał Horacy, kiedy dniami świątecznemi
Głowę swą przyozdabiał wieńcy różanemi!

Ale tak rzecz powabna nadto mnie podobno zatrudnia w tenczas, kiedy się do rzeczy nierównie ważniejszyéy malowania zapędziłem. O wy! po których przechadzałem się miękkie murawy! wy łąki wdzięczne żegnam was! Gaje zielone, żegnam! Te bryły skał bez rzędu porozrzucane, swoim nieskładnym pozorem zastanawiają mnie.

Z naszych dawnych Ogrodów pólnych wymuskanéy jednakowości, skał wspaniała dzikość była wypędzona; aż za czasem malarz pewne naznaczając układy, przewiodł prawo nad bojaźliwym ogro-

G 2

n) Xiądz *Rapin* napisał Poema o Ogrodach we czterech pieśniach w łacińskim języku.

du mierniczym, i nasze Ogrody jego naśladowają roboty. Ale chociażby co i przyczyniły ozdoby te bryły skaliste, jeżeli grunt sam nieprzykłada się do tego, na próżno sztuka, ten rywal pyszny natury, niewiernie ją naśladować zapędza się.

Z wierzchołka prawdziwéy skały
Dzikiego swego mieszkania,
Natura śmieje się z całej
Sztuki, skał dzikich zmyślenia:

Porzuciwszy na stronę te niedołężne roboty, które nam próżne usiłowanie wystawia, *Whateli*, ja idę za tobą na pola *Middleton*, na góry *Dowdall* o), na nie ja z tobą wstępuję. Jakże mnie na tych miejscach wdzięczny jakiś postrach obeymuje? Wszystkie te skały, swemi olbrzymiemi różniące się wierzchołkami, wystrzelone ku niebu, zwalone w przepaści, jedne przez drugie wsparte, jedne leżące na drugich, albo na powietrzu zawieszone; insze niby wyrobione w arkady i wieże; przez insze śródkiem ciemnych jakoby przysionków w dalekości błękitność nieba przegląda; tam czyste źródło, indziej strumienie wdzięcznym swoim biegiem zapędziły się! Wszystko to przypomina nam te uchrony magiczne, i śpiewane przez Poetów pełne rokoszy

o) Te miejsca są w Anglii, które opisywał *Whateli*.

mieysca. Szczęśliwy! czyje pola w bliskości, takie mieć mogą widowiska.

Ale w obrazie twoim okazywałoby to ostrość jakowąś. Chcąc tedy dzikość skał takich nieco ugłaskać, trzeba do tego, (że tak powiem) czarów i czarnoxieźnika. Czarownikiem naszym sztuka, a lasy czarami będą. Ona zechce, i zaciemnia się na głos jéy skały, chlubiąc się niby z pożyczanéy sobie wspaniałości. Ale przyozdabiając tak dzikość ich surową, daway zawsze plancie twojéy odmiany jakie. Pokaż patrzącym walkę, jakoby tonów, kształtów i barwy, niechay najpiękniejsze skały pokazują się na przemiany; bo czyliż sam nieprzerwałbyś tych brył nudno jednakich? Zasłoń, otwórz, i mieszay razem skały pomiędzy lasy, i lasy między skałami.

Czyliż nie masz jeszcze dla przyozdobienia ich i drzewek, które błędniemi uściełają się gałęziami? Lubię patrzeć na cieńkie latorośle po suchym skały boku spinające się; na skał łysą i dziką głowę, kiedy przybierze się w zieloność, i cieniem przykryje się! Jeszcze to mało: Między temi skaliskami dolina wdzięczna i ziemia płodna czyliż się do ciebie nie uśmiecha? Zażyj téj łaski natury, odsłoń wzrokowi gruntu płodnego skarb niespodziewany; tak nagła odmiana zawsze szczęśliwa będzie. Ta to jest obfitość, która u czczości gruntu kawa-

łek ziemi uprosiła, i tym to sposobem dziką skał naturę ugłaskać możesz.

I cóż? czyliż to zawsze przyozdabiać je potrzeba będzie, ażeby ci się podobać mogły? Nie: sztuka, która ułagodzić powinna okropność ich, czasem im pozwala, a nawet do tego pomaga, ażeby w swojej zostały się dzikości. Ona nad brzegami przepaści prostą wystawia chatkę, przez co przepaść jeszcze się wydaje większą; czasem ze skały jednéj na drugą most niespodziewany przerzuci.

Na tak przechód niepewny drzę ze strachu cały,
Jak słabym się pomostem złączyły dwie skały,
I wirzód zaciekłych myśli okropnéj zacisze
Mniemam, że się nad samą przepaścią kołyszę.
Wszystko mi w tenczas łatwo w głowie się pomieści,
Co mi lud pospolity nagadał powieści;
Jako się tam podróżnych wiele pograżyło,
I nieszczęsnych kochanków umyślnie skoczyło.
Baśnie dawne, pospólstwo, które zabawiają,
I długie prędko-wiernym wsiom nocy skracają.
Co kiedy mu okropność miejsca pozor daje,
Na czas jakiś do prawdy podobném się staje.

Ale tych ostatnich obrazów z miarą zażyway.
Serce nasze woli spokoynosc szczęśliwą i poruszenia
łagodne, niżeli gwałtowne widoków uderzenie. Ja
tego sam doświadczyłem; że z wierzchołka gór
moich słodko mi było schodzić na uśmiechające się

doliny, które przyozdobiłem kwiatami i gaikami; i już czas jest, ażeby między cieniami ich woda upływała. Tak jest; jeżeli wierzchołki gór waszych przedtém obnażone, z przepisów moich już są przybrane, zielonością; O skały! otworzcie mi źródła podziemne! Wy rzeki! strumienie! piękne jeziora! wody przezroczyste! Przybądźcie; Rozność wszędzie życie i czerstwość. Ach! i czegożbym mógł lepiej miasto was zażyć? Z bliska, woda nas bawi; zdaleka wzywa; to jest, czego szukamy najpiérwéy, i co porzucamy na końcu. Ona, płodną nam czyni ziemię, i odbija na sobie niebo; zabawia ucho, i oczy głaszcze. Wody, przybądźcie! O gdyby wiérse moje ścigając was w zapędzie waszym, obficiey jeszcze, niżeli nurty wasze płynęły! gdyby były rzutnieysze, niżeli wiatry, które poginają trzinę na brzegach waszych, tak wdzięczne, jak szemrania wasze, i tak czyste, jak wy jesteście!

A wy! którzy możecie kierować temi wodami dobroczynnemi, szanujcie w spadaniu uchody, a nawet czasem dziwactwa ich. W téy łatwości wolnych zapędów strumyka, patrz jak woda za brzegu swojego zakrętem idzie; jakim tedy prawem ośmiesz się niewoląc mu gibkość, więzić uchody jego? Cóż mu ozdoby przydadzą wszystkie marmury, któremi go ściskasz? Widzisz, z temi włosami na wiatr rozpuszczonemi, bez przymusu, bez sztuki, i bez obcego przybrania, jak ta pasterka igrając bie-

ży! Jéy całe wdzięki, są w téy wolności i niedbałości! Ale w pośrzedku Saraju rozważay piękność: na próżno ona zaślepić pragnie swoim zwodniczym pychy Azyatyckiey ubiorem; ja niewiem, coś tak smutnego odbija się w ozdobach tych, i odkrywając nam we wszystkim przymus, pohanbia wdzięki jéy.

Niechay więc woda zachowa tę, którą lubi wolność, albo samę nawet niewolą jéy, staray się pięknie przystroić. A tak, mimo wszystkich uwag Morela, (którego głos wymowny za prawami prostéy natury tak się uymowaf), lubię te igrzyska, gdzie woda w ściśnionych rurach płynąc wyrwywa się, i siłą wyrzucona wznosi się w górę. Na weyrzenie na te wody, które sztuka ośmielona z ziemi aż ku niebu podnosi, człowiek sobie rozmyśla, i w takich widokach sam zadziwia się nad sztuką swoją. Niech więc będą te w górę wybijające źródła u panów tylko i królów: ale powtarzam jeszcze, zbytek mieyski niechay się tego chroni, gdzie słabe wyrzucanie wody nieśmiejąc porzucić ziemi, ledwie co że się podniesie, wnet o dwie stopy od gruntu niknie.

Mało to jeszcze. Wszystko powinno być zgodne w tém bogatém ogrodów przystrojeniu. Niechay na koło wszystko ma postać uśmiechającéy się piękności. Umiey to wmówić oczom, że niby laską swoją czarnoxiężką uderzywszy czarownik jaki, te mieysca na swoje obrał schronienie. Taki ja Ogród w S. Cloud widziałem. Oko, rzutu wód zuchwa-

tego wysokość mierzy, które jedne nad drugie wyskakując, góry, gaje przyległe do nich uśmiechają się; murawa tam zieleniejsza, powietrze czyste, i ptaków śpiewanie przy szeleście wód spadających ożywione; drzewa zaś, nachylając skropione gałęzie swoje, zdają się dopiero rozwijać pod tą rosą najsłodsza.

Prościeysza, i więcéy do życia na wsi podobna, a razem niemniej oczom przyjemna kaskada, przyozdobi mieysca naydziwsze. Zbliska dziwimy się, a słyszemy z daleka te wody zawsze spadające, i zawsze na powietrzu wiszące, jak odmienając się ustawicznie ożywiają razem skały, ziemię, wody i lasy. Zażywy więc téy sztuki; ale chroń się kaskady stopnie smutną architekturą wyrabiać, po których regularnie spadając wody rozpędzone, nawet w własnym zapędzie ich naznaczoną kroków swoich miarę zachowują; bo sama tylko różność i odmienność ma prawo nam się podobania.

Kaskada, prócz tego ma swoje insze własności, które wybierać należy. Czasem spadkiem gwałtownym woda pogrążając się w koryto swoje bieży, spada, obija się, pieni się, i szumi. Czasem z wolna rozwijając pław swóy, bez szumu i szelestu czyste wody rozchodząc się, w spadku swoim, niby jaką zasłonę błękitną robią: oko nasze bawi się rozważaniem tego żywego widowiska, i odbijającego się złotego światła słonecznego na tym błękitcie wo-

dy, gdzie razem widzieć, i skał dzikich czarność, i trzciny zieloność, i blaski piany wodnég srebrzyste.

Radź się więc skutków, które sztuka twoja noże wyprowadzić; a te strumienie zawsze łatwe do powodowania się, z nagłością albo powolnie upływając, zdarzą ci widoki wdzięczne, albo zuchwałe, wspaniałe albo rokoszne, zawsze wszelako dzielne. Ach! któż tego nie doznał, jak głębokie w sercu wrażenia woda uczynić może? Czyli ona biegiem gwałtownym i szybkim po kamieniach z żywością przeskakuje, czyli po gruncie błotnistym rzeki powolnég wspaniałe upływa, czyli jég strumień zaciekły pomiędzy skały z traskiem przełamuje się; smutny albo wesoły, żywy, albo wdzięczny bieg jego, porusza mnie, albo ułagadza, grozi mi, albo mnie głaszcze. Powiadają, że Wenery zwodnicza taśma, żądze nacyzulsze, radość i nadzieję, te poprzedniczki rokoszy, miała na sobie wyrażone. Wody są twoim pasem Boska Cybele! są pasem nierównie dzielniejszym, który wesołość i smutek, postrach jakiś i pomięszanie zamyka w sobie. Ach! któż to lepiej mógł uczuć? kto lepiej poznał nademnie?

Często (jak pomnę), kiedy żałość mnie ścisłała,
Do którój, okropności jeszcze noc przydała:
Jeżelim strumień bliski posłyszał mruczący,
Biegłem zaraz odwiedzić zdrój pocieszający.

Oblędnéj jego wody szemrania sprawiały,
Że się ból zatrzymywał, żale zasypiały.
A pogody w mém sercu nagłe powrócenie,
Świadczyło, jak na smutek silne wód mruczenie.

Na nagrodę téj łaski, strumyku, którego bieg
tak mnie zabawia, pozwól niech sztuka (nie nadto
cię w pychę wbijając), jaką ci ozdobę przyda, je-
żeli tylko można cię kiedy przyozdobić.

Strumień źleby się wydał na polach rozległych
i położystych; jego koryto niepewnyby jakiś ciąg
oznaczało: Skromne wody jego z nieśmiałością na
światło dnia wielkiego wychodzą, ale tajemnie mię-
dzy gajem upływać lubią. Strumyk przyozdabia
lasy, i las jest roskoszą jego. Tam miło mi zwolna
postępować za dziwacznym jego ubiegiem, jak cza-
sem niby się czymś zatrudnia, jak spada, jak się
zagina: jak nakoniec na zawady biegu swojego pię-
knie zdaje się gniewać. Często w korycie głębo-
kiem, które ciemna zasłoniła gęstwina, wody sa-
motne i dziki zapęd ukrywa; często pełnym kana-
łem odslaniając kryształ swoje, widzę go nie sły-
sząc, albo słyszę nie widząc.

Tam, jakoby kochanek przy swéj ulubionéj,
Miłośnie ściska wyspę miękkimi ramiony:
Gdzie indziej się dwojaką dzielając strugą,
Z największą skwapliwością jedna ściga drugą.

O lepszą niewinnemi dochodzą zawody,
Która z nich prędzėj bieży, lub ma czystsze wody.
Gdy się potém wraz złączą, i ich kłotnie zginą,
Mruczą wdzięcznie, że z sobą w towarzystwie płyną.

I tymto sposobem błakając się z zapędu w zapęd, cichy, szalejący, spokojny, niestateczny, pod tysiącnym odmienny widokiem, bieg się jego odnawia.

Ale ku tym brzegom uśmiechającym się rzeka mnie woła. W polu bardziej odkrytém wspaniały ten obraz woda rzeczna, już nie tak, jak strumień skromna, naywdzięczniej płynie, i z daleka promień słońca odbija. Ona zostawia strumieniowi jego wesołość dziecinną, jego niespokojność, i jego skręty zawile. Łożysko jéy długim upławem dolinami ciągnąć się będzie, i wolném zgięciem nachylać.

Jeżeli strumień od lasów swoje ozdoby bierze, i rzeka lubi także, ażeby drzewa różne, blade topole, wierzby na pół zielone, brzegi jéy czasem przyozdabiały. Jakże źródło obfite widoków, i wdzięcznych odmian! Tam, miło mi widzieć w wodzie obrócone do góry wierzchołki drzew, zielone ich liście, i trzęsące się za poruszeniem wody albo powietrza! Tu stok błękitny ucieka po podciemne sklepienia; indziej słońce promykami przez ich zieloność przedziera się; czasem w rzece maczają gałęzie swoje, czasem korzenie ich wodę za-

trzymują; a często od brzegu jednego do drugiego rozszerzając liście swoje, zdają się niby z brzegów na brzegi przeskakiwać. Takim sposobem drzewa i wody wspólnie się ratują. Woda, nierównie drzewa żywszemi robi, a drzewo wodę przyozdabia; oboje zaś łącząc się z sobą pod postaciami niezliczonemi, składają razem cienie i światłość najwdzięczniejszą.

Umiey więc połączyć je, albo też, jeżeli w pięknych mieyscach bez przyłożenia się twego natura te wdzięczne związała stadło, szanuyże go. Nieszczęśliwy! kto myśli, że coś więcéy od niey dokazać może! Takie jest kochany mój *Watelet* (serce moje przypomina mi), takie jest proste mieszkania twojego schronienie; gdzie zastanawiając bieg swój czysta jak obyczaje, i wolna jak życie twoje Sekwana, w ciemne dzieląc się kanały, tajemne uchrony mędrcey nawiedza. Sztuka twoja pomogła jéy do tego, ale nie ta zwodnicza sztuka, która jeszcze piękność mieysc naturalnych znieważać zwykła. Godny, ażebyś widział, kochał i czuł natury siłę, ty z pięknościami jéy jak z czystą panną obchodzisz się, która i wstydzi się bydź naga, i przysadnego ustrojenia zdaje się obawiać.

Oto gust fałszywy psuje te mieysca najwdzięczniejsze! Ten młyn, którego szelest pomnaża w głowie zamyślenie, samym jest tylko dla nich wrza-

skiem natrętnym, więc go oddalić. Te brzegi z wolna kierowane, i przez samą zrobioną rzekę; mówią, że smutno ciągną się; miasto zieloności, która opasuje na koło rzeki, woda pomiędzy wyrobione z kamienia ściany upływając, na wieży swoje narzeka. Murawę, marmur pyszny znieważa, i drzew postrzyżonych ród niewolniczy, nad brzegiem dziedzicznym wierzb postarzałych prawo sobie przywłaszcza. Zuchwalce! zastanówcie się, i mieysca te poszanujcie! A ty rzeko naywdzięczniejsza! Wy lasy rokoszne! jeżeli malowałem piękności wasze, jeżeli od lat naymłodszych, miło mi było śpiewać o łące, wodach i cieniach; mieysca wdzięczne! bądźcie kiedyś panu swojemu tém zaspokojeniem, którego obraz nosi w sercu swoim.

Im więcéy rzeka w swoim powolném upływanu, ostrości brzegów zakątnych obawia się, tém bardziey jeziora naprzykład obszernego brzegi ostre, i zacieki dalekie są ozdobą. Niechay ziemia czasem się wzniesie nad łonem wody, czasem fali bijący niechay głębokie otwiera pieczary, i niechay tym sposobem wspólną do siebie mając się miłością, ziemia wód, a woda ziemi szuka. Różność takich widoków bawi weyrzenie nasze.

Oko lubi jeziora rozległe. Jednakże połów mu jakowás tamę dla spoczynku. Jeżeli nie przerwiesz czem wód rozległości, oczy moje bez żadnéy zaba-

wy po ich wierzchu ślizgają się. Dla skrócenia więc ich nudzący rozciągłości, niechay albo chłodna jaka, od upałów szanowana w dalekości między wodami pokazuje się budowla, albo raczy sprowadzić w pośrodku ich wyspę zieloną, bo wyspy wód najpiękniejszą są ozdobą; albo popodność brzegi ich, na których miejscami zielone drzewa rozrzucone, niechay weyrzenie twoje zastanawiają. Przeciwnym sposobem, jeżelibyś je rozszerzyć pragnął, pozniżay brzegi nadto podniesione, odsuń dalej drzewa nadbrzeżne, albo dokaż, ażeby woda niby w gaju ginęła, i znowu ku wzgórkowi zwracała się: pomiędzy te zasłony, gdzie woda ucieka i ginie, gonić ją i powiększać zwykła imaginacya. Tym sposobem oko twoje używa tego, czego nie widzi; tym sposobem gust dowcipny, rzeczy każdej swoje pozory daje; i tych widoków, które sam tworzy albo naśladuje, ściska, rozszerza, kryje, albo odsłania granice.

Niechże teraz w pysznych swoich Ogrodach sztuka z prac moich natrzasa się; w szczęśliwym Ogrodzie moim wszystko weselem i wolnością od-dycha. Dałem na wolą murawie uśmiechający się, ażeby jak chce rosła, lasy nieznając poddano-ści wznoszą gałęzie swoje, kwiaty z węgielnicy, i drzewa z nożyc żartują; woda przy brzegach własnych, i ziemia przy swéj została się ozdobie; a

wszystko będąc prostém, piękném i wspaniałém, jest razem sztuką natury.

Ale te rzeki i te jeziora są pustemi. Wsadźmyż tam różny ryb rodzaj, który rzeźwemi skrzelów wiosły wodę posłuszną porze; we śródku podnosi się i pływa ze wspaniałością, z szyją hardo wzniesioną łabędź białopióry, łabędź, któremu bajecznie wdzięczne śpiewanie przyznawają, a on, obeydnie się na zawsze, ażeby kto zmyślając chciał co do piękności jego przyczynić.

Ażeby więcéy ożywiać wody, czyliż sztuka nie ma jeszcze żagłów i łodzi? Wiosłem popchnięta łódź lekka, uciekając ledwie po sobie ślad zostawuje. Zefir płótna nadyma, i każda banderka na maszcie, staje się igrzyskiem wiatru.

Jeżeli dawne nasze bajeczne, albo prawdziwe dzieje, źródło, czy strumień jaki chwalebniém wspomnieniem poświęcają, tém uczczeniem starożytném wody ich pyszniąc się, przez piękne pamiątki dosyć już są poszanowane. Któreż serce bez wzruszenia się ogląda dzisiay na Aretuzę Alfeusza, albo *Lignon*? Ty naybardziej źródło szczęśliwe *Vaucluse*! Zdroju, na który bez zapalenia się żaden Poeta, i żaden rozkochany nie spoyrzał?

Między temi górami okolnemi, które zakrzywiając łańcuch swój, podsycają wodami swemi podziemne źródła twoje; tam gdzie pod skałą sklepistą, w grocie swéy uświęconéy Nimfa twoja przed ciekawém kryjąc się okiem w przepaści bezedne ciemne źródło swoje ukrywa, jakże lubiłem na twoje poglądać wody; które zawsze najczystsze, czasem w obszerniejszém łożysku całe swe skarby zamykają, czasem wrząc niby podnoszą się, i z brzegów swoich pomiędzy skały nurt swój spieniony rozlewając, z kaskady na kaskadę daleko odbite z niezmiernym spadają szumem. Potém niby gniewy swe uspokajając, po gruncie równiejszym słodki swój strumień rozdzielają, i pod niebem łaskawém przez tyle obfitych kanałów, najwdzięczniejszą dolinę, która kiedy pod słońcem znajdowała się, ożywiają.

Lecz te wody, doliny, ten kray z siebie miły,
Niżli Petrark i Laura, mniej mnie obchodziły.
Oto (myślałem sobie) pod tym dzikim ciosem,
Petrark żalosną lutnię godził z swoim głosem.
Tu z Laurą o miłości często się mówiło,
Późno im zeszło słońce, prędko zachodziło.
Czybym jeszcze nie znalazł na téy skale dzikiéy,
Ich imion połączonych jakie pamiętniki?

Grota jakaś w ustroniu widzieć mi się dała;
Zawołam, Groto! pewnieś szczęście ich widziała.
Pień stary drzewa leży zwalony z korzeniem:
Drzewo! pod twoim kiedyś spoczywała cieniem.
Pytam o Laurę Echa, co go ma dolina,
Jeszcze nie zapomniało, jeszcze ją wspomina.
Wszędzie jakbym tę parę widział, tak się zdało,
I przez nie, ozdób miejscu temu przybywało.

KONIEC PIEŚNI TRZECIEJ.

P I E Ś Ń C Z W A R T A.

Nie przestanę bawić się wodą, łąką, zieleń,
 Bo któżby śmiał tym pieśni mych pogardzić celem?
 Który natchnął Wirgila, Homera przynęcił,
 Że gdy wierszem Achilla gniew pamiętny święcił;
 Gdy nam malował postrach, jak swe konie siecze,
 Poświst lecących włoczni, chrzęst tarczy, i miecze,
 Ciężki Trydent Neptuna, który wzruszał mury;
 Lubi sobie przypomnieć wśród wojennéj chmury,
 Lasy, łąki, i pola, i te mu obrazy,
 Łagodzą na czas pędzla surowe wyrazy.
 A gdy dla Achillesa tarczę wygotuje,
 Jeśli tam oblężenia i trwogi rysuje,
 Zwycięzcę skurzonego, we krwi niewolnika;
 Ręka jego pociesznym wnet sztychem wytyka,
 Winograd, i pastwiska, i lasy, i trzody.
 W taką broń przyodziany ów bohater młody,
 Leci pyszny, i szyki ogromne przebywa,
 Niosąc Ogród na sobie, i bogate żniwa.

Spiewaku Boski! zostawiam ja twojéj Muzie
 wielkomyślnéj staranie rządzenia szykami wojenne-

mi, mojem spokojnem powołaniem jest: Ogrody opisywać. Już grunt wierny prawa mojego słucha, murawy przykryły go, Flora ręką najpiękniejszą rozsypała po niey kwiaty swoje, a las uwieńczył skałę i wody. Teraz ażebyśmy tego miłego użyli widoku, w tych polach odkrytych, pod temi ciemnymi sklepieniami, ścieszki wdzięczne będą mi drogę torować. Na głos mój najpiękniejsze widoki ze wszystkich widoków otwierać się będą, które ażebym lepiej jeszcze przyozdobił, sprowadzę tam rękodzieła, i wspaniała architektura mieysc tych przyozdobienie dokończy.

Scieszki, te kroków naszych przewodniczki, sprowadzając nas do różnych widoków pięknych, powinny te mieysca przyozdabiać. W twoich Ogrodach zaczynających się, nie chciałbym, ażebyś je wcześniej okryślał; ale jak ze wszystkiem skończone będą, oko samo lepiej dla nich wynaydzie mieysce; wszelako pamiętay: ażebyś je ku mieyscom najpiękniejszym kierował. Myśl sobie: jak gdybyś obcemu jakiemu człowiekowi Ogród twój chciał pokazywać; sprawnie szukałbyś tego, coby mu się naybardziej podobać mogło; a chroniłbyś się, coby mu się mniej piękne wydawało. Przechodząc pokazywałbyś mu położenia mieysca najmilsze; a na powrót, nowebyś do widzenia piękności pozostawiał, z zadziwienia w zadziwienie wprowadziłbyś go i bawił; z widoku, który ucieka, chciałbyś,

ażeby ci się urodził inszy; i zawsze napelniając, albo mu zaostarzając żądania, często dla powiększenia ich przedłużałbyś roskoszy jego. Otoż niech ścieszki twoje ciebie w tym samego naśladowają.

W kształcie ich nawet, chroń się wszystkich próżnych prawideł, płodu marnego gustu, i przez modę tylko przywłaszczonych. Moda panuje w polach, tak jak i w mieście. Kiedy Ogrody Włoskie symetrycznemi układami zaczęły bawić Francją, każdy chciał w tém kształcie Ogród swój pokazać okazałym. Żadne drzewo nie śmiało za sznur wyciągnięty postąpić, wszystko swoją miarę zachowało, i wszędzie we dwa rzędy ciągnęły się ulice nieskończone. Insze czasy, i gust inszy nastąpił. Ogród Angielski nakoniec przestrzegł Francuzów, że to prawdziwą pięknoscia jest, co więcéy zachowuje wolności. W tenczas same tylko krzywe w Ogrodach przechody, same ścieszki zawile, i drogi zwrotne, obaczyć było. Unudzony błakaniem ustawiczném na próżno metę przed sobą widzę, potrzeba jeszcze bładzić, i mimo woli moję kręcić się; a przeklinając sto razy ten zachód uprzykrzony, zbliżać się do końca ustawicznie, który się bez końca umyka.

Chroń się tych zbytków nieporządných; bo zbytek każdy krótko trwać będzie. Z pomiędzy ścieszek wielorakich, każdy z nich rodzaj ma swoje miejsce. Jedna prowadzi do widoku jakiego, któ-

rego wspaniałość wdzięczna z daleka zastanawia oczy moje, i podsycza oczekiwanie; insza mnie zabłąka w te uchrony tajemne, które sztuka dowcipna umyślnie zastaniać się zdaje. Ale zrób naturalnym tego przez ciebie wyrobionego Dedala, niech zawsze ma postać potrzeby, a nigdy wymysłu niepotrzebnego. Niechay różne przypadkowe widoki zdybując ścieżkę w zapędzie, lasy, wody, murawy, rządzą jéy zabiegami. W kształcie ścieżek żądałbym jeszcze szczęśliwego ich naginania się. Jakże nie lubię, téy ich smutnéy, i daleko ciągnionéy linii, a więcéy jeszcze biegu ich zaplątanego, który podobny do węża zranionego, zwija się ustawicznie w bolu gwałtownym. Ścieżka takowa zwrotami powtórzonemi niespokojność i utrudzenie sprawuje; a nie pokazując mi czasami odmian pięknych, przykra i zbytkująca, pastwi się tylko nad ziemią, memi oczyma i nogami.

Ale są zgięcia ścieżek szczęśliwe i nachylenia się ich naturalne, których wzory po wsiach często obaczyć można. Droga wieśniaczych wozów, ścieżki owiec, które krokiem zaniedbanym do koszar powracają; Pasterka zapomniana, która po łące za swego zamyślenia się przypadkowemi obłędami postępuje: nauczają cię tego łatwego ścieżki twojéy nachylenia. Strzeż się więc ścieżek pełnych przykrych zakątów; naybardziey zaś, kiedy już przychodząc do końca długim ścieżki zakrętem wiedziony

jesteś, pamiętaj, że rokoszą jakowąś za trudy
twoje zapłacony być powinien.

Poetów sławnych sztuki naśladowy: jeżeli unosi-
jąc się Muza ich, czasem sobie zboczenia jakiego
pozwoli, to oddalenie się wdzięczniejsze mi jest,
niżeli droga ich sama. Będzie to Nizus, Euryala
broniący, którego kocha; będzie to Adromaka przy
grobie Hektora płacząca; a tym sposobem niech
sztuka twoja słodkimi zawsze wiedzie mnie obłą-
dami. Milszym czasem widokiem ścieżki twoje roz-
weselay, a niech do końca już przyszedłszy sztuka
nam za trud nagrodzi widokami pięknymi, wspania-
łymi ozdobami, i tego żywego Poema wdzięcznymi
epizodami. Tu mi pokażesz jaskinią smutkiem
i zielonością przykrytą, gdzie czerstwość, zacisze i
cienie, zamieszkały; imaginacya do miejsc takich
oczy uprzedzać zwykła. Daléy trochę piękne je-
zioro, o które promień słońca odbija się czasem w
dalekości, w której się *objecta* mieszają i nikną,
otwiera się niezmierna i wspaniała perspektywa;
czasem uśmiechająca się, ale nierozległa łąka, przez
ciebie i naturę bogato przystrojona. Pełna tego ma-
jątku wiejskiego, kwiatów i zacisza, zdaje się ciebie
wołać: „Zatrzymaj się, gdzież możesz lepiej
„się bawić?“ W tym nagle widok odmienia się;
miasto dopiero widzianych miejsc wesołych, same
smutne weyrzenia i spokojność panuje. Są to

ustronia, któremi tuczy się rozmyślanie, i głębokie żyje zanurzenie się.

Tam to człowiek przychodzi z sercem swoim gadać,
Rozmyślać, co jest teraz, w przyszłości się badać;
Wspomina na złe, dobre, co mu się trafiało,
I dziwi się, dobrego jak znajduje mało,
Niby kwiat wśród pustyni!... przecież chciałby
wrócić

Wiek dawny, choćby z przeszłą przykrością się kłócić.

Chroń się więc naśladować tych mistrzów sztuki, którzy w ozdobach Ogrodów swoich same tylko podchlebne widoki wystawiają. Nie widać u nich wspaniałej owęj dzieła zuchwałości, ale wszędzie same sklezione ulice, same wymuskane gaiki: Wszędzie kwiaty, wszędzie z nich wieńce i Flory, albo miłości kościoł. Mieysc takich wesołość jednostayna nareszcie unudza mnie. Ale ty, ośmiel się wystąpić z drogi téj pospolitéy; wymyślaj, układaj rzeczy sobie niby sprzeciwiające się, które się wspólnie ratować będą. Powinien w tém bydź naśladowany *Poussin* p), który odmalowawszy wesołe galowe schadzki, gdzie pasterze i młode pasterki ująwszy się za ręce tańczą; blisko nich grób odmalował, na którym te słowa wyryte: „I ja byłem także

p) *Poussin*, sławny malarz Francuzki, którego wysokość myśli w obrazie, który się tu opisuje, wydała się.

„pasterzem Arkadyi.“ Obraz taki rokoszy, i razem nikiemności życia ludzkiego zdaje się do nas mówić: Ludzie śmiertelni! kwapcie się z używaniem rokoszy! igrzyska, tańce i pasterze, wszystko to zniknie. W duszy zaś rozrzewionéy, po najwyższéy wesołości, stopniami słodki smutek następuje.

Naśladowcież takowe wzory. Pomiędzy najweselszemi widokami, niech się czasem pokażą mogiły i groby, te wierne żalu waszego pamiętniki: Ach! któż z was znajdzie się, ażeby nad stratą jaką nie płakał? Oddaliwszy się na ustronie od tego świata marnego, przypuśćcie tylko do towarzysztwa łąz waszych lasy, kwiaty i wody. Wszystko pewnie dusz czułych będzie przyjacielem.

Już ten grób, dzielący się z wami zażaleniem;
Chłodne gałęzie cichym obeymują cieniem
Jodeł ponurych! A ty cyprysie posępny,
Przyjacielu okrzepłych zwłoków nieodstępny!
Twa gałąź, miła czułym sercom i smutkowi:
Zostawia Mirtom radość, a chwałę Laurowi.
Tyś nie kochanków drzewem, ale waleczności;
Lecz swą nad nami bolisz postacią litości.

We wszystkich takich grobach i pamiątkach, marnych wynalazków chronić się należy. Połącz jak tylko można w téy rzeczy naydotkliwszéy, sztukę twą z smutkiem, i wspaniały zbytek z prostotą

wieyską. Naybardziej zaś wystrzegay się zmyślania i przysady każdéy. Dlatego daleko ztąd niech będą te trunny wymuskane, te żałobne bez żalu urny, które płochy wymysł wystawia; daleko ztąd groby psów twoich albo ptaków, które żalosc znieważają, i z grobów się natrzęsają.

Jeślić kogo grobowcem poczcic ci się zdało;
Patrz! oto pod te drzewa przynoszą tych ciało,
Co dla ciebie niewdzięczny zagon uprawiają,
Na łonie niedostatku pogrzebu czekają.
Czyliż się będziesz wstydzil ozdobić ich groby?
Pisać tam co o wielkich dziełach nie byłoby,
To prawda, bo od zorzy, kiedy kogut ranny,
Obudził ich, dając znak pracy nieustannéy,
Aż do nocy, gdzie dzieci i matka troskliwa,
Otoczą w koło garnek nędznego warzywa;
W pracy równéy dni swoje pędzą niespokoyne,
Których ni przez sojusze, ni znaczą przez wojnę.
Rodzić się, cierpieć, umrzeć, to im tylko dano:
Ale chcieliby przecie, by ich pamiętano.
Któryż człowiek, kiedy się już nad grobem chwije;
Nie zwraca smutnych oczu na jakąś nadzieję,
Że będzie żalowany? Komuż więc nie miła
Łza, którą przyjacielska powieka zroniła?
Dla pociechy ich życia, szanuy ich mogiły.
Ten, co losy zawstydzil, że go poniżyły,
Służył Bogu, Królowi, krajowi, rodzinie,
Co wstydu uczył córki, którym we wsi słynie.

Kamieniem gładziey rznętym grób jego naznaczę,
Gdzie wypiszę i cnoty, i sąsiadów płacze.
Gdzie go taki nagrobek pochwali przed gminem :
„Tu leży: co był dobrym mężem, oycem, synem.“
Trafi się, że przypadkiem ściągniony w te strony,
Na te święte zagrody spojrzysz poruszony.
Muzo! co tak pod drzewy śpiewasz grobowemi,
Niżeli je porzucisz, niech rękami twemi
Na ich gałęziach wieńce będą zawieszzone,
Znaki twojéj czułości . . . Niech kto upiękzone
Twarze wierszem opiewa, niech roskoszy syty,
Chodząc nosi na głowie wieniec z mirtu wity,
Niechay swe pieśni samą radością napawa,
Na czele cieszących się w świetnéj sukni stawa;
Ty pieśń pocieszającą śpieway nad grobami,
I pierwsza ofiarnemi uwieńcz ją kwiatami,

Wróćmy się, bo czas jest, pod nierównie weselsze cienie Architektura jeszcze w pośródku tego gaiku czeka mnie, ażebym go przystroił budowlą wdzięczną. Już tu nie będą smutne żalu pamiątki, ale raczéy słodkie uchrony, któreby między zielenością pod różném coraz weyrzeniem uśmiechający się widok oczom pokazywały. Ale kiedy tego pozwalałam, zbytku zawsze chronić się potrzeba.

Wyrzućcie z Ogrodów waszych cały ten tłum budowli różnych przez samą tylko modę przyjętych; te Obeliski, Rotundy, Pagody, gmachy

Rzymskie, Greckie, Chińskie, Arabskie; tę mieszaninę architektury bez końca, wyboru, który zbytek marnie szafowany w Ogrodzie jednym, cztery części świata zamyka. Nie szukay nawet w budowlach twoich ozdób nadaremnych, ale zawsze pożytek umiey ukryć pod wdziękami. Folwark, skarbiec, miejsce rozrywek pana, będą miały najpierwsze prawo bydź przyozdobionemi, i niechay pyszny pałac niemi nie pogardza, bo on tym miescom winien jest przepych swój; proste zaś wdzięki ich, zdają się mieć górę nad wspaniałością jego, jak sztuką wypiękrzona Armida, ustępuje wdzięcznemu uśmiechowi, gładkiey a niewinnéy dziewczyny.

Folwarku! na to imię i żniwa, i sady,
I pasterskie starania, i bydłał gromady,
Te dobra wieków złotych, w pamięci mi żywée
Stały, gdym w dzieciństwie lat moich szczęśliwy;
To nad wszystko przekładał! dziś na zamian cały,
Same mi tylko po nich żale pozostały.
Folwarku! stań mi teraz; zda mi się, że twego,
Słyszę już wdzięczne głosy ptactwa domowego;
Szum wozów, które żniwo do gumna prowadzi,
I łoskot tylu biczów wesołej czeladzi.

Staray się więc przyozdobić to miejsce; ale chroniąc się zawsze przysady; ażeby folwark twój nie zdawał się bydź pałacem. Piękny i razem w

swoim rodzaju prosty folwark przy ogrodzie jest to, co wiersz wieśniaczy w rymotworstwie. Ale, przez bostwa wieyskie! niechay zbytek i przepych od tego mieysca niewinnego będzie na zawsze oddalony. Nie choway w kącie pras twoich od winogradu, ani twojego gumna! miło mi spojrzeć na narzędzia żniwa i winobrania; niech przetak, wiejaczka, z której złote pszenicy ziarno w górę z plewami wznosząc się, czyste na ziemię spada, niech brona, sianie i cały sprzęt wieyski niewstydzając się, pokaże mi się. Naybardziej zaś zwierzęta domowe, których widok ruszający się wewnątrz i zewnątrz folwarku, daje mu jakowąś postać żyjącą. Już to nie są pałacu ozdoby marne, wdzięki nieczułe i wspaniałość nieruchoma; wszystko tu żyje, wszystko w tych murach i pod temi dachami zaludnione. Niechay ptactwo różniące się głosem i instynktem, mieszkające pod słomą, albo dachówką, Familie, Narody, Rzeczypospolite, Królestwa, zatrudniają mnie swojemi obyczajami, i bawią igraniem swoim. Na czele ich

Kogut, oyciec, kochanek, i wzór waleczności,
Który rządząc słodyczą, Sułtan bez miękkości,
Gdy miłość swym Sarajom skrzydlatym rozdawa,
Łączy z prawem odwagi, i piękności prawa.
Czy rozkaże z dobrocią, czy go miłość rusza,
Nigdy się pyszna jego nie upodli dusza,

Utworzony na roszkosz, na władzę, i męstwo,
Kocha, walczy, zwycięża, i śpiewa zwycięstwo.

Słodkoby ci było poglądać na ich igrzyska, walki, nienawiści, miłości, a nawet ich obiady.

Opatrzna gospodyni ledwie wyйдzie z chaty,
Opalkę mając w rękę; wnet narod skrzydlaty,
Z wierzchołka swych kurników, z dachów każdéj
strony,

Zlatuje się w nierządnym tłumie zgromadzony,
W koło niey się naciśnie tłok chciwy obłowy,
Te zawsze odganiane powracają znowu;
Z rąk samych, gdy opalkę z zbożem obsiadają,
Zuchwałé stołowniki ziarna wydzierają.

Miey więc staranie i dbałość około tego narodu domowego. Niechay budowle ich będą zdrowe, a nie wspaniałe. Na coż się przyda kurnik bogato przyozdobiony? podłoga z marmuru? i kraty ozłoczone? *Fontaine* powiedział: że jedno ziarno jęczmienia daleko im jest milsze. O *Fontaine* mędrцу prawdziwy! Ciebieby na tém miejscu potrzeba! Malarzu instynktu najszcześliwszy, o jakie te widoki myśl twoję poruszyłyby? Paw pyszny z tęczy ogona swojego, który go ozdobi; duma indyka jeszcze daleko głupsza, dla rozrywki naszey pędzel twój zabawiłyby. Tu twoich gołębi poznałbyś obraz.

A widząc rozkochanych kogutów zaboje,
Rzekłbyś jeszcze: Miłości! tyś zgubiła Troję.“

I tym to sposobem folwark nam podoba się z
jego postacią ożywioną.

W inszém zamknięciu jakiż to naród zgromadzony krzykiem swoim uszy moje napelnia? Tam są zwierząt obcych osobliwości; tam w słodkiem wygnaniu żyją zamknięte zwierzęta czworonogie, i ptaki jedne nad drugimi dziwujące się. Nie staray się koniecznie o rodzaje ich dziwaczne, albo naybardziej rzadkie, ale zbieray tylko naypiękniejsze. Pokazuy nam te ptaki, które pod inszém niebem zrodzone, pieszczone dzieci słońca, ogniem jego płonieją; jakie jest złoto purpurowe Bażanta, i tyłu wdzięcznemi kolorami Pintad q). W piękniejszych zamykay klatkach te b gaciey przybrane ptaki: one same, są już niejakiem zbytkiem; i ponieważ ozdoba ich nagradza ci za ich niepożyteczność, niechże przynajmniey więzienie tych pięknych niewolników będzie okazałe. Naybardziej, nie pokazuy mi w klatkach tych zwierząt dzikich, których pycha więzami naszymi nadto się czuje upokorzona.

Któż widzi bez wzruszenia króla ptaków, który
W czasie swojey wolności lubił igrać z chmury!

q) *Pintad*, ptak Amerykański wielą piękniemi kolorami ubarwiony.

Dziś zapomniał spodlony więzieniem niesławnym;
O błyskanie swych oczu i swym locie dawnym.
Wróć mu słońce, powietrza wróć obszerne łono,
Nie mogę się istnością bawić znieważoną.

Ale w tenczas, kiedy chwaląc się przed nami
obcym swoim ubiorem, te z krain dalekich goście,
każdy nas do siebie wzywa; powonienie moje ozionione
słodyczą ciągnie mnie pod te dachy, gdzie równie
wugnane, i z ich ziemi wyrwane obce krzewy, won-
ném otoczone powietrzem, słabe rośliny pod szkło
dla ciepła ukryły się. Ale wy, którzy własność
klimatów zwyciężacie, pory przynajmniej roku sza-
nujcie! Nie przymuszajcie, ażeby na łonie gruntu
oziębionego rozwijały się te dary ziemi, które in-
szemu czasowi natura naznaczyła.

Zostawcie mieyscom zgnębionym przez zimę
ustawiczną, te fałszywe lata owoce, te kwiaty wio-
sny zmyślonéy. I kiedy promieniem słońca doyrze-
wać mają owoce wasze, nie nagląc darów jego w
czasie niezwyčajnym, czekajcie w porze własnéy
hojności jego. Atoli, miło mi czasem spojrzeć na
te dachy szklanne, te schronienia się przeźroczyste,
pokazujące mi krain najdalszych daninę wieloraką.
Ten to uchron, Jasminy Iberyiskie, i zimny Bar-
winek przyzwyczajają, że o swojéy oyczyźnie zapo-
minają; a żółty Ananas ich ciepłem oszukany, oia-
ruje ci owocu swojego skarby musiem wynagłone.

Układay więc na przemiany, twoje różne budowle; te zwierząt, kwiatów i roślin wdzięczne gospody. Jak wiele jeszcze krzewów, które ziemia nasza przyjęła i gust pochwalił, może oczy nasze zabawić? Pod temi wierzbami, które wody żywe oblewają, założyłbym łąźnie pożyteczne; dalej, chata chłodna miałaby wężki i sieci rybacze; widzisz tego lasku wdzięczną osobność, to miejsce poświęciłbym Muz i nauk schronieniu. W tym wspa-
niałym i długim zakęcie lasu, kazałbym podnieść pyszny obelisk, który kiedy się do góry dźwiga, na dole napisałbym: „Odważnym naszym obywatelom, co za oyczyznę polegli.“

Tym sposobem budowle wasze próżnemi i opuszczonemi nie będą. Do położenia miejsca, i kształt ich i wielkość przyrównyway. Niech każda z nich z gustem na swoim miejscu leży, ani nadto ściśniona, ani nadto rozciąga; niech nie zasłania widoku, ani sama się nie kryje.

Znay się na tém, co jest istotne, albo rzeczy twojey szkodliwe. Budowla oddalona w miejscu jakim dzikiem, maluje nam jeszcze lepiej osobność. Bądźże naturalnym w zażyciu rzeczy każdej. W pośrodku pola nie zakładay domku pustelnika; nie choway kościoła w głębinie lasu dzikiego; Kościół lubi się okazać na wzgórku jakim; jego położenie na wolném powietrzu daje widokowi takiemu niby życie, ruch i wspaniałość, a zdaje mi się, że je-

stem w pośrodku pięknej Auzonii. Otoż to jest, co należy do wdzięków i piękności budowli wiejskiej.

Ale tych gmachów błyszcząca się wesołość, zbytek w nich tegowieczny, i młodość żywa, czyliż staną nam za starość rozwalin dawnych? Spoyrzenie smutne na te porzucane bryły robot dawnego świata, ich kształt osobliwy, wzrok nasz zatrzymuje. Przez nieto bieg lat na ziemi oznacza się; rozrzucone przez wybuchnienie ogniów podziemnych, przez burze, albo wojny; uczą nas zawsze, a czasem cieszą.

Te bryły, które ciężar wieków przeszłych znają,
Żeśmy równym podlegli klęskom, nauczają.
Że wszystko do upadku prędzę, wolniey, bieży,
I losowi to zawsze darować należy.

Tak niegdyś na Kartagi rozwalinach dawnęy,
Nieszczęściami goniony siadł Maryusz sławny.
I te (wiekom pamiętne fortuny igrzyska)
Wspólnie się pocieszały dwa wielkie zwaliska.

Przyłącz więc do twego pałacu te szanowne świata starego reszty. A ty, która po tych dziłkich błakając uchodach, daleko od ubitego goścince i drogi zwyczajnej, nowemi ścieszkami sztukę ogrodniczą wiedziesz; siostró malarstwa wdzięczna poezyo! powróć życie tym samym rozwalinom, pokaż gustowi te drogie przypadki, które swoją powolną ręką czas odrysował.

Czasem w dalekości pokaże się jaka dawna i prosta kaplica; to święte schronienie; gdzie kiedyś w czasie wiosennym panny, mężatki i dzieci, na wiejskiem ołtarzu o żniwo przyszłe, błagały Przedwiecznego. Długiem wprawieniem się przeciągniona szanowność poświęca do tych czas te rozwaliny.

Czasem widzieć się daje zamczysko stare, które przyciskając kiedyś tyranstwem całą okolicę, z wierzchołka góry-swojej podnosząc, aż do nieba baszty ogromne, czyniło postrach poddanym; które w owych dawnych czasach rycerzów szablą i kopiją dowodzących widziało: dziś po jego rozwalinach zasiane zboże chwieje się. Te ułamki, ta zuchwała i razem smutna architektura, którą otacza wdzięczna zieloność, te kąty, ta stoczystość twierdzy, te stare reszty wież niedowalonych, gdzie ptak spokojnie gniazdo swoje założył, te trzody owiec przechodzące pomiędzy zasieki kiedyś niedobyte, i te dzieci, które swobodnie na tych miejscach igrają, gdzie się krwawo oycowie ich potykali; te wszystkie różne między sobą pozgromadzay widoki, i pokaż oczom ten obraz wdzięczny, zuchwały, wiejski i wojenny.

Daléy widzieć się daje drzewem otoczony,

Mur klasztoru starego z dawna opuszczony:

Jakaż tu cichuść! w témto miejscu rozmyślanie,

Ten kochanek pustyni, ma wdzięczne mieszkanie.

W tychto świętych przysionkach bogoboyne panny
Kiedys, jak przed ołtarzem ogień nieustanny,
Którego smutne światło oświeca gmach cały,
Wybladłe, czuwające, płonęły, niszczały.
Z niewinnością spokojną święte zamyślenia
Zdają się jeszcze mieszkać wśród tego milczenia.
Mech porosły na murach, te kopuły, wieże,
Te klasztorne sklepienia, których ciemność strzeże.
Te schody przed ołtarzem starte kolanami,
I sam kiedys przybytek Boga z ziemianami;
Gdzie może nieszczęśliwych tych ofiar nie mało,
Przed ołtarzem na więzy surowe płakało;
I biedząc się z pamięcią swobody straconej,
Łez samęj Religii dobyły zmiękczonej!
Wszystko mię tam porusza, wszystkie mówią ściany!
W takiej pustyni w myślach chodząc obłąkany,
Często rozumiem, gdy się ku zachodu chyli,
Że słyszę, jak cień smutnej Heloizy kwili r)

Zażywy więc pożytecznie tych reszt naydroższych,
wspaniałych, albo dotkliwych, zrobionych kiedys
od ludzi świata, albo pobożności.

Ale nie chwytaemy się nigdy tych zmyślonych
rozwalin, które tak nikczemnie czasów dawnych
starość naśladowa. Wszystkie te świeżo wystawione,

r) Heloiza, sławna zakonnica miłością i listami swemi
do Abelarda.

a niby dawne kościoły, te reszty zamku, którego nigdy nie było, te stare mosty wczoray stworzone, i ta wieża gotycka, z tą postacią opustoszałą, nie mająca kształtu starożytności: sztuką są razem niezdolną i nikczemną! Na co poglądając zdaje mi się, że widzę dziecię marnie się układające, i chcące udawać starość zmarszczeniem twarzy swojej, a fałszywie zmyśliwszy starego, gubiące wdzięki wieku młodocianego. Ale rozwaliny prawdziwe zabawiają oczy moje; które będąc oyców naszych rowiennikami, miło mi się zapytać ich o dawnych dziejach, i łatwo mi nawet uwierzyć im. Czasów i ludzi one mi przypominają historią; a im sławniejsze są te czasy, i ludzie więksi, tym na rozwaliny starożytne z większym zastanowieniem się poglądam.

O wdzięczne pola Włoskie! Rzymu okolice!
W pośrodku waszój leży szczęśliwój ziemice,
Nikczemności człowieka przepych pogrzebiony!
Tam zwaliska wstawione wielkimi imiony,
Pełne ważnych pamiątek, wysokiey nauki,
Uczą pięknego miejsca położenia sztuki.
Patrz, jako z każdój strony zbiegłszy wieki mnogie
Podarły, rozproszyły, rozwaliny drogie.
Miecąc groby na groby, i gmachy kościelne,
Pokazują nam Rzymu reszty nieśmiertelne.
Te przysionki, arkady, gdzie kamienie ryte
Chowają jeszcze Rzymian dzieła znamienite;

Ich grubość niezwałtłona mocuje się z czasem!
Tym kiedyś po powietrzu rzeka szła nawiasem,
Ta bramą wprowadzano łup zdartego świata.
Wszędzie wiek zamięszane z popiołem pomiała
Łaźnie, pałace, groby, Cezarów potężnych!
W tenczas, kiedy moc większa niby niedołącznych
Horacego, Owida, i Wirgila wiérszy,
Pokazuje nam ślady, i przepych ich pierwszy.
Szczęśliwy! po sto razy ogrodnik szczęśliwy,
Co te blisko mieć może starożytne dziwy.
Już ciężka czasu ręka sama go ratuje,
Już natura prawami swemi dokazuje,
Nad ogromną wielkością zeszlých panów ziemi!
W miejscu, gdzie Pompejusz królmi zgnębionemi,
Chlubił się z taką pychą; jak w Ewandra czasie,
Pasterski flet i trąba tylko odzywa się.
Pola się uśmiechają rolnikom wrócone,
Kozy nad zwaliskami pasą zawieszone.
Pyszny kiedyś obelisk leży między zioły,
Chwast wspaniałą kolumnę okrążył napoły;
Gęsta wzrosła krzewina i paprocie płone,
Które się albo wznoszą, lub schylają w stronę,
Które, na rozwalinach lekkie wiatry siały!
Figa, drzewo oliwne, bliżey się przybrały,
I kiedy się do gruzów ich korzeń przypina,
Niszczą ciosem ostatnim dzieło Rzymianina.
Tak, giętkie winogrady, gałęziste bluszcze,
Nakoło tych ułomków w ciemną rosną puszcze,

I gdy się w różne kształty przy nich naginają,
Albo zdobią ich starość, albo zakrywają.

A jeżeli mieć nie możesz tak sławnych ruin, nie
maszże przynajmniej tego bronzu ożywionego, i
tych marmurów gadających, bóstwa dawnego świata?
gdzie sama sztuka bożyszcem była, i hołdu
świętego na ludziach wymagała.

Ja wiem, że gust surowy chce z Ogrodów wy-
pędzić wszystkie te Rzymian i Greków bóstwa. I
za cóż to? od dzieciństwa naszego do Aten i Rzymu
przywykli, oswoiliśmy się z wdzięcznemi ich ba-
śniami. Ale ciż bogowie, czyliż rolnikami, albo
pasterzami nie byli? Dla czegoż przed niemi gaje
wasze i Ogrody zamykać? Bez Pomony, czyliżby
dojrzały owoce wasze? albo czy możecież Florze
nad kwiatami jéy panowanie odebrać? Ach! niechże
te bóstwa zawsze oczy nasze zabawiają, kiedy po-
dobném nazwać się może bałwochwalstem, i ta
cześć, którą sztukom wyzwolonym wyrządzamy.
Ale rzeźba w nich niech będzie doskonała. Dla-
tego zdaleka od Ogrodów twoich niech będą te bós-
twa bez majestatu, i te boginie bez wdzięków.
Bóstwu każdemu jego własne naznacz miejsce;
niech bożek jeden drugiego prawa nie krzywdzi, i
niechay się *Pan* w lesie zostanie. Zkąd to jest, że
te Najady, te Trytony, na gruncie suchym z Drya-
dami się pomięszaly? Po co tu ten Nil liściem

trzciny uwieńczony, w którego urnie prochem zakurzonéy ptak powietrzny swojego schronienia szuka? Precz złąd te lwy, i dzikie tygrysy! *monstra* te, przestraszają mnie nawet w obrazach ich! I te smutne Cezary sto razy jeszcze dziwaczniejsze od zwierząt, nikczemnie weyscia do ulic strzegące, które teraz nawet, obrzydzone podeyżrzliwością i występkiem, zdają się jeszcze okiem wytykać ofiarę dla siebie z ludzi. Jakieżże prawem weszli do tego mieszkania wesołego? Pokaż mi w Ogrodzie twoim ludzi, do których bardziey lgnie serce nasze, i z mieysca, któreś naznaczył na ubóstwienie ich, zrób pola Elizeyskie, gdzieby cienie ich odpoczywały. Daleko od oczu pospolitych, w dolinach okrytych laurami woniejącemi, mirtami zawsze zielonemi, z białych marmurów niech będą powystawiane posągi ich; niech woda zwolna upływająca oblewa gaje te, z cieniami wieczornemi dzień niepewny mieszając. Dyana swoim promieniem słodkim mieysca tego niech będzie gwiazdą. Ich spokojna piękność pod temi zielonemi dachami; tych marmurów białość i czystość, tych wielkich ludzi nierażący i niewinny majestat, te wody w cichości upływające (rzeki Leteyskiej wyobrażenie), które zdają się dla serc ich wolnych od trosków, przygód życia płynąć zapomnieniem; te drzewa, i ten dzień ginący pod ich ciemném zaciszem, wszystko to ma postać mieszkania duchów szczęśliwych. Nie ubó-

stwiay więc na takich miejscach, tylko mężów cnotę spokojną lubiących. Daleko ztąd niech będą owi wojownicy, nawykli ziemię pustoszyć; bo jako zakłócali światem, takby i te miejsca zamieszali. Postaw tam raczén przyjaciół bogów i ludzi; którzy przez wyświadczone łaski w pamięci żyją; postaw tych królów, którzy kiedy sławy swéy nabywali, żaden z poddanych ich nie zapłakał. Pokaż tam *Fenelona*, na któregooby oko nasze z wzruszeniem poglądało, i *Henryka*, przed którym *Sully* powstaje, a on go mile przyciska.

Zasadź tam i kwiaty, któremibym uwieńczył głowę tych mędrców, co na poezciwém wygnaniu w odległych krajach uczyli, i rozszerzali rękodzieła potrzebne. Ty naybardziej odważny Kook s), który kochany od wszystkich, zginieniem twojém złączyłeś w jedno żałość zakłóconéy z Francuzami Anglii. Ty, który w te dalekie krainy, gdzie dawniej przyyscie nasze sama burzliwa ogłaszała armata, nowy Tryptolem, sprowadziłeś z oyczyzny twojéy konie, owce, woły, pługi i insze potrzebne narzędzia, zamazując tym sposobem zboyców Europy pod tamtém niebem zażartóść. Okręty twoje

s) Wszyscy wiedzą o żegludze sławnego Anglika *Koola*, który z dobrocią naywiększą obchodził się z narodami znalezionemi. Król Francuzki pod czas wojny z Anglią przykazał okrętom swoim szanować, gdzie tylko na morzu zdybią tego sławnego żeglarza.

do nich zawijając, pokoy im ogłaszały, a powracając od nich zostawiały im dobrodzieystwa. Odbierz więc ten hołd od dziecięcia Francyi; bo za cóż kray jego, ma mi broń wdzięczności, którego cnoty współobywatelem naszym zrobiły? Naśladowmy w tém króla naszego, który był dla niego jak swoim królem. Ach! na cóż mu się przydało, że śmiałość jego po dwa razy zapędziła go pod te nieba ogniste? że się przebijał przez morza lodami wzdęte? że w tenczas, kiedy go narody różne, wiatry i wody poważały, kiedy sam okręt jego na rozległych morzach nayświętobliwiey szanowany był, i dla niego samego wojna zapominała ośtrości swojey; przyjaciel świata, marnie od ludzi dzikich ginie!

Wy pyszne dzieci Albionu! które nad jego śmiercią płaczecie, naśladowcie szlachetne zapędy jego. Czemuż między równemi waszemi szukacie sobie niewolników? Czyńcie im raczey łaski, a nie te krzywdy naywiększe. Oto pokóy z czołem laurem uwieńczoném, wzywa do siebie Europy zmordowaney.

Zstąp do nas słodki i dawno pożądany pokoju! niech twoja przytomność światu powrócona przyozdabia miejsca, które wiersz mój opiewał. Zstąp, i z tylu narodów rozróżnionych, zrób naród jeden szczęśliwy! Powróć zniwo polom, handel miastom, zakwitnienie sztukom wyzwolonym, i spokojność obudwom światom.

P R Z Y D A T E K

D O

O G R O D Ó W.

Ażebyśmy mieli wiadomość o domach wiejskich, i Ogrodach przy nich starych Rzymian, kładzie się tu list Pliniusza młodego, w którym widzieć można, że w czasach tamtych znano już sztukę przyszczygania drzewa w Ogrodach; i że wszystkie przy Ogrodach budowle ich, były wystawione celem pożytku jakiego, nie zaś samego zbytkowania.

Kładzie się i list drugi Pana Chambers Anglika, w którym opisuje Ogrody Chińczyków, tego narodu dowcipnego.

L I S T

PLINIUSZA MŁODEGO.

O Ogrodach dawnych Rzymian.

DOM, chociaż pod wzgórkem budowany, ma tenże sam widok, jak gdyby był na wierzchołku wystawiony. Wzgórek ten tak zwolna i słodko podnosi się, że trudu najmniejszego nie czuję, jakem na górę wstąpił. W tyle domu, są góry Apeninu, ale dosyć oddalone. W dniach spokojnych i nayspokojniejszych, wiatr od nich powiewa, który nic nie ma gwałtownego, że w drodze podobno przelatując całą swoją siłę utracił. Domu tego położenie jest prawie zupełnie na południe, i w czasie lata około południa, w zimie zaś trochę prędkiej, zdaje się wzywać słońca, na jedno obszerne, i w miarę długie przedsienie. Dom złożony jest z wielu przybudówek. Weyście do niego, jest sposobem staroświeckim.

Przy samym przedsionku widzieć się daje *parterre*, na którym w różne kształty bukszpan wysadzany. Potém jest siedzenie z murawy nieco pod-

niesione, na koło którego bukszpan strzyżony, wyraża wiele zwierząt, które na siebie poglądają. Trochę niżej jest kawał ziemi, cały okryty barszczowem zieleń, tak wdzięcznym i miękkim, że pod nogami prawie go nie czuć. To miejsce jest otoczone wielą drzewami do przechadzki, które tłocząc się jedne na drugie, i wielorakim kształtem będąc poprzycinane, robią jakoby jakie oparkanie. Blisko, jest ulica okrągła nakszałt cyrku. We śródku którego widzieć można bukszpan w różne kształty strzyżony; i drzewa, które starają się, ażeby w górę nie wzrastały, i przy ziemi trzymały się. Wszystko to otoczone jest murem suchym, który bukszpan w stopnie rżnięty zakrywa, i przed okiem zasłania. Z drugiej strony jest łąka, a ta niemiędy podoba się przez piękność swoją naturalną, jak wszystko to, co do tych czas mówiłem, przez wdzięki od sztuki pożyczone. Potem są kawałki dzikich łąk, i krzewiny. Na końcu galeryi czyli przedsionka, jest sala do jadania, której drzwi na koniec parteru patrzą, okna zaś na łąkę, i na wielką część wspomnionęj dzikiej krzewiny. Przez też okna widać na stronie parter, wyskok jeden domu, i wierzchołki drzew szkoły końskiej. Z jednego boku przedsionka, i ku śródkowi jego, jest wycie do gmachu, którym otoczony mały dziedziniec, mający cztery jawory; w pośrodku nich jest *bassin* marmurowy, z niego woda ukradkiem wypły-

wajaca, utrzymuje czerstwość jaworów i ziół, które są niżej. W tym gmachu, jest pokóy do sypiania. Głos, szelest, ani słońce, nigdy tam przeysź nie mogą. Przy nim zaraz jest sala, gdzie jadają zwyczajnie, i gdyby kto chciał się zabawić w cichości z samemi przyjaciółami. Drugi przedsionek patrzy na ten mały dziedziniec, i ma razem ten cały widok, który i przedsionek wyżej odemnie opisany. Jest jeszcze i pokóy jeden, który, że jest bliski jednego ze wspomnionych odemnie jaworów, zawsze ma cień swój i zieloność; przyozdobiony jest nakoło marmurem do wysokości, jak się wesprzeć można; gdzie zaś marmuru nie masz, są malowania wyrażające liście, i ptaki na gałązkach, ale tak dobrze udawane, że nie ustępują w piękności samemu marmurowi. Niżej trochę jest miła fontanna, która wpada w *bassin*, z kąd woda przez wiele drobnych rurek wypływając, robi szelest najwdzięczniejszy. Z jednego kąta przysionku wchodzi się do wielkiego pokoju, który jest naprzeciwko sali do jadań; ma on okna swoje z jednéj strony na parter, a z drugiey na łakę, i zaraz niżej tych okien jest woda, która niemniey oczy, jak i uszy rozwesela; bo spadając tam z góry w wielki *bassin* marmurowy, zdaje się cała spieniona; i robi nie wiem jaki szum, który sprawuje roskosz. Pokóy ten, jest bardzo w zimie ciepły, bo na ten czas słońce ze wszystkich tam stron ogrzewa. Zaraz blisko piec,

który dostarcza ciepła, kiedy jest pochmurno. Z drugiej strony, sala do rozbierania się idąc do łaźni, jest dosyć obszerna, i bardzo wesoła. O ścianę znajdziesz salę do kąpania się w wodzie zimnej, gdzie są wanny w cieniu obszerne. Jeżeli chciałbyś się kąpać przestrzeniej i cieplej, jest łaźnia na dziedzińcu, i zaraz blisko niej studnia, z kąd można mieć wodę zimną, kiedy gorąco dokucza. Koło sali, gdzie się w zimnej wodzie kąpią, jest sala wody letniej, którą słońce dosyć ociepliło; mniej jednakże, niżeli w łaźni gorącej, bo ta wypada z igraniem. Przez trojaki schody do téj ostatniej sali zstępować potrzeba; z których dwoje są wystawione na słońce, trzecie zaś oddalone od niego, przeto zaś nie są zaciemnionemi. Nad pokojem, w którym zostawiają się suknie przed kąpaniem, jest miejsce do rzucania i bawienia się piłką dla ćwiczenia ciała; które miejsce z téj przyczyny na wiele długich ustępów podzielone. Nie daleko od łaźni są schody, które prowadzą do zamkniętej galeryi; pierwéj zaś do trzech gmachów, z których jeden patrzy na wspomniony mały dziedziniec, drugi na łąkę, trzeci na winogrody; że położenie ich tém jest różniejsze, im weyrzenie ztamtąd odmieniej-szém jest. Na końcu zamkniętej galeryi jest pokój jeden zrobiony w samejże galeryi, z którego weyrzenie jest na szkołę końską, na wioski i góry. Bli-sko tego pokoju jest drugi na słońce wydany, nay-

bardziej w czasie zimowym. Ztąd wchodzić można do gmachu, który szkołę końską z domem łączy.

Otoż taka jest jego zwierzchnia postać, i takie weyrzenia z niego. Z strony południowéy galerya zamkniona podnosi się, zkąd nietylko widzieć można winograpy, ale zdaje się nawet, że ich prawie dotykamy. W pośrodku téy galeryi masz salę do jedzenia, gdzie wiatry, które od Appeninu przychodzą, robią bardzo zdrowe powietrze. Ma ta sala weyrzenie przez wielkie okna na winograpy, i znowu na też same winograpy przez dwoje drzwi, na dwoje otwieranych, zkąd oko i na całą patrzy galeryą. Z téy strony, gdzie ta sala okien nie ma, są skryte schody, któredy jedzenie przynoszą. Na końcu jest pokóy, któremu galerya i winograpy nie-mniej wdzięcznym są widokiem. Na dole, jest galerya prawie podziemna, i w lecie tak chłodna, że spokojna na miłém powietrzu, które zamyka, ani go nikomu nie daje, ani odbiera zkądinąd innego. Po tych dwóch galeryach zamknionych, jest znowu sala do jedzenia, a przy niej otwarta galcrya, chłodna przed południem, a ciepleysza, kiedy słońce wyżej się podniesie. Ta wiedzie do dwóch gmachów. Jeden jest złożony ze czterech pokojów, a drugi ze trzech, które w miarę jak słońce obraca się, promieni jego albo cienia używają. Przed temi budowlami tak pięknymi, i tak dobrze rozłożonemi jest obszerna szkoła końska.

Otwiera się ona we śródku, i dlatego pokazuje się zaraz cała tym, którzy tam wchodzą. Jest otoczona jaworami, które się bluszczem okryły. Tym sposobem wierzchołki tego drzewa, własnym swoim liściem zielenią się, spody zaś są zielone liśćmi obcemi. Ten bluszcz zwija się na koło pniaków i gałęzi, i przechodząc z jaworu jednego do drugiego, niby je łączy. Między temi drzewami są bukszpany, bukszpany zaś są otoczone drzewem laurowém, które z drzewami wyższemi cień swój mieszają. Weyście do szkoły końskiej jest proste, ale ku końcowi w kształt się półkręgu odmienia. Ta szkoła jest otoczona i okryta cyprysami, które jeszcze cień większy sprawują. Przeyścia w koło, które są wewnątrz, (jest ich albowiem wiele z jednego miejsca do drugiego), mają światło słońca nayszystsze. Róże tam ze wszystkich stron widzieć się dają, i łagodne słońce poprawia w tém miejscu zbyteczne chłody cieniów. Wyszędłszy z tych przechodów okrągłych i powtórzonych, powraca się do ulicy prostéy, która z obudwoch stron ma wiele inszych podzielonych przez buszpany. Tam jest mała łączka, tu bukszan sam wystrzygany w tysiąc różnych kształtów, czasem nawet w litery, które wyrażają albo imię pana, albo rzemieślnika. Między bukszpanem kolejno obaczyć można, małe piramidy, albo jabłonie; i ta wieyska piękność Ogrodu, o którym rozumiałbyś, że z kąd nagle przeniesiony w

miejsce tak wdzięczne, jest z obudwóch stron podniesiona ku śródkowi przez jawory, którym wybudzać w górę nie pozwolono. Ztamtąd wchodzi się na łączkę ziela akantu, które tamtędy jest rozrzucone, gdzie widzieć jeszcze można wiele kształtów i imion, które ziołami są wysadzone. Na samym końcu jest łożo do spoczynku z białego marmuru, przykryte chłodnikiem utrzymywanym przez cztery kolumny, z marmuru karist. Z pod tego łóżka wypływa woda, jak gdyby ciężar tych, którzy tam spoczywają, wyciskał ją. Małe rurki sprowadzają ją na kamień umyślnie dlatego posiekany, z kąd znowu wpada w *bassin* marmurowy, a ztamtąd wypływa tak nieznacznie i tak w miarę, że *bassin* zawsze jest pełny, jednakże i nad brzegi nigdy nie wylewa. Gdyby kto chciał jeść wieczerzą w tém miejscu, poukłada potrawy twardsze na brzegach tego basseniu; potrawy zaś leksze w naczyniach wyrobionych w kształty okrętów, albo ptaków, puści na wodę, które pływać będą jedne za drugą około niego. Z jednéj strony jest wytryskające źródło, które nazad przyymuje do siebie wodę, którą wyrzuciło. Woda albowiem będąc wyciśniona wysoko w górę, upada na siebie samę, a przez dwa otwory, które się łączą zstępując na dół, znowu się podnosi ustawicznie.

Na przeciwko łoża [do spoczynku jest pokój, który mu tyle udziela wdzięków, ile od niego od-

biera. Cały ten pokój marmurem błyszczy się, drzwi jego są otoczone, i niby obłożone zielonością, w górze i na dole, z okien wyższych i niższych, samą tylko widać zieloność; blisko, jest mały pokój, który zdaje się, jakby się zapędził cały w pokój marmurowy, jednakże jest od niego oddzielony, tam jest łóżko; i chociaż ten pokój jest cały w oknach, jednakże cień, który go otacza, czyni go smutnym. Wdzięczny winograd okrywa go liśćmi swemi, które aż do szczytu się podnoszą. Mimo tego, że tam deszczu czuć nie możesz, zdaje ci się, że w lesie jakim spoczywasz. Widzieć w tém miejscu także źródło, które ginie w samém dobywaniu się swoim. Po wielu miejscach są rozłożone siedzenia marmurowe, sporządzone, jako i pokój do odpoczęcia po przechadzce. Blisko tych siedzeń są małe fontanny, w całej téj szkole, słyszeć można wdzięczny wód szelest, które posłuszne ręce rzemieślnika, gdzie mu się tylko podobało, małemi rurkami są prowadzone. Tym sposobem, to te, to inne krzewy wodą odwilżone bywają, czasem zaś skrapiane wszystkie.

Jużbym był zakończył dawno, dla bojaźni, abym nie nadto drobne okoliczności wyszczególniał: ale postanowiłem sobie odwiedzić wszystkie kąty i kąciki domu mego z tobą. Takem sobie w myśli ułożył; że to, coby cię nie nudziło, gdybyś na nie sam patrzył, nie unudzi pewnie, kiedy i czytać będziesz.

L I S T

P A N A C H A M B R E S.

O Ogrodach Chinczyków.

OGRODY, które widziałem w Chinach, (mówi Pan Chambres) są bardzo małe; jednak ich rozporządzenie, i to czego mogłem się nauczyć, przez częste rozmowy, które miałem o tém ze sławnym jednym malarzem Chińskim nazwanym *Lepqua*, dały mi dosyć poznać, jeżeli się nie mylę, jak ten naród myśli o Ogrodach.

Natura jest dla nich wzorem, i to ich jest zamiarem, aby ją we wszystkich pięknych jéy nieregularnościach naśladować. Naprzód uważają ułożenie miejsca, jeżeli jest równe, albo pochyłe: jeżeli są na niém wzgórki, albo góry przykrzeysze, jeżeli jest rozległe lub szczupłe, suche, albo błotniste, jeżeli go oblewają rzeki i źródła, lub też jest w niedostatku wody. Mają bacność na te wszystkie okoliczności, i tych się rozrządzeń chwytają, które się najlepiej do natury miejsca stosują, które najmniej wyciągają kosztu, ukrywają przywary miejsca, i piękność jego najlepiej na widok wystawują.

Ponieważ Chinczykowie nie lubią przechadzek, rzadko widzieć się dają u nich place, albo ulice sze-

rokie, jakie są w Ogrodach Europejskich; całe miejsce jest podzielone na różne odmiany, a kręte przejścia porobione w pośród gaju, do takich miejsc prowadzą, które różnym sposobem kończą weyrzenie. Każde z miejsc takowych ma w sobie albo siedzenie, albo budynek, albo inny jakowy obiekt.

Doskonałość Ogrodów ich, zależy na liczbie, piękności i różnaitości odmian. Ogrodnicy Chińscy nakształt Europejskich malarzów zbierają te rzeczy, które natura ma w sobie najpiękniejsze, i tak je połączyć razem usiłują, ażeby nie tylko w szczególności najpiękniej się wydawały, ale połączone nawet składały rzecz przyjemną, i zastanawiały oko.

Ich Ogrodnicy uważają trzy różnego rodzaju odmiany, którym dają nazwiska: wesołych, okropnych, i nadzwyczajnych. Ostatnia z tych trzech zamyka w sobie to, co nazywamy odmianą romanśów. Tam Chińczykowie różnych używają sposobów, aby patrzącemu sprawić podziwienie. Czasem wpuszczają rzekę, albo gwałtowny strumień pod ziemię, który wielkim szumem uderza ucho; gdy tym czasem słuchający pomiarkować nie może, zkądby ten szum pochodził. Czasem tak sposobią skały, budynki i inne obiekta, które wchodzą w ich Ogrody, iż wiatr przechodząc przez zastawione odległości, i wypukłe sklepienia na ten koniec umyślnie porobione, czyni osobliwsze i nadzwyczajne brzmienie. Zasadzają w tych miejscach

osobliwszego rodzaju drzewa, rośliny i kwiaty; robią echo sztuczne, i z kilku mieysc odbijające się: nakoniec trzymają tam różnego rodzaju ptactwo, i twory zwierząt dziwaczne.

Odmiany okropne, stawiają przed oczy skały zawieszone, jaskinie ciemne, gwałtowne kaskady, które ze wszech stron góry spadają. Drzewa dają niekształtne, i niby połamane od wielkiej nawałnicy. Tu widzieć je obalone, bieg strumienia tamujące, i niby nagłym płynieniem wody zabrane, tam wydają się jak strzaskane od piorunu, nadpalone i połupane w sztuki. Niektóre budynki grożą upadkiem, inne po części ocalone od pożaru; nikczemne chaty tu i owdzie na gór wierzchołkach porostawiane, zdają się oznaczać mieszkanie ludzi, i razem nędzę ich.

Po tych odmianach następują pospolicie wesołe. Wie dobrze ogrodnik Chiński, jak rzeczy odmienne mocno wpływają w umysł ludzki: starają się dlatego zawsze o nagłe przeyscia od jednéy rzeczy do drugiey, o przeciwne sobie ozdoby, któreby zastawiały oko, o różne kolory, i cienie. Przeto też z mieysca, w którym jest krótki dla oka przelot, przeysć natychmiast można do mieysc odkrytych, i długich ulic; od jezior i rzek, do równin; od mieysc odkrytych, do lasów. Po kolorach smutnych i ciemnych, stawiają się przed oczy kolory jasne; po rzeczach jak nayprostszych, widzieć się

dają takie, gdzie sztuka sili się na kształt rozmaity. Tak nakoniec roztropnie rozrządzają cieniem i światłem, iż w ich połączeniu widzieć można każde z osobna; i jako całe dzieło, tak i wszystkie części jego w oczy wpadają.

Gdy miejsce jest obszerne tak, że w niem kto chciałby wiele odmian umieścić, każda z nich popolicie ma swoje osobne weyrzenie. Ale gdy plac jest szczupły, że wielu odmian w sobie zamknąć nie może, starają się poprawić ten niedostatek, takim sposobem ustawiając objekta, iż te różnie ukazują się według odmiany miejsc różnych, z których na nie oko ogląda; i częstokroć sztuka tego dowodzi, że te widoki z inshęj strony widziane zdają się żadnego do siebie nie mieć podobieństwa.

W Ogrodach wielkich Chińczykowie naznaczają widoki różne na poranek, południe, i wieczór; i tam gdzie się kończy rzut oka, wystawiają budowle różne przyzwoite rozrywkom każdéj dnia części. Małe ogrody, (gdzie jakeśmy już to widzieli, jedno rozrządzenie i rzeczy układ widziany z inshęj strony, pomnaża widoki), wystawiają im tymże samym sposobem na różny rzut oka, różne budowle, który przez ich zażycie, oznaczają porę dnia własną, do używania sceny téj w doskonałości zupełnéj.

Ponieważ powietrze w Chinach nadto jest gorące, mieszkańcy wiele wody do swych ogrodów potrzebują. Kiedy te ogrody są małe, i kiedy poło-

zenie miejsca pozwala, częstokroć całe je woda zalewa, że ledwie tylko mała jaka liczba skał i wysepek zostanie się. Do ogrodów zaś obszernych wprowadzają jeziora większe, rzeki i kanały. Naśladowują w tém naturę, dając za jéy przykładem różny kształt brzegom rzeki, albo jeziora. Czasem te brzegi są suche i kamieniste; czasem są okryte drzewami, aż do saméy wody dotykającemi; w niektórych miejscach płaskie, i przyodziane krzewiną, albo kwiatami; w inszych przemieniają się w skały niedostępne; które formują lochy, gdzie część wody z gwałtem i szelestem wpada. Czasem widzisz łakę pełną bydła, albo pola ryżem zasiane, które się w jezioro zapuściły, i zostawiły pomiędzy sobą miejsca dla przeyscia statkom; czasem znowu gaje w wielu miejscach przecięte rzekami i potokami, po których łodzie pływają. Brzegi ich są okryte drzewami, których gałęzie z obudwóch stron nad rzeką się rozciągając, łączą się, i w niektórych miejscach składają sklepienia, po pod które statki przechodzą. Tym sposobem jesteś zawsze przyprowadzony do jakiegoś widoku osobliwego; do budowli jakieys' wspaniałey, położonéy na wierzchołku góry stopniami pościnanéy; do jakieys' altanki w śródku jeziora leżacéy; do kaskady; do groty na wiele uchronów podzielonéy; do skały sztucznej, albo do inszego jakiego tym podobnego wynalazku.

Rzeki u Chińczyków rzadko prostą linią upływają; zginają się wielorako, i są przerywane różnemi nieregularnościami. Czasem są wąskie, szumiące i szybkie, czasem powolne: szerokie i głębokie, trzcinę i insze zioła wodne, między którymi ma pierwszeństwo Lienhoa, które szacują naybardziej, widzieć wszędzie po rzekach i jeziorach. Chińczykowie wystawują często młyny, i insze maszyny wodne, których ruszanie się na wodzie ożywia widok. Trzymają także na tych rzekach wielką liczbę łodzi kształtu różnego. Jeziora ich pełne są wysp; z których insze są nieurodzajne, otoczone skałami dzikimi; insze ubogacone tém wszystkiem, co tylko natura i sztuka mieć może naydoskonalszego. Wprowadzają tamże skały sztuczne, i przewyższają wszystkie insze narody w tym rodzaju udawania; do takich robot są u nich ludzie umyślnie i szczególnie się w tém ćwiczący.

Znaleźć można w Kantonie, i zapewne w wielu miastach Chińskich, wielką liczbę rzemieślników, statecznie tą sztuką bawiących się. Kamień, którego do robot takich zażywają, przychodzi od stron państwa południowych; jest błękitnawy, i nadwątlony przez wody, które mu podawały kształty nieregularne; w wyborze tego kamienia gust ich daleko się zapędza. Widziałem to sam, jak za jeden kawałek kamienia takiego, któryby był wielkości pię-

ści, wiele sztuk pieniężnych małej wagi dawano, kiedy kształt jego był piękny, albo kolory żywe. Tak wybornych kawałków zażywają do ogrodów, które łącząc z sobą pewnym gatunkiem wapna błękitnego, wyrabiają z nich skały wielkości znaczny.

Takie skały bardzo piękne widziałem, które okazywały w rzemieślniku gust niepospolity. Kiedy te skały są wielkie, wyrzynają w nich Chińczycy lochy i groty, przez które na wskroś widzieć się dają dalekości. Znaleźć tam na nich można po wielu miejscach drzewa, krzewiny, mech i chrościnę; na ich wierzchołkach kładą małe kościółki, albo insze jakie budowle, do których wschody nieregularne, i niezgrabnie w skałę wykowane.

Kiedy mają wody dostatek, kiedy grunt potemu jest, Chińczycy w ogrodach swoich robią kaskady. Chronią się w tym zawsze regularności, robotę natury naśladowując w tamtym kraju górzystym. Wody wytryskają z lochów i zakątów skały; tu widać wielki i gwałtowny wód spadek, tam niezmierna liczba drobnych zlatuje strumyków. Czasem patrzenie na kaskadę, jest przerwane przez drzewa, których liście i gałęzie, pozwalają tylko miejscami widzieć wody spada-

jące na boku góry. Czasem nad miejscem najbardziej szybkiey kaskady, jest przerzucony ze skały na skałę most drewniany grubo zrobiony, a czasem bieg wód jest przerywany, przez drzewa, albo bryły kamieni które zdaje się, że gwałtowność wód tam pozanosiła.

W gajach Chińczykowie zawsze kształt i barwę drzew odmieniają, łączając te, których gałęzie są wielkie i gęste, z temi, które wznoszą się jak piramida, i ciemnozielone, z zielonością weselszą. Mieszają drzewa, które mają kwiaty, a między temi jest takich wiele, które prawie przez połowę roku kwitną. Między drzewami ulubionemi mają pewny gatunek wierzby, należący do rzędu drzew tych, któremi brzegi rzek i jezior osadzają, tym zaś sposobem są posadzone, że ich gałęzie nad wodą wiszą. Chińczykowie wprowadzają także do ogrodów swoich pnie drzew, czasem stojące, czasem leżące na ziemi, i daleko w gęście zapędzają się nad ich kształtem, nad farbą ich kory, a nawet nad mchem, który porasta na nich.

Nic nie może być z większemi odmianami zażyte, jak ich sposoby, któremi nas w nagłe zastanowienie się i zadziwianie wprowadzają: prowadzą nas często przez lochy i przeyscia ciemne,

z których wyszedłszy znajdujemy razem naypiękniejszą okolicę, przyozdobioną tém wszystkiem, co natura mieć może naywdzięczniejszego. Czasem wiodą nas przez uliczki i uchody, które zmniejszają się, i które zwolna coraz przykrzyszemi do przejścia się robią; przejście nakoniec prawie ze wszystkim jest zastanowione: krzaczki, chróst, i kamienie zatrzymują przechodzącego, kiedy razem otwiera się przed oczyma twojemi naywdzięczniejszy jaki widok, który tém bardziej podoba ci się, im mniej się go spodziewałeś.

Jest jeszcze i ten przemysł tego ludu dowcipnego, że umie zakryć przynajmniej część jakąś, tych swoich robot, że naturalne niby zdają się, nie zaś udawane; a to przez sposób drzew, i innych obiektów pośrednich, takich zaś naybardziej, które ciekawość przytomnych wzbudzają. Chciałby kto z bliska co widzieć, otoż przystępując, na jakiś widok wdzięczny niespodziewanie napadnie, albo też na jakąś rzecz, zupełnie temu, czego szukał, przeciwną. Zakonczenie się jezior, jest zawsze ukryte, ażeby zostawić myśli zabawkę. Ta reguła zachowana jest, ile możności, we wszystkich Chińczyków kompozycjach.

Chociaż Chińczykowie nie są bardzo biegłymi w optyce, doświadczenie jednakże nauczyło ich, że wielkość wydająca się obiektów umniejsza się, i że kolory ich słabiej, im są bardziej oddalone od oka, które patrzy na nie. Z takiego uważania, przyszli do jednego obrotu, którego czasem zażywają. Robią weyrzenia w perspektywę, kładąc w nich budowle, okręty i insze objekta, zmniejszone w miarę ich odległości od oka; ażeby omamienie było większe, dają kolor szarawy częściom bardziej oddalonym swojej perspektywy; zasadzają daléy drzewa zieloności mniej żywých, i niższe, niżeli te, które na czele są zasadzone, tym sposobem to co w sobie samém jest szczupłe i małe, staje się na pozór wielkiém i rozległém.

Zwyczajnie Chińczykowie chronią się linii prostych; jednakże ich na zawsze nie odrzucają. Robią czasem i ulice, kiedy mają widok jaki osobliwy oczom wystawić. Drogi u nich zwyczajnie rznięte są linią prostą, jeżeli nierówność gruntu, albo insza jaka zawada, nie da im powodu do zrobienia inaczéy. Kiedy grunt jest zupełnie położysty, zdaje im się rzecz dziwaczna robić na nim drogę krążącą się; bo powiadają: albo to jest droga sztuczna, albo przechodzenie

stateczne podrożnych, które ją zrobiło; a w obu-
dwóch przypadkach nie jest naturalna myśleć,
ażeby ludzie woleli raczey wybrać do przecho-
dzenia linią krzywą, kiedy mogą iść prostą.

To co się w Angielskim nazywa *Clump*,
czyli kupka drzew, jest znane także i u Chiń-
czyków ale tego tak często, jak my nie zaży-
wają. Nigdy miejsca jakiego obszerniejszego tym
sposobem nie zasadzają. Ich ogrodnicy tak my-
ślą o ogrodach, jak nasi malarze o obrazach.
Chińczykowie, robią urywki lasów, czyli kupki
ich drzew, jak malarze robią osób; jedni i dru-
dzy, mają swoje (jak mówią) massy pryncypalne
i powtórne.

KONIEC PRZYDATKU.

O S O B Y

J U D Y T A,
KROLOWA POLSKA.
T R A J E D I A.

O S O B Y.

WŁADYSŁAW HERMAN, Król Polski.

JUDYTA, Królowa, siostra Henryka IV. Cesarza.

BOLESŁAW, syn Królewski, Pasierb Judyty.

ZBISŁAWA, Xieźniczka Kijowska.

WSZEBOR, Hetman zestarzały Bolesława Smiałego.

SKARBIMIR, Hetman Władysława Króla.

MIKROD, Wódz Połowców.

ZELISŁAW, Poufały Bolesława.

PRAXEDA, Poufała Królowéy.

TEOFILA, Poufała Zbisławy.

ROTMISTRZ, Poślaniec od Woyska.

Żołnierze.

SCENA W KRAKOWIE.

TRAJEDYA.

AKT I.

Dekoracya Sali Teatralnéy.

Przy ścianach, powieszane w festony, zbroje, szyszaki, tarcze, kopije, pałasze; na stole, korona, mieczów kilka dobytých, buławy, buzdygany, maczugi i t. d. Żołnierze w pancerzach z dobytymi pałaszami na warcie.

SCENA I.

BOLESŁAW, ŻELISŁAW.

(Bolesław bierze na piersi kirys, który mu przywiązuje Żelisław.)

BOLESŁAW.

Aż do téy nieprzyjaciół śmiałości przychodzi,
Że o milę od miasta swą drużynę zwodzi!
Mocny naszym lenistwem, lecz nie z własnéy siły,
Uraga nam, swém szczęściem i trunkiem opity.

Żeliszlawie! . . zdami się, że jęczenia słyszę! . .
 Wy to jesteście przyszłych prac mych Towarzysze,
 Dziś zabrani w niewolą szlachetni młodzieńce;
 Zacie imię, i swoje zagrzebiecie wieńce,
 Gdy wam hardy zwycięztwem nieprzyjaciół powie:
 „Wy, do kaydan w Przemyśle; a wy, w Czernie-
 „chowie.“ *)

Mówią, do trzech tysięcy, że saméy młodzieży
 Wziął nam zbójca, i z niemi tu nad Wisłą leży.
 Król téy nocy ma wysłać z miasta ochotnika
 Pod wodzą Skarbimira; czyby niewolnika
 Nie odbił co Rusinom. Jaż tu drzymać będę?
 Albo jako niewieściuch do kądziele sięde?

Ż E L I S Ł A W.

Mam wiadomość, że mego wzięli także brata;
 I choćby go uwieźli gdzie na koniec świata,
 Pójdę go wszędzie szukać. Ale tobie Xiąże,
 Pewnie Król i Zbysława tę zbroję rozwiąże.
 Oni ci z garstką ludu nigdy nie pozwolą
 Narażać na przygodę w tobie, kraju dolą.
 A jeszcze w nocny porze, jeszcze na tłum taki!

B O L E S Ł A W.

Na tłum z garstką; ale też ja idę z Polaki.

*) Na czele Xiążąt Ruskich grassujących natenczas w Polsce, był Włodzimierz Monomach Czerniechowski, i Wołodar Przemyński.

Zbysława chwały szukać nigdy mi nie zbroni,
I kto nie szedł tą drogą, nie przyszedł aż do niéy.
Prócz tego, ci Xiążęta razem z Połowcami,
Są jéy oycą, jak Polski, nieprzyjaciołami.
Na Króla mam Judytę; oyciec dla niéy słaby,
Co tylko zechce! na nim wszystko wymogłaby.
Przed tobą, przyjacielu, z niczem się nie chronię:
Ona mnie kocha! . . . Ja się jéy miłości bronię.
To mię ciągnie prośbami, to zemstą ustrasza,
Codzień się na mnie gniewa, i codzień przeprasza.
Szanując oycę mego święte z nią przymierze,
Zbysława mi stateczną będzie! . . . Ja tak wierzę.
Otóż, jedno z królową przez moment bawienie,
Jeden mój uśmiech, jedno jéy ręki ściśnienie,
Wszystko na niéy wymoże; że wesprze mą sprawę
Przed królem, i wraz póydzien zarabiać na sławę.

(Ściska Żeliszawa).

A gdybym nawet chciał bydz (jak lubię) prawdziwym,
I nie ludził Judyty uśmiechem fałszywym,
Sam oycę prosić będę; on czuje, co traci,
Że tyle nieprzyjaciół zabrał naszych braci! . .
Polacy! Król was kocha! Wy mruczycie w ciszy;
Że spokojny, zbyt dobry; któż dobrocią grzészysz?
Jego serca, jakim jest dla was, mogłem dociec,
Bo mi mawia: „Ja piérwéy ich, potém twój o-
„ciec.“ (a)

On wie, że ze mną pewniey uda się robota,
I do sławy dzisieyszéy, nie zamknie mi wrota.

S C E N A II.

WŁADYSŁAW, BOLESŁAW, SKARBIMIR, ŻELISŁAW.

W Ł A D Y S Ł A W.

Czemu to Bolesławie nie nosząc w dzień zbroi,
Wziąłeś ją, gdy noc pada?

B O L E S Ł A W.

Nieprzyjacieli stoi
Prawie pod miastem, bo ztąd ledwie będzie w mili;
Któżby spał, gdy tak w mieście wszyscy się strwożyli?

W Ł A D Y S Ł A W.

Mamy wiadomość, że on o mieście nie myśli;
Oni tylko tak tłumnie na rabunek wyszli;
Ale twierdzy dobywać takiej, jak Krakowa,
Obóz ich machin nie ma, a przemysłu głowa.
Zewsząd łodzie ściągają, bo na jutro rano
Przeprowadzić się przez Wisłę wszystkim rozkazano.

B O L E S Ł A W.

Oycze! kiedy z twój woli ochotnik wychodzi,
Ażeby mógł co odbić zagarnioną młodzie;
Pozwól, żebym z drugimi, gdzie mię sława wzywa,
Do dzisiejszego razem mógł należeć żniwa.
Jakże mi będzie więzien ten obowiązany,
Któremu swoją ręką rozbiję kaydany!

(b) W Ł A D Y S Ł A W.

Wyznam, synu, że twojey bojąc się żywości,
Umyślnie z Skarbimirem kleiłem w skrytości
Tę wyprawę dzisieyszą; żebyć z garstką małą
Narażać się, a jeszcze w nocy, nie zachciało.
Na pewniejsze zwycięztwa chowa cię oyczyna,
Na którym państwo wsparte, i moja siwizna.

Ż E L I S Ł A W.

Kilka tysięcy naszych, miłościwy panie,
Przebrańszego, w tę podróż ochotnika stanie;
Nieba, gdyby przywalić Bolesława chciały,
Na oszczepach wstrzymamy; wyydzie Xiąże cały.

W Ł A D Y S Ł A W.

Mówi się Żelislawie, a nie śpi przygoda;
Jeszcze gdy się kto na nią dobrowolnie poda?
Żyy szczęśliwy, ale masz kilku twoich braci,
Matka wasza, jeżeli jednego utraci,
Drudzy ją cieszyć będą!... Ten Piastów ostatek
Chcesz ażebym narażał na losu niestatek? (b)

B O L E S Ł A W.

Królu! nie nazywam to niebezpiecznym bojem;
Nieprzyjaciel już zbity snem, trudem, napojem;
My ich tylko bić będziem, nie wojować z niemi.

S K A R B I M I R.

Z pięcią to Xiążętami sprawa potężnemi.

Włodzimierz Czerniechowski, Wołodar Przemyski, (c)
Jarosław Jaropełka, ślepy na pociski,
Dawid Pereasławski, z swym bratem Olegiem,
W osobach swych nad Wisłą stanęli noclegiem.
Chociaż straszni byliby w téj potędze sami,
Mają jeszcze Mikroda z jego Połowcami. (d)
W sile, w odwadze, nikt ci nie wyrówna panie!
Ale też Mikrod jeden za obóz im stanie!
Taką zaś liczbę człeka wojskowego mają,
Że na jednego z naszych trzydziestu czekają!

B O L E S Ł A W. (Żywiec.)

Przestań już Skarbimirze wynosić ich siły;
Robimy tak raczcy, dziady jak nasze robiły.
O liczbę nieprzyjaciół nigdy nie pytali,
I dopiero po bitwie trupy rachowali.
Panie! nie warthym nigdy mieć ciebie za oycę,
Gdybym się raz zląkł w życiu Ruskiego mołoyca;
Oni w tłumy ufają, ja w moję szablę,
Którą ponowię jeszcze znak na ich stolicy; (e)
Co im z łaski zostawił dziad Chrobry, stryy śmiały,
W to się dzisiay uzbroił Rusin spanoszały,
I podnosi swą rękę na starego pana,
Przed którym świeżo w Łucku padał na kolana. (f)
Tylko mu króccy trochę przyciągnimy lecy,
Poda nam z biczem Polskim oswojone plecy.

W Ł A D Y S Ł A W.

Synu! nieprzyjaciół twych, choćby byli liche,
Pogardzać nie należy. Bóg poniża pychę.
Wyddź trochę, aż opłoniesz.

S C E N A III.

W Ł A D Y S Ł A W, S K A R B I M I R.

S K A R B I M I R.

Na dziesięć tysięcy
Żołnierza mamy w mieście. Wszyscy naygoręcéy
Żądaliby iść na ten podjazd przeciw Rusi,
Ale przy tobie panie, część zostać się musi.
Nawet, zdałoby mi się, zostawić połowę,
Żeby nie ogołacać z ludzi państwa głowę.
Bo jeśliby fortuna z zbóycami trzymała,
I my tam dzisiay legli; ta potęga cała
Ośmielona zwycięstwem Kraków obledz może.

W Ł A D Y S Ł A W.

Dobra rada. Od przygód obraniay nas Boże!
Nawet gdyby posilku brakować nam miało,
W takiej bliskości, ztądby łatwo się posłało.

S K A R B I M I R.

Półki te ze mną pójdą: Jaxy, Żelisława;
 Sieciecha, Borzywoja, Zemy, Świętosława;
 Będzie i z ludźmi swemi Zbilud z Odolonem. (g)

W Ł A D Y S Ł A W.

Jak mam z szpiegów, ponieważ Ruś swoim zagonem,
 Nie zagarnęła lasu, przy którym nocują;
 Wy się weń wkraść możecie. Tam gdzie obozują
 Połowcy, chronicie mi się najpierwéy nacierać,
 Mikrod baczny, zwyciężać umie, i umierać.
 Wstrzymałby was na sobie; tymczasem Ruś cała
 Przyysćby mogła do ładu, i was pokonała.
 Ale napaść z téy strony, gdzie ludzie xiążący,
 Napaść z okrzykiem, i jak można naygoręcéy.
 Tak nie mogąc przez Wisłę uciec Ruska rzesza,
 Zwale się na Mikroda, i obóz mu zmięsza
 Skarbimirze! jeśli Bóg poszczęścić wam zechce;
 Niechcę ja nigdy mordu ostatniego, nie chcę.
 Nie mażąc się krwią w drogę, radbym świat porzucił;
 Jużem się dosyc z Bogiem i z ludźmi nakłócił.
 Więźniów uwolnić, cała jest wasza robota;
 Oddaycie mi me dzieci, proszę was sierota.
 Idź Skarbimirze, ludzie niech będą gotowi.

S C E N A IV.

W Ł A D Y S Ł A W sam, *potém* W S Z E B O R.

Pewnie jeszcze Bolesław swoje prośby wznowi!..

Żal mi go ztąd wypuszczać, żal tu go zostawić;
 Młody, śmiały, ma siłę, i chciałby się wsławić. . .
 Ale niech prosty żołnierz ślepo w ogień leci,
 Ochroniać się powinny króle, i ich dzieci. . .
 Lubie mój piękny Naród, i przeto że lubię,
 Bolesława mu chowam, marnie go nie zgubię.
 Gdybym miał więcej synów, gdybym nie był stary,
 Któżby téy, dla Ojczyzny, żałował ofiary? . .
(Wszebor wchodzi).

Wszeborze! nie widziałeś kędy Bolesława?
 Smutny jest; dzisiejsza mu zbroniona wyprawa.

W S Z E B O R.

Nie wiem panie, gdzie Xiążę; wiem o moim synu,
 Żem ledwie go wydobył z pomiędzy tych gminu,
 Którzy ze Skarbimirem chcą iść na Rusiny.

W Ł A D Y S Ł A W.

Naród Polski wojenne zawsze lubił czyny.
 I choć klęski mieliśmy, nigdy do ostatka,
 Rodzić nam nie przestała bohaterów matka.
 Krew, którą człowiek mężny leje, nieba koi.
 Kilkunastu ich padnie, a kraj cały stoi.

W S Z E B O R.

Kraj stoi, chociaż ten jest udział méy Ojczyzny,
 Że ledwie kiedy doszedł mąż dzielny siwizny.

Ja nie wiem, jak dotychczas zostałem się całym.
Z twym jeszcze oycem, panie i z twym bratem
śmiały,
W stu przygodach, tylu ran skaleczone ciało,
Skleiło się, i duszy wypuścić nie chciało.

S C E N A V.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, ZEISŁAWA, WSZEBOR,
TEOFILA.

J U D Y T A.

Królu! kiedy nasz żołnierz za pewném zwycięstwem,
Wsiada na koń zagrzany i sławą i męztwem;
Czemużby twój syn tylko gnuśnie w domu leżał,
Jakby do tych zaszczytów jeden nie należał?
Padnie Ruś, gdy świat przed nim drzeć zaczyna słaby,
Szanując w nim krew waszą, i Ryxy prababy (h).

W L A D Y S Ł A W.

Gdy los zechce, widoczne wałą się nadzieje!
Cóż dopiero wśród nocy? . . On bardziej ślepieje.
Ani się przed pociskiem rzuconym kto schroni,
Ani śmiało uderzy, gdy swój swego goni.
Jeszcze nie przychodzimy do zguby w téj chwili,
Żebyśmy w Bolesławie resztę sił ważyli.

J U D Y T A.

Gdyby niebezpieczeństwo jakie można wnosić,
Anibym śmiała, panie, za synem twym prosić.
Ale Rusin nie mężki, opity, zaspany,
Gdy tak łatwo bydź może przez nas pokonany,
Nie zagradzay synowi téy sławy. Próż tego,
Nie widziałam go nigdy tyle dotkniętego,
Jak po twoim zakazie. Więcý to zmieszanie
Szkodzić mu pewnie może, niż Rusini.

W S Z E B O R.

Panie!

Ja sam na Bolesława schyliłbym się stronę,
Byle to tylko gromić Ruś nie dojeżdżoną;
Choć i ci, pod wielkiego Włodzimierza rządem,
Stanęli nam nad Sanu, i nad Bugu łądem. (i)
Ale to o Mikroda chodzi z Połowcami;
Ten okrutny zwycięzca świeżo nad Węgrami,
Gdzie w małej garstce swoich, męstwem niesłychanem,
Siły państwa obalił z pysznym Kolomanem.
Ten zwierz srogi, na same straszny oszczepniki!

J U D Y T A.

Bolesław dzieckiem, bijał niedźwiedzie i dziki.
A dotego zna wojnę. W dziesiątym swym roku
Wziął Międzyrzecz, i nie dał Pomorcom Santoku.

Będzie wiedział gdzie natrzeć, a gdzie się uchronić.

W Ł A D Y S Ł A W.

Zbysławo! takżeś przysła, ażeby nie bronić
Wyprawy Bolesława?

Z B I S Ł A W A.

W tym, w którymem stanie,
W żadne rządy wdawać się nie powinnam panie,
Przysłałam tu, iść z królową razem zawołana;
W tém państwie, jestem w gminie ludu zamieszana,
Którzy na twoję wolą powinni bydź ślepi;
Bo co tylko rozkażesz, to będzie naylepię.

J U D Y T A.

Bolesławowi chwały czyżby mogła bronić?

S C E N A VI.

Ciż sami i B O L E S Ł A W.

W S Z E B O R.

Otoż i Xiąże!

B O L E S Ł A W.

Królu!

W Ł A D Y S Ł A W.

Synu! ty chcesz gonić

Może za twoją zgubą! . . Jakże wiele było,
Co mi cię od dzieciństwa najmiłszym zrobiło! . .
Na tożes tyle trudów koło mnie używał,
Myśli moje uprzedzał, albo je zgadywał,
Ażebyś mi to serce ztąd pociechy syte,
Dziś rozdierał, i psuł twą piękną pracę? Skryte
Jakoweś mię przeczucie trwoży.

B O L E S Ł A W.

Jeśli z góry
Dziś mi zgon przeznaczony, te mię pewnie mury,
Ani ogromne warty śmierci nie obronią!
Takbym zginął przynajmniej, jak mąż, w ręku z
bronią.

Prawda, że chcę wyprawy; ale moje chcenie,
Ma za cel, oycu, sławie, krajowi służenie.
Znam wojnę, już coś zjadłem z żołnierzami chleba,
I wiem, gdzie natrzeć, a gdzie uchylić się trzeba.

W Ł A D Y S Ł A W.

W ten czas, nad nieprzyjaciół, byliśmy liczniejsi,
Dziś, na Ruskie zastępy, my daleko mnieysi.
Naybardziej w noc, ślepo cię narażać czyż mogę?

B O L E S Ł A W.

Ten miecz: jak nim zabłysnę, znajdzie sobie drogę.

S C E N A VII.

Ciż sami i ŻELISŁAW.

W Ł A D Y S Ł A W.

Co niesiesz Żelisławie?

Ż E L I S Ł A W.

Skarbimir ci panie,
Znać daje, że już żołnierz wyciągnąć jest w stanie.
Wkrótce głos da się słyszeć na koń do wsiadania,
Drugi do rót podziału, trzeci do ruszania.
Groźnym, królu, zakazem wstrzymywać musiano,
Tak się na tę wyprawę z Skarbimirem pchano,
Wiele wolnéj młodzieży, nie pod rozkazami,
Już na koniach za miastem, chce się łączyć z nami.
Jaxa stary, młodego syna ma przy boku,
Mówi, że też w piętnastym poznał bitwę roku.

*Marsz grają za teatrum. Bolesław przed
oycem klęka na kolana.*

B O L E S Ł A W.

A jażto tylko jeden zostanie się w domu,
Którybym nie powinien ustąpić nikomu?
Gdzie o dobro narodu, i o sławę chodzi!
Oycze! to święte imię jeszcze mój los słodzi.

Niechbym się nie zostawał w śród miasta nieczynnym.

W Ł A D Y S Ł A W.

Wstań, synu! czegoż klęczysz? jak gdybyś był
winnym!

B O L E S Ł A W.

Tak jest, masz przy twych nogach głowę obwinioną;
Że o to śmiem cię prosić, co mi już zbroniono.
(*Wstaje.*)

J U D Y T A.

Królu! daj się ubłagać, wszakże syn cię prosi.

B O L E S Ł A W.

W oczach moich kto inszy nieprzyjaciół znosi,
Jak ostatni nikczemnik ja się w pierzu walam.
Takąż o mnie nadzieję miał Naród?

W Ł A D Y S Ł A W.

Pozwalam.

*Bolesław całuje rękę oycy; wychodzą wszyscy,
Bolesław zatrzymuje Zbysławę.*

S C E N A VIII.

BOLESŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA.

B O L E S Ł A W.

Pani, ta czasu nagłość, przyczyną spóźnienia,
Że dotąd nie zyskałem twego pozwolenia;

O które kiedy proszę, przyłączam to jeszcze,
 Gdy się szczęśliwie w liczbie twych rycerzów mieszczę,
 Pozwól, niech pod twą barwą silniejsza ma ręka, (k)
 Twoich i naszych razem nieprzyjaciół nęka.

Z B I S Ł A W A.

Xiążę! kiedy królewskie już masz zezwolenie,
 Nacóż mię o to prosisz, czego nie odmienię?
 Do sławy, nigdyć drogi nie mogę zagrozić,
 Tylkobym chciała z dni twych pewnością ją zgodzić.

B O L E Ś Ł A W.

Jeżeli życie moje twój opieki warte,
 Jakże mi go szanować należy!

Z B I S Ł A W A.

W otwarte
 Na tysiąc śmierci wrota przecież chcesz iść śmiało.
 Gdyby przynajmniej słońce dzieła twe widziało;
 Ale w nocy, z nikczemnym pomieszany gminem,
 Padnież może, żadnym się nie wsławiwszy czynem.

B O L E Ś Ł A W.

Czyż to każdy na wojnie życie swe utracą?

Z B I S Ł A W A.

Czyliż każdy, co poszedł na wojnę, powraca?

B O L E S Ł A W.

Coż tedy już zrobiwszy tyle, zrobić mogę?

Z B I S Ł A W A. *Z żywością.*

Oto idź, masz mą barwę. *(Odrywa swoją wstęgę,
i daje Bolesławowi).*

B O L E S Ł A W.

Także to mię w drogę

Smutnego chcesz wyprowadzić? Cóż ta żywość znaczy?
Zbysławo! Jużem zbity!

Z B I S Ł A W A.

Tłumacz to inaczej.

Nigdybyś nie miał tego u mnie poważenia,
Które cię, może, na me nieszczęście ocenia.
Ale, jak mam dwie siły sprzeczne zgodzić w sobie?
Miłość, i sława twoja, walczą we mnie obie...
Tak bliskiem spokrewnieniem z tobą ośmielona, (l)
Razem z tobą lat kilka, tobie naznaczona;
Dzisiaj!... Cóż mam powiedzieć więc?...

B O L E S Ł A W.

Ja za ciebie,

Ja Zbysławo dokończę. Jeśli mi Bóg w niebie,
Jak się mogę spodziéwać, przeznaczył zwycięstwo,
Na zdradliwe Xiążęta krzepiąc moje męztwo:

Z B I S Ł A W A.

Może już to ostatni raz z sobą bawimy. (*Łzy ociera*).

B O L E S Ł A W.

Pani! cóż widzę! czemuż twoję duszę giętką
Próżna trwoga nachyla? (*grają marsz za teatrem*).

Z B I S Ł A W A.

O jakże to prędko! (*wy-
rywa się i ucieka*).

B O L E S Ł A W.

Zbysławo! . . . Już zniknęła! . . . o serce niewinne!
Ona mi przypomniała łzy jeszcze dziecinne! (*Łzy
ociera*).

Kładąc szyszak na głowę.

Sławo! któraś mną dotąd udzielnie rządziła,
Łza Zbysławy o mało cię nie przeważyla.

S C E N A IX.

WŁADYSŁAW, BOLESŁAW, SKARBIMIR.

W Ł A D Y S Ł A W.

Synu mój! czas nadchodzi ruszania się w drogę,
Jaxa stary z swym idzie, ja z tobą nie mogę,

Żebym, gdy się zaślepisz sławy twym żywiołem,
I hamował zapędy, i bronił cię społem.

Ale na mojem miejscu Skarbimira kładę :

On ma już doświadczenie, będzie miał i radę.

Od jego boku nigdzie, masz nie odstępować,
Gdzie bitniejszy ochotnik będzie was pilnować.

Wspomnij sobie przysięgi; coś mi obiecował,

Kiedym cię na rycerza mojego pasował; (m)

Masz iść ślepo tym, którym rozkażę ci torem;

Temi cię przysięgami wiążę, i honorem.

B O L E S Ł A W.

Królu! syn twój, i rycerz! nigdy się nie zmaże,
Łamiąc to, co mu jego obowiązek każe;

Idę pod Skarbimira rząd, co mu go dałeś,

Bo i umie bydz' wodzem, i tak oycze chciałeś.

S K A R B I M I R.

Panie! tobą zarządzać, nigdy się nie sadzę;

Ty prośb moich wysłuchasz, a masz w krwi twój
władzę.

I gdy Ruś tém szczęśliwém ponękasz żelazem,

Ja też chlubić się będę; żem był z tobą razem.

W Ł A D Y S Ł A W.

Trzymając za rękojeść szabli Bolesława.

Gdy synu, tego miecza dobędziesz w potrzebie,

Niechay się nieprzyjaciół płaszczy koło ciebie.

Niech się trwoży, niewinnie, klóćący nas zdrayca,
I przed karą ucieka, jako winowayca.

Jeśli by zaś z tych zbóyców przyszło tam któremu,
Ośmieliwszy się życiu pogrozić twojemu,

Niech ten miecz niebezpieczne zamachy odbije,

I pewném cięciem, winną upokorzy szyję.

Ludu mój! w oczach twoich ten Izaak staje;

Ja go, dla twéy miłości, na ofiarę daję.

Czyż się mogę wypłacić więcej narodowi?

Boże! wróć mi go przecię, jak Abraamowi.

Grają marsz za teatrem, wychodzą wszyscy.

A K T II.

Dekoracya: Pokoje królowéy.

S C E N A I.

J U D Y T A , P R A X E D A .

J U D Y T A .

Zginać musisz niewdzięczny! . . już zgon jego
widzę! . . .

Nie znam śródka Praxedo ; kocham , nienawidzę.
Nie znam , co to litością serce me osłabić,
Gdyby mógł wstać zabity , powtóre go zabić.
Okrutny Bolesławie ! dziś będzie zemszczona
Judyta , i z nią razem miłość pogardzona.
Prócz tego , już mi młodzik do rządu się wdziera.
Czyni , cobym nie chciała ; com dała odbiera ! . .
Toby mię w śmierci jego cieszyło godzinie,
Gdyby jeszcze mógł wiedzieć , że z méy ręki ginie.

P R A X E D A .

Czyliż już taka pewność w Mikrodzie i Rusi,
Że koniecznie Bolesław od nich zginać musi ?

J U D Y T A.

Na cóż cudzych? kiedy mam swojego gotowym?
Wolałam, żeby pewniey padł nożem domowym.
I gdy się ta nić Piastów ostatnia przestrzyże,
Tym sposobem do tronu me córki przybliżę. (n)
Niewdzięcznik!... gdy mię świeżo prosił opuszczony,
Żeby od téy wyprawy nie był oddalony;
Wtenczas przynajmniey dla mnie mógłby być
odmienny.

Rękoma, sercem, okiem, stał posąg kamienny.
Dogodziłam żądaniom, poszedł na wyprawę,
Jeszcze z sobą do króla wezwałam Zbistawę,
By ta jego kochanka, ta nad insze miła,
Wraz zemną się do zguby jego przyczyniła.
Bo już wtenczas tym za nim uczynionym krokiem,
Zdrayca, serca mojego miał ginać wyrokiem.
I ledwie mu ta podróż była pozwolona,
Wnet przyzwałam Zbiluda, Zemy, Odolona,
Tych, Śmiałego współników, co biskupa siekli;
Wszyscy mi jednostaynie usłużyć przyrzekli,
Że gdy noc w mieszaninie rękę ich ośmieli,
Żeby troistym nożem Bolesława rznęli.
Moje się panowanie, lub mych córek zacnie,
Pierwszemi dostojęstwami nagrodzę im znacznie.
Prócz tego dzisieyszemu niechętni rządowi,
Że służyli śmiałemu i Mieczysławowi,
Ten im przytraf dogodny. (*Za przyyściem króla,
Praxeda wychodzi.*)

S C E N A II.

W Ł A D Y S Ł A W , J U D Y T A .

W Ł A D Y S Ł A W .

Nasze zamieszania
Dotychczas cię Judyto wstrzymały od spania,
Choćbyś bezpiecznie mogła na wszystkie hałasy,
Wtenczas, gdy ja przy tobie czuję, mieć swe wczasy.

J U D Y T A .

To, co naród obchodzi, co ciebie i co mnie,
Noc, którą pewnie będą wspominać potomnie,
Która Bolesławowi da zwyciężki wieniec,
Co nań włoży nasz wolny od kaydan młodzieniec.
Noc tę, chwały narodu, jakżebym przespała,
Żebym między pierwszemi naszych nie witała?
Którzy, może nie bawiąc, z okrzyki powrócą.

W Ł A D Y S Ł A W .

Ja mam nadzieję, że Ruś zuchwałą ukróca;
Ale się lękam nieco Mikrodowéy siły.
Nasz Bolesław nie idzie, gdzie ma schód pochyły,
Ale pnie się do góry, choćby i szkodował,
Szukać będzie Mikroda, by się z nim skosztował.
Mówią o wielkiej sile tego poganina,
Że przy Sanie zbroynego w pól przeciął Węgrzyna.

J U D Y T A.

Czyż twój syn w téj wyprawie będzie za harcerza?
 Słyszałam, żeś go związał przysięgą rycerza,
 Żeby od Skarhimira nie odstąpił kroku;
 Bitniejszego żołnierza mieć będą przy boku.
 A gdzie się Ruś przeciw wam niedołężna sili,
 Zawsze na waszę stronę fortuna się chyli.
 Choćby też przyszło do rąk z tém dziwem zajadłem,
 Czyż Mikrod tylko młotem, a wszyscy kowadłem?

W Ł A D Y S Ł A W.

Gdyby Bóg błogosławił tym dni mych ostatkom,
 Żebym mógł powypłacać długi Polskim matkom;
 Które na mnie o synów zabranych wołają!..
 Niech insi więcéy szczęścia, więcéy lat żądają,
 Ja smucić się nie będę mym do grobu wchodem,
 Byłem z uszczęśliwionym żegnał się narodem.

J U D Y T A.

Naród będzie szczęśliwym i ty patrząc na to,
 Cieszyć się wiekiem będziesz, prac twoich zapłata.

W Ł A D Y S Ł A W.

Po dzisiejszój wyprawie, gdy Bolesław wróci,
 Oddam mu rządy państwa, niech się już on kłóci.
 Kto się krajem zatrudnia, ten jest królem prawym;
 Będę tylko u syna, na chlebie łaskawym,
 Pewien wszelako względów (za trudy, com użył),
 Od mojego narodu; bom pocziwie służył.

S C E N A III.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

W S Z E B O R.

O pół mili od miasta, trzech nasi złapali,
Którzy się od obozu xiążąt zabłąkali.
Ci pewną sprawę dają: Jakoby ich pany,
Dzisiay poniechęć się mieli z Połowczany,
O nierowny zdobyczy udział każdéy stronie;
Mikrod chciałby zabierać i sprzęty i konie,
A Rusinom zostawia niewolnika z bydłem.
Mówią: że prawém rządzi obozowem skrzydłem
Oleg, Wołodar lewem, z swemi Przemyśłany,
Mikrod w odwodzie, w śródku Jarosław pijany.
Tamże Włodzimierz strzeże łupów z niewolnikiem,
Otoczony najpiérwszym woyska najezdnikiem,
I Ruskiemi Bojary. A bydło i konie,
Mają zacząć przeprawiać o porannéy łonie.
Mówią: że ich się więcéy zbłąkało ku miastu,
Ale idąc nasz podjazd, zabrał kilkunastu.
Przydają, że umyślnie podeszli tak blisko,
Żeby sobie czynili z nas urągowisko.
Nigdy nie myśląc, aby naszych garstka mała,
Przeciw tak licznym woyskom, ośmielić się miała.
Podjazdowi pomyslność wszystko wróży panie;
Lud serdeczny, wódz dzielny, Ruskie zaufanie.
Jeszcze, gdyby umyślnie, niebo nam się zgina:
Wiatr od Ruskich obozów silny wiać zaczyna;

Że nasi, biegnąc sporo, w pośród nocny ciszy,
 Wkradną się w las, i pewnie nikt ich nie usłyszy.
 Będziem królu słyszeli, tenże wiatr przyniesie
 Wrzawy, skoro Bolesław szablę podniesie.

W Ł A D Y S Ł A W.

Niechże tych trzech złapanych, nie straszą, nie biją,
 Czemużby odpowiadać mieli za złość czyją?
 Ich pany wiarołomne, ich pany winnemi;
 Ale pódźmy, chciałbym się sam rozmówić z niemi.

S C E N A IV.

J U D Y T A sama.

Mnież to kiedy ma spotkać obelga tak ostra?
 Ja, potężnych cesarzów wnuka, córka, siostra, (o)
 U jednego młodzika na łaskawym chlebie! . . .
 Niech tam, pniu opleśniały, kto chce depcze ciebie,
 Ja się prędzę dam złamać, niż schylić pokorą! . .
 Ale temu przyszlęmu panu, może porą
 Już w tym czasie wnętrzości! . . ktoś ma rokosz
 swoją,
 Nie znam większy, jak gdy ną zemstę zaspokoję! . .

S C E N A V.

JUDYTA, PRAXEDA.

J U D Y T A.

Praxedo! jużemy tu zebrać przeznaczeni!
Przed Bolesławem z tobą stać będziemy w sieni,
Prosząc chleba kawałka. Władysław dał słowo:
Że, byle się z wyprawy syn powrócił zdrowo,
Zaraz mu rząd zupełny oddaje krajowy.
Ale przetnie ten wątek nóż Odolonowy.
Albo może Połowcy zrąbią go na sztuki,
Które głodne rozniosą po powietrzu kruki,
Że nie będzie co pogrześć; niżby miał mną rządzić.

P R A X E D A.

Pozwól pani! nie można Władysława sądzić,
Żeby miał tyle swemu pozwalać synowi,
Aby, co przyzwoite twojemu stanowi,
I wysokim zaszczytom, miał kiedy uwłóczyć:

J U D Y T A.

Więc mię nie znasz Praxedo. Trzeba cię nauczyć.
To serce, siebie tylko słucha, każe sobie;
Bydź wśród równych, dosyć mi będzie czasu w
grobie.
Teraz, co tylko wyższe o włos nad mą kosę,
Albo mię zetrzeć musi, albo ja się wzniosę.

P R A X E D A.

Ale czy tylko można wierzyć Zbiludowi,
I dwóm jego sprzysięgłym? czy pewnie odpowi
Żądaniom twoim, pani? Może się rozradzą,
Może i skrytą twoję namowę wydadzą.
W jakążby zawieruchę to cię nie wpędziło! . . .

J U D Y T A.

Takie powątpiewanie, z kąd ci się zaśniło,
Wielki powab, majątek, urząd, łaska stała,
U pani, na którąby spadła władza cała.
Te mieli obietnice, i mogli im wierzyć.
Dotąd niebity, kogom nie chciała uderzyć.
A gdyby mię zdradzili! . . . wiedzą co ich czeka.
Nie znajdą, coby mi się sprzeciwił, człowieka,
Żeby nie zginął, albo nie uciérpiął nędzy.
Ta ręka śmierć zadaje, lub rzuca pieniądze.

P R A X E D A.

Insze to były czasy! Bolesław był mały!
Dziś na niego wszystkich się oczy pozwracały.
Kochają go powszechnie, wkrótce będzie władać;
Żeby ten, który mu miał, śmiertelny raz zadać,
Nie był przeciwko tobie królowo za świadka.
Ja myślę, że ostrożność bezpieczeństwa matka.

J U D Y T A.

Chociaż nigdy błędu się spodziewać nie mogę,
Zażywszy na to ludzi, którzy znają drogę;

Ale i niespodzianą chcąc umknąć zawadę,
Żeby się czym nie zwickać, mam i na to radę.
Wpadnę nagle, i prosto opowiem królowi:
Że sprzysięgli się życie wziąć Bolesławowi,
Zbilud, Zema, Odolon; że w téj mieszaninie,
Jeżeli go nie posłą ratować, zaginie.
Wypada, że wnet poczet wyleci za niemi;
Ażby albo żywcem mogli bydz wziętemi,
Jeśli nie, tedy żeby tam ich rozsiekano.
Moja rzecz, by w tę drogę Przeclawa wysłano.
Przeclawa, który dla mnie to uczyni snadnie:
Jemu zalecę, skoro na mieysce przypadnie,
Choćby mógł żywcem zabrać, żeby śmierć podjęli,
Pod pozorem, że niby bronić mu się chcieli.
Zgonem trzech drobnych ludzi spokoyność opłacę,
Zyskać mogę naywięcéy, a naymniey w nich tracę.

P R A X E D A.

Lepieyby tedy zaraz donieść to królowi.

J U D Y T A.

Poczekam, bo się dobrze zdaje Wszeborowi,
Że ponieważ wiatr wieje od obozów Rusi,
Tu wrzawa bijących się słyszana bydz musi.
Otoż, jak się rozpocznie z Rusinami sprawa,
Czas będzie donieść o tém, i wysłać Przeclawa:
Zkąd inąd, nie potrzeba byśmy się kwapili,
Bo myśl, co chcesz, moja mię zdobycz nie omyli;

Przez naszych sprzysiężenców Bolesław dziś zginie.
Ale nie mogą się nań podnieść w téj godzinie,
Kiedy idą podjazdem; chyba w bitwy czasie,
Wśród nocy, zamięszania, sposobność poda się.
Jeżeliby się zaraz Przecława posłało,
Mógłby ich pozabijać, niżby co się stało.
Niech oni swoją drogą idą, niech czas mają,
Niech mu przez setne rany duszę wypędzają;
Przecław tam o poranku pierwszym chyba stanie.
Zbiluda, Odolona, Zemę, niemieszkanie
Rozsieka, tak wraz będzie Bolesław zabity,
I w śmierci trzech zabójców, nasz sekret ukryty!..
Lepiej, że ich też posłę z Bolesławem drogą:
Oni wymagać wiele za usługę mogą.
Czuję to, jak jest we mnie, niepodległa dusza;
I nie lubię wdzięczności, bo czasem przymusza.
Pójdę, niech mi się Przecław jak napedzły stawi.
Nie spóźni się, kto wcześniej rzeczy swoje sprawi.

S C E N A VI.

P R A X E D A *sama.*

Już daléy nie mam tyle i serca i siły,
Tak mi się te królowéy roboty zmierzily!
Trucizny, mordu, zdrady; wszystkiego użyła,
Byle tylko układom swoim dogodziła.
Niezmierna chęć rządzenia, rozpusta i pycha,
Gdzie występpek największy, wszędzie ją popycha.

Mnie do swoich tajemnic nieszczęściem przybrała,
Zginęłam, jeżelibym uchylić się chciała.
A codzień świeże deptać trupy, jak jéy zda się,
Sama na to człowiecza natura wzdryga się.
Co jéy winien Bolesław, że nań ostrzy noże?
Że skromny, że oycowskie nie chce mazać łoża,
Że kochany od ludu, wkrótce będzie rządził;
Temeś to Bolesławie, tém u niey pobłądził!..
Hoży młodzian! w tę podróż gdy na konia siadał,
Słyszałam z okna, do swéy jak czeladzi gadał:
„Z wielkim jutro na obiad czekaycie mię stołem,
„Bo z jeńcy odbitemi jeść będziemy społem.“
Nie wiedział, jakie Zbilud gotuje mu gody!..
Gdzie szlochania, za surmy; łyzy gorzkie za miody;
Za śpiewania, oycowskie i Zbysławy jęki!..
Gdzież był potrzebny, żeby z jego nie żył ręki?
Komuż on się naraził?.. Radziłam królowy,
Żeby zaraz doniosła Zbiludowe znowy,
Myśląc, że gdy za niemi wyleci wyprawa,
Mogą jeszcze uprzedzić zabój Bolesława.
Ale złość jéy przezorna, czas zwlekać wołała,
Żeby ze czterech razem trupów, krew złapała!..
Zginałeś Bolesławie!.. z nami się rozstawa
Słodki uśmiech, uprzejmość, wesołość, zabawa.
Jakież po twojéy śmierci w narodzie rozpacz?
Gdy cię Praxedą nigdy nieplacząca, płacze!..
(Łzy ociera.)

S C E N A VII.

J U D Y T A , P R A X E D A.

J U D Y T A.

Cóż się stało Praxedo? Czemuś tak zmiészana?
Zkąd łzy w oczach? i twoga dotąd ci nieznana?
U mnie płacz pewnym znakiem jest słabości duszy;
A my zawsze wygramy, gdy nas nic nie wzruszy.

P R A X E D A.

Nie pamiętam, jak dawno łzy się wylewało,
Ale serce jest sercem, i pory czekało.

J U D Y T A.

Przecież musi być jakaś twoich łez przyczyna?

P R A X E D A.

Zwalona, na nic może niewinnego, wina.

J U D Y T A.

Wynurz mi, jaki ma być ten żal twój ukryty?
Zawsze miała Praxeda przystęp do Judyty.

P R A X E D A *(całuje rękę królowy.)*

Pani! nigdy ci w życiu przeciwną nie była,
Za wałam twoją, jak cień za słońcem chodziła;
I chociaż mi rzecz jaka przeciwną się zdała,
Myślałam, musi to być, bo pani tak chciała.

J U D Y T A.

Moja Praxedo! na cóż ogródek tak wiele?
Prawość dały twe u mnie zasługi; mów śmieje.

P R A X E D A.

Oto Bolesławowi żebyś darowała.
Jam to jego młodości dopiero płakała!
I jeżeli w czém kiedy niebacznie pokawił,
Nie karać go tą razą, onby się poprawił.
Zbilud, Zema, Odolon, niechby poginęli,
Dość winy, że się zabić xiążęcia podjęli,
Pośliy pani nayprędzém sprawnego Przecława:
Może jeszcze uprzedzić zabój Bolesława.
Tak ochronisz to życie, które po godzinie,
Pewnie ci będzie drogie, jak gniew twój przeminie.

J U D Y T A.

Ja, co raz postanowię, tego nie żałuję.
Ale zkad ci ta nowa litość serce truje?

P R A X E D A.

Litość widzę przychodzi sama, nie wołana;
I chociaż dziś pierwszy raz odemnie poznana,
Czuając ją, teraz nawet nie żal mi, żem tkliwa;
Nie truciznę, lecz słodycz, ona w serce wlewa.

J U D Y T A.

Pomyślę nad tém, a ty w téj duszy chorobie,
W bliskim moim uchronie, pójdź i spoczniy sobie!

S C E N A VIII.

J U D Y T A *sama.*

Chce, żebym dzikiey jego znajoma natury;
Czekała, aż lwu temu urosną pazury.
Chce, by mię jutro deptać, albo ze mnie szydzić;
O Praxedo! chcieć tego, jest mnie nienawidzić.
Nie mogę się z nią głośno o tę słabość wadzić,
Boby mię mogła wydać, mogłaby mię zdradzić.
Ale trzeba się jako zbyć jéy pokryjomu;
Pod skórą psa wiernego, to widzę wilk w domu.
Może jakie miłostki z Bolesławem miała;
Nierozumiem, za coby go tak żałowała.
Niestala widzę!.. zaraz jak śnieg się rozleje.
Wolę głaz, prędzéy da się skruszyć, niż stopnieje.

S C E N A IX.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

W Ł A D Y S Ł A W.

O Judyto! jakże to potrzebna wyprawa,
Na którą się wysłało dzisia y Bolesława!
Trzéy zabrani Rusini, nad mniemanie liczą;
Z jaką Mikrod z xiążęty uchodzą zdobyczą.
Samego niewolnika, kładą płci obojéy,
Do trzydziestu tysięcy, że nad Wisłą stoi.
Chodząc szlachetne panny po maydanach płaczą;
Że już swojéy oyczyzny nigdy nie obaczą;

Szczęśliwsze, które mogły paść pogańskim nożem,
I pogrześć się w swym kraju z niezmazanem łozem.
Mężczyzni powrozami skrępowani leżą,
Ledwo swą nagość nędzną pokryli odzieżą;
Którym się w krzepkie ręce twarde wżarłszy łyka,
Gdzie tylko nieprzyjaciół pędził niewolnika,
Wszędzie po drogach krwawe zostały się ślady:
Wszędzie nad nim bicz ostry, a przy nim głód blady.

J U D Y T A.

Jakież tam ma być mnóstwo i bydła i koni?

W Ł A D Y S Ł A W.

Powiadają, że obóz ledwie je zasłoni.
I choć z głodu, z przegonu, zginęło najwięcej,
Jeszcze mogło im zostać sztuk do sta tysięcy.

W S Z E B O R.

Tóż rynsztunków wojennych, i sprzętów domowych
Mówią, kilkaset ciągnie wozów obozowych.
W co lubili na przepych ubierać się w święto
Nasi Sandomierzanie, wszystko to im wzięto.
W czém stawali w potrzebie, złożone przyłbice;
Zbroje w drogich kamieniach, oprawne szabllice;
Wszystko to dzisiay w ręku zostało pogańskich! . .
I Połowców z Rusinem w stepach Zadnieprzańskich;
Przybranych w nasze złoto bujać będą tłumy;
Że ich własne współnagie nie poznają kumy.

Tak byłoby, gdyby nam niebo nie zdobrzało,
A wyprawie dzisiejszemy poszczęścić nie chciało.
Ale jakieś szczęśliwe mam przeczucie, panie,
Że nam wrócą to wszystko i Ruś i poganie.
Wreszcie Bóg obrócić się musi na tę stronę,
Gdzie nań woła niewinność, przymierza zgwałcone,
Znieważone dziewice, lud uciemniony.
Takim, królu, posiłkiem nasz podjazd wzmocniony.

J U D Y T A.

Jużby dalej powinny téy naszéy wyprawy,
Tak, jakęś się spodziewał, słyszane bydź wrzawy.

W S Z E B O R.

Pewnie, jużby się dalej powinny zeyść z sobą.
Panie, jeżeli każesz?

W Ł A D Y S Ł A W.

Idę razem z tobą.

(Wychodzą wszyscy.)

A K T III.

Dekoracya też sama.

S C E N A I.

WŁADYSEŁAW, WSZEBOR.

WSZEBOR.

Jeszcze do dnia z godzina, biją się od chwili,
Dość czasu, królu, żeby oboz rozproszyli.
Bo gdyby nas na sobie wstrzymali, z dniem białym,
Widząc nasz podjazd w miarę swoich woysk tak
małym,

Toby ich ośmieliło. Lecz tak się nie stanie,
W Rusi trwoga przemoże, w naszych zaufanie.
Kiedym, królu, usłyszał bijących się wrzawy,
Gdyby blisko, sam zaraz stanąłbym do sprawy;
Tak się nawykła boju krew cała zburzyła!

WŁADYSEŁAW.

Co we mnie, insze czucie ta wrzawa sprawiła;
Myślałem, jak daleko winni są królowie,
Albo ci, w których ręku ludu życie, zdrowie:

Kiedy często za drobne między sobą sprżeczki,
Ludzi niewinnych krocie, ciągną do potyczki.
Zle spał pan niecierpliwy, zdechł pies ulubiony,
Wtém mu pochlebny sługa donosi ze strony,
Że sąsiad wszystkie pańskie sprawy w śmiech obraca;
Wnet woyna, psa niestrawność, krew ludzka opłaca.
Cośmy winni xiążetom? co Połowcom byli,
Że się na nas w niesławnym Stakowie złączyli?
Może uraza jakaś z boku podeszczwana,
Może chęć sławy w świecie źle wyrozumiána,
Albo żądza swojego majątku zwiększenia;
Wszystkie marne pobudki do ludzi tracenia.
Któż nagrodzi za męża żonie, co kochała?
Dzieciom za oycą? Matce, gdy syna stradała?
Których dziś krew niewinna potokami płynie! . .

W S Z E B O R.

Panie! to nie uchybi; kto ma zginąć, zginie.
Cóżbym był robił, gdyby świat był tak spokojny?

W Ł A D Y S Ł A W.

Broń się, a nie napastuy. Oto prawo woyny.

S C E N A II.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

J U D Y T A *udyszona.*

O królu! zginęliśmy!.. Bo już może zginął!..

W Ł A D Y S Ł A W.

Któż zginął?

W S Z E B O R.

Coż to?

J U D Y T A:

Jakże wczesnie się przeminał!..

(Ręce załamuje).

W Ł A D Y S Ł A W.

Któż taki?

J U D Y T A.

Twoja w życiu nadzieja jedyna!..

W Ł A D Y S Ł A W.

Pewnie syn mój Bolesław?

J U D Y T A.

Ratuj twego syna!...

Zbilud, Zema, Odolon, nań się umówili,
W dzisiejszemy tam zamieszce, żeby go zabili!

W Ł A D Y S Ł A W.

Któż doniósł o tym spisku?

J U D Y T A.

To będzie tajemne;
Bom przyrzekła nie wydać.

W Ł A D Y S Ł A W.

Nadzieje daremne!
Boże! cóż on był winien? Wszebor day mi zbroję,
Szablę, konia; ratować poydę dziecię moje!
Albo razem z nim zginę. (*Chce wychodzić.*)

W S Z E B O R.

Zatrzymay się panie!
W tym wieku, co mi tylko krwi jeszcze zostanie,
Czyż ją piękniey przeleję, jak za twego syna?

J U D Y T A.

Daruy Wszeborze! lat twych, nie serca jest wina,
Że sprawy tak prędkiego potrzebnę obrotu,
Nie możesz się napierać.

W Ł A D Y S Ł A W.

Przez dzięki! o co tu

Kłócić kogo? Ja oyciec!

J U D Y T A.

Na myśl mi przypada
Żartki Przecław, niech na koń jak nayrychłéy wsiada
Naybardziey, że królowi statecznie przychylny.

W Ł A D Y S Ł A W.

Stóycie! on nie miał dzieci, nie będzie tak pilny!..

J U D Y T A.

Wszeborze! Rycerz zbroyny w gotowości czeka;
Przecław niech z sobą weźmie ze dwieście człowieka,
I niech zaraz wyleci. Niech zabójców ima,
Żywcem trzeba koniecznie, boby pod oczyma
Wydali i spółników, których pewnie mają.
Jeśli by się bronili, niech tam gardła dają.
Spodzielwam się przed czasem, że ich ubieźymy;
Karząc jednych sprzysięgłych, drugich zastraszymy,

W Ł A D Y S Ł A W.

Żywych niech mi przywiodą, jeśli syn mój żyje;
Jeśli zginął, niech przyydzie Zbilud mnie zabije.

(Król płacze).

S C E N A III.

W Ł A D Y S Ł A W, J U D Y T A.

J U D Y T A.

Hamuy żal królu! życie możesz sobie skrócić;
Złemu zapobiegając, złe może się zwrócić,
Ale zdrowie zepsute nie łatwo naprawić.

W Ł A D Y S Ł A W.

Chciał nam Bóg drzwi do serca otwarte zostawić,
Dla wszystkiego, co tylko w życiu nas potyka;
Żal wnidzie, i za sobą wrota pozamyka.

J U D Y T A.

Kiedyśmy tam sprawnego wystali Przecławą,
Zrobiliśmy co mogli. Wreszcie, tak się zdawa,
Że gdy Skarbimir pilny xiążęcego boku,
Od niego, jak powinien, nie odstąpi kroku,
Nie tak łatwo sprzysięgłym przyydzie do zaboju.

W Ł A D Y S Ł A W.

Alboż to syn mój w mieyscu ustoi w pokoju?
Tam, gdzie będzie rozumiał, że za sławą bieży,
Nóż zdybie, nożem nicny Zbilud go uderzy.

J U D Y T A.

Tak trwożliwe wróżenia zostawmy na stronie,
Niebo ma królów w swojéj szczególnéj obronie.

J U D Y T A (na boku).

Żeby mu tylko śmierci nie zbliżył żal taki,
Jeszcze mi życie jego potrzebne rok jaki.
(do króla). Na cóż te wyrzekania? na co te rozpacz?

W Ł A D Y S Ł A W.

Cóżbym dał, żeby próżne były moje płacze?..
Ale będziesz sierotą oycze nieszczęśliwy!..
Dzień rodzin syna mego, dzień to był kłamliwy!..
Tłumami lud zbiegał się, mnie szczęśliwym zwali;
Bitnych, stryja, pradziada, imię mu nadali:
Wróżyli dla narodu, i dla mnie ku myśli!..
Niechby dziś w dom mój smutny, niechby dzisiaj
przyszli,
Chodzić będę po kątach oblewając łzami
Miejsca, gdzie kiedyś szczęście bawiło się z nami!..

S C E N A IV.

W Ł A D Y S Ł A W, J U D Y T A, W S Z E B O R.

W S Z E B O R.

Po myśli, przy drzwiach zamku zastałem Przecławą;
I taką, jak mi była polecona sprawa,
Zlecilem mu. Wsiadł na koń, i z nim niemieszkanie,
Przebrańszego do dwóchset kopiynika stanie;
Że zaledwie nie w takiej, jak to mówię chwili,
Podobni błyskawicy, za bramę skoczyli.

Zrobiłem co kazano. Lecz daruy królowa,
Moja tego wszystkiego nie poymuje głowa,
Żeby Zbilud łaskami tylu obsypany,
Miał się kiedy niewdzięczny targnąć na swe pany!

J U D Y T A.

Sama niewierzyłabym, jak i ty, hetmanie,
Że to kiedy podobne, że się kiedy stanie.
Ale gdym téy nieszczęsnéy nowiny dostała,
Cóż? chciałżebyś Wszeborze, ażebym milczała?
Takiey wagi wiadomość winna bydz odkryta,
Która nadto z bliska rzecz tyka pospolitą.
Jeśli się bronić będzie Zbilud Przecławowi,
Znak pewny, że jest winien, i gardłem odpowi.
Jeśli wnet za rozkazem, jak należy, staną,
Niech się bronią od zbrodni, którą im zadano.
Fałsz się wyda, czy spisek zostanie odkryty,
Cóżkolwiek bądź, ten krok był zawsze przyzwoity.

W Ł A D Y S Ł A W.

Po czasie!.. Dotąd Zbilud już skończyć powinien!..
(*Strwożony biegnąc do Wszebora*). Wszeborze!
za cóż on mi grozi? Jam nie winien.
Jam nie chciał zguby jego!.. (*Wychodzi śpiesznie z Judytą*).

W S Z E B O R.

Któż ci grozi panie?

S C E N A V.

W S Z E B O R *sam.*

Żal ciężki, jakoweś mu robi pomieszanie!
Ale wszedł do Zbysławy, może go utuli.
Królu z sercem najlepszym, resztę dni twych struli!..
Któż myślił, by Bolesław od wszystkich kochany,
Na taki miał przyysć kiedy koniec opłakany?..
Jeszcze od tych, którzy mu powinni tak wiele!..
Rozsiekawszy wraz z śmiałym, biskupa w kościele,
Tułacze w cudzym kraju, wszędzie zohydzeni,
Za łaską Władysława z Węgier sprowadzeni;
Wrócone im majątki, nadane urzędy!..
Za takie od swojego dobroczyńcy względy;
Czyż podobna, żeby mu zabić chcieli syna?
W którym oycy i kraju nadzieja jedyna?..
Lecz strucie Mieczysława dziedzica po Śmiałym, (q)
Co go dotąd z narodem opłakujem całym;
I oni tąż trucizną razem częstowani,
Od której szczęściem jakimś ledwie ratowani.
Może to, dawny wraca hart duszom stalowym,
Że się znowu chcą zczernić okrucieństwem nowym.

S C E N A VI.

Z B I S Ł A W A , T E O F I Ł A , W S Z E B O R .

Z B I S Ł A W A .

Cóż się w domu królewskim tak strasznego dzieje?
Że Władysław wpadł do mnie, drży, wzdycha, łyzy leje!

Czy nie o Bolesławie ma jakie nowiny?

W S Z E B O R.

O bitwie bydź nie mogą, wszczętę pół godziny.

Z B I S Ł A W A.

Czegóż król tak strwożony, jak nigdy nie bywał?
Sciskał mię, nieszczęśliwą synową nazywał?

W S Z E B O R.

Myśli, że mu Bolesław pewnie tam zaginie,
Ślepy nocą i sławą w bitwy mieszaninie.
Mówi, że serce jego tę śmierć przeczuwało.

Z B I S Ł A W A.

Nacóż go było puszczać?

W S Z E B O R.

Puścił, już się stało.
Ale mając jednego, w nim takie nadzieje,
Nie dziw, że się o niego lęka i łązy leje.

Z B I S Ł A W A.

Jakiż mu to Mieczysław groził, upominał?
Wszedłszy do mnie, kilkakroć to imię wspominał.

W S Z E B O R.

Dopiero zrozumiałem, com dotąd niewiedział.
Właśnie król ztąd wychodząc toż samo powiedział.

W tém miejscu tę niesławną ucztę sporządzono ;
W tym kącie (*pokazuje kąt w pokoju*) struty konał

Mieczysław z swą żoną.

Król miał mieć przywidzenie w bojaźni o syna,

Że się Mieczysław za swą krew, krwi upomina.

Ale nadto dotkliwe w tym pańskie sumnienie;

On o niczem nie wiedział. Całe przewinienie,

Że po stracie xiążenia nieodżałowanáy,

Nie szukał sprawców zbrodni w Polsce niesłychanęj.

Z B I S E A W A.

Dlatego, że nie szukał, ściągnął na się winę,

I do posadzania go dał ludziom przyczynę.

W S Z E B O R.

Pani! ważna rzecz była, która go wstrzymała,

Gdyby ta złość surowiej dochodzić się miała;

Gdybyśmy karać w miarę taką zbrodnią chcieli,

Możebyśmy tron jaki poruszyć musieli.

Król, który lubi naród, a wojny nie lubił,

Wiedząc, że tysiącami ludzi by nagubił,

Wolał milczeć spokojny, tam gdzie mówić trudno.

TEOFILA.

Eudoxya byź miała na obliczu cudną?

W S Z E B O R.

Jam nie widział piękniejszych dotąd, ludzi dwoje!

Wiekem, wzrostem, słodyczą, podobni oboje.

On hojny, chociaż w domu nie było bogato;
 Nayskładniey bronią robił, i serce miał na to;
 Uprzeymy dla każdego, pełen młodzian cnoty.
 Z takimi Mieczysława otruto przymioty.

Z B I S Ł A W A.

Byłżeś w tenczas hetmanie, kiedy się to stało?

W S Z E B O R.

Nawet u tegoż stołu! Lecz Bogu się zdało,
 Że mię tym mężoboyskim trunkiem pominęli,
 Ci, co xiążąt i kilku tylko śmierci chcieli.
 Jeszcze od nieszczęsnego nie wstaliśmy stołu,
 Kiedy trafnie żartując, bawim się pospołu,
 Xiąże spłoniony do swéy Eudoxyi rzecze:
 „Jakiś mię ogień wewnątrz nadzwyczajny piecze.“
 A ta: „Bałam się, że wam dobrą myśl zepsuję,
 „Ale coś śmiertelnego we wnętrzościach czuję.“
 Toż Zbilud, toż Odolon, i Zema, wyznali.
 Xiąże ściskając żonę: „Truciznę nam dali.“
 Rozruch wielki, i głośnie kobiece szlochanie,
 Wkrótce ponapełniały ludem to mieszkanie.

Z B I S Ł A W A.

A król gdzież był natenczas?

W S Z E B O R.

Przybiegł w małą chwilę;
 Mieczysław go postrzegłszy, wstał o swojéy sile,

I głosem już zmienionym: „Struty jestem (powi),
„Jeszczeż byłbym przydatny tobie i krajowi.“
Król z pfaczem wyznał, że się tą nie zmazał zbro-
dnią,
Eudoxya wstać chciała, nogi drżały pod nią.
I gdy ję podał rękę, i wziąć leki radził,
Prosi, bym ją do bliskiej sypialni prowadził.
Tam wszedłszy, tuż przy łóżku stał codzień błagany
Posąg przeczystéy z srebra szczerzego odlany,
Co córce, żegnając ją tkliwa matka dała,
I do niego ję zdrowie, szczęście, przywiązała.
Do nóg tego posągu xiężna się nachyli,
I ze łzami tak zacznie: „Żleśmy ci służyli,
„Dziewico niezmazana! . . . Może, myśli błędy,
„Może mniey baczne serce, języka zapędy,
„Żeśmy z mężem na taką karę zarobili;
„Dziewico niezmazana, źleśmy ci służyli!
„Już ci świecy mą ręką nie będę zlepiąa,
„Żeby po całej nocy przed tobą gorzała;
„Już skroń twych nie uwienczę kwiaty codziennemi,
„Znajdziesz za mnie zdatnieysze służebne na ziemi.
„Ale kiedy mi wszystko opuszcza, gdy ginę,
„Ty pani, nie odstępuy mię przez tę godzinę.“
Potém, ku małżeńskiemu skłoniwszy się łożu:
„O ty! wierności mojęy i świadku i strożu!
„Zakładzie szczęścia w stadłach! . . . Nie tak się
myślało
„Ciebie porzucac; gdyby niebo było chciało! . . .

„Tuby Mieczysław z dziećmi, tu czeladka stała;
„Tymbym błogosławiła, z mężem się żegnała!
„Dziś, nie żona, nie matka, przy tobie łyżę leję!
„Już mię nawet zwodnicze odbiegły nadzieje!“
Potém się ku mnie zwróci: „prowadź mię het-
manie,
„Póki jeszcze krzepnących tych oczu mi stanie,
„Niech się na Mieczysława napatrzę! . . . Ból psuje
„Me wnętrzności! . . . może mi przy nim pofolguje.“
Wiedź ją z drugim musiałem, bo osłabła cała.
Władzy żadnéj wstrzymać się na nogach nie miała.
W tém miejscu, (*pokazuje kąt w pokoju*) już Mie-
czysław leżał na pół żywy.
Klęcząc przy nim król go sam orzeźwiał troskliwy.
Kiedy blisko zholata Eudoxya siadła,
Trupowi podobniejsza, milcząca, wybladła! . . .
Spożył na nią naczulę; i łyżę mu pocieką;
Czarne miał duże oczy pod rzęsną powieką:
Wlepiwszy je w swą żonę, wesprze się na dłoni.
Dźwignie o swojéj mocy i siądzie koło niéy.
Już mówić nic nie mogli, oczyma gadali,
I tylko się ściskając za ręce, żegnali.
Wtém krzyk dał się usłyszeć, krzyk był przeraźliwy
Wisławy, Mieczysława matki nieszczęśliwéy! . . .
Którędy nędzna z głową roztarganą leci,
Głos w gmachach rozlega się: „Oddaycie mi dzieci!“
Ale, gdy się usuną tłumy, jéy rozpaczy;
I prawie konających oboje obaczy,

Zbyteczna żałość razem! mowę odebrała:
Ręce tylko załamie, padła, i zemdłała.
Mieczysław, co nic nie mógł przemówić do żony,
Tym Wisławy upadkiem jakby ocucony,
Krzyknie! „Matkę ratujcie!“ Taką nań moc miała.
Tak w nim miłość synowska wiele przemagała:
Eudoxyą trucizny jad w tém zamordował,
Ale Mieczysław dłużej z śmiercią się mocował.
Wisława, po obojga zgonie otrzeźwiona,
Wkrótce za dziećmi żalu i życia dokona.
Tak troje razem w jednę uwięzło kolei,
Smutny widok, wielkości ludzkich i nadziei!.

T E O F I L A.

Czemuż lekarstwem jakim ich nie ratowano
Na razie, skoro tylko truciznę poznano?

W S Z E B O R.

Było leków i nadto, brali je oboje;
Ale to może jeszcze na większe zło swoje.
Zbilud, Zema, Odolon, mniej lekarzów mieli,
Przecież, choć po chorobie długiej, ocaleli.
Chciey mi pani darować, że wyyde do króla,
Chociaż go tam Judyta cieszy i utula,
Więcey ludzi, większą mu rozrywką bydź mogą.

S C E N A VII.

ZBIŚŁAWA, TEOFILA.

ZBIŚŁAWA.

Na żal wielki, rozrywki żadne nie pomogą!
 Daymy, że król sam sobie stwarza widma dziwy,
 A potém się ich boi, już jest nieszczęśliwy.
 Co ja o Bolesława coś nie tak się trwożę;
 Cóż mu tak związanemu złego stać się może?
 Obiecał bydź przy boku Skarbimira wszędzie,
 Gdzie naylepszy kopiynik pilnować go będzie;
 Dał słowo, nie może się ślepo tam uganiać.
 On dla oycy i dla mnie zechce się ochraniać.
 Ale jak ci się zdaje, kto struł Mieczysława?
 Kiedy król nic nie winien, jak Wszebor przyznawa.

T E O F I L A.

Myślę, że to miało bydź Ruskich xiążąt sprawą.
 Niezmierne włości w Rusi wziął Śmiały z Wisławą,
 Dziedzictwo państw tak wielkich spadłoby na syna.
 Sąsiedztwo z Polakami dolega Rusina;
 Cóż gdyby kiedy Polak wlaźł wśrzodek w ich kraje,
 Woysko swe utrzymywał, i obce zwyczaje,
 Mógłby się nad nich wzmocnić z woyny, z krwi, z
 przyjaźni,
 Tak struciem Mieczysława zbyli się bojaźni.

Z B I S Ł A W A.

Może to bydź; ale mnie insza się myśl snuje:

Judyta, która królem zdawna powoduje;

Włada państwem, i wszystko chce mieć w swojej
mocy,

Niech nie rządzi dzień jeden, z złości umrze w
nocy;

Widząc, że tak Mieczysław w narodzie ważony,

Że bez żadney swéy winy odpadł od korony,

Że Polska Władysława sprzykrzywszy rząd słaby,

Jego na tron oycowski wywyższyć mogłaby:

Po męzowskim upadku, i swego się bała,

Tak truje Mieczysława, żeby panowała.

Jabym Bolesławowi nawet nie radziła,

Żeby (jak prędkowierny) dowierzał jéy siła;

Lepiej czasem nie ufać, niż płakać po szkodzie,

Już zaczął w rządy wpływać, co ją pewnie bodzie.

T E O F I L A.

Z téy strony ciosu xiąże spodziewać się nie ma.

Praxeda, co królowy serce w ręku trzyma,

Jak wielką tajemnicę to mi powierzyła;

Że Judyta go kocha, z nimby się bawiła.

Tęskni, gdy go nie widzi; obaczy; narzeka:

Że oczy wypatrzyła, że go długo czeka.

On nad ciebie, inszego niezna serca pana,

Oña sobie póchlebia, że kocha, kochana.

Pewnie, z téy strony złego nic mu się nie stanie.

Z B I S Ł A W A.

Tak złe serce, czyż może znać co to kochanie?
(*Wychodzą*).

A K T IV.

Dekoracya: Pokoje królowéy.

S C E N A I.

W Ł A D Y S Ł A W *sam.*

Już dnieje!... i ja słońce dzisieysze obaczę!..
Duszy mi z ciała wygnać nie mogły rozpacz.
Boże? ty mi żyć każesz; ten dar dla mnie karą!..
Ale nacóż kłócąc się z sobą, kłóć z wiarą?
Całuję świętą rękę, która mię zacina,
Życia nie odbierając, a biorąc mi syna!
Słońce! wczoray piękniejszém błysnęłoś mi czołem,
Bom na cię patrzył z moim Bolesławem społem.
Już on czekał przed memi o tym czasie drzwiami;
Nikt go nie mógł uprzedzić swemi przysługami.
Zapomniał wysokiego często przeznaczenia,
Z lada kim z méy czeladzi na służbę się mienia.

Gorzkie nader wspomnienie! . . . Gdy szczęście
przeminie.

Czemuż razem i pamięć o nim nie zaginie? . . .

Ale gdyby też groźne niebo się zmięczyło,

I lat jego niewinnych jeszcze żal mu było;

Albo gdyby jęk starca, jęk mój przeraźliwy

Aż przed bóstwo mógł zanieść wiatr jaki szczęśliwy;

Żeby czuyny Skarbimir tę zbrodnią wysledził,

Żeby Przecław Zbiluda zamachy uprzedził.

Nadziejo! . . Ty się lubisz uśmiechać do człeka,

Tobą jeszcze ten żyje, co dziś śmierci czeka.

S C E N A II.

W Ł A D Y S Ł A W, W S Z E B O R.

W Ł A D Y S Ł A W.

Wszeborze! ludzie wstają, my ócz nie zmrużyli;

Bolesław może zasnął od niedawnéj chwili!

W S Z E B O R.

Anioł tam Bolesława naszego pilnuje.

Teraz, co mi powinność sługi nakazuje,

Daruy panie! gorszą się z téj twojéj rozpacz.

Gdyby jeszcze stać to się nie mogło inaczéj;

Ale, jak tam zabójca wpadnie na xiążęcia,

I dokona srogięgo swęgo przedsięwzięcia?

Kiedy go tyle wiernych rycerzów pilnuje!

Kiedy go ziemia kocha, i Bóg nad nim czuje!

Zaco niebo znieważać? zaco przywidzenia?
Te skutki, saméy tylko myśli zapalenia.
Zaco szukać ustronia, które tuczy żale?
I drogiego (odpuść mi) tak zapamiętałe
Zdrowia, słabą nic zrywać?

W Ł A D Y S Ł A W.

Myślałem hetmanie;
Że na litość zarabiam, nie na strofowanie.

W S Z E B O R (*ukłękawszy przed królem*).

Królu! Jaż to, co o twe życie się frasuję? . . .
Wszebor co cię tak kocha? (*całuje rękę królu*)
radzi, nie strofuje.

Nie przyymą, choćbym z dni mych rad do twych
przyczynił;
Pozwól, żebyś żył dłużej, bym cię czasem winił.
(*Wstaje*).

W Ł A D Y S Ł A W (*ściskając Wszebora*).

Gdy kto jest nieszczęśliwym, każdemu się zdaje,
Że już winien, i sprawę zwyczajnie przegraje.
Cóż mam robić z tém sercem? . . jak nie czuć, gdy
czuję! . . .

Żalu radbym się pozbył, żal nie ustępuje.
Prócz tego, czyni jakąś folgę łza wylana,
Zda się, że to od bólu częśćka oderwana.

W S Z E B O R.

Czyni folgę na razie, ale na dal, truje!
 Któż kiedy płaczem zdrowie swoje zachowuje?
 Szukać raczén rozrywki o czém inszém mową,
 Z nami, z którą xiężniczką, z Zbysławą, z królową.
 Na czas przynajmniey panie, nic nie myśl o synie;
 Spodzielam się, że ledwie chwila jaka minie,
 A z obozu mieć będziem wieść o Bolesławie!

W Ł A D Y S Ł A W.

Tak mi przyrzekł Skarbimir, że w saméy rozprawie,
 Jak tylko dzień cokolwiek da poznać stan boju,
 Zaraz mi kogo przyśle, dla mego pokoju.
 Ale jeśli to przyydzie nieszczęście na syna,
 Posłańca pewnie taka przytrzyma nowina.

S C E N A III.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, WSZEBOR.

J U D Y T A.

Ze strony obozowéy już ustają wrzawy,
 Będzie się pewnie miało do końca rozprawy;
 Wkrótce naszych wesołe obaczmy szyki,
 Wkrótce ich usłyszymy zwyciężkie okrzyki.

W S Z E B O R.

Lubię wojnę, do niey mię niebo przeznaczyło;
 Ale bardziej po wojnie, zwłaszcza gdy się zbiło;

Te braterskie witania; te jeńce, te łupy.

W Ł A D Y S Ł A W.

Dodaj jeszcze na wojny pochwałę, i trupy.

W S Z E B O R.

Tak byź musi. Tych trupów chce rzeczy skład
własny,

Gdyby się nie zbijano, światby nam był ciasny.

W Ł A D Y S Ł A W.

Rusini mają stepów niezmiernych do myśli;
I choć im tam nie ciasno, przecież do nas przyszli,
Nie nadto zaludniane przepleniać Polaki;
Skutek to raczćy złości, nie potrzeby jakićy.

J U D Y T A.

Zbisława zna tych xiążąt, oprócz Wołodara,
Zwierzchnictwo Świętopetka, powaga, i wiara,
Często ich do Kijowa przy niey sprowadzały.

W S Z E B O R.

Panie! prośmy Zbisławy, niech nam stan ich cały
Opisze, właśnie w czasie godna rzecz wiedzenia,
Z kim to ma nasz dzisiejszy podjazd do czynienia.

J U D Y T A.

Zaraz ją przyprowadzę. (*Wychodzi*).

S C E N A IV.

W Ł A D Y S Ł A W , W S Z E B O R.

W Ł A D Y S Ł A W.

Przymioty Zbysławy,
Skromność, słodycz, i w niczém nie naganne sprawy.
Wszystko to za nią mówi, wszystko to ją chwali.
Jeśli Bóg Bolesława dzisiaj mi ocali,
Postaram się nayprędzėj tę parę połączyć;
Ona może nie sprzeczy: Jėj oyciec, chce kończyć.

W S Z E B O R.

Bliskie ich spokrewnienie w Rzymie trudność sprawi.

W Ł A D Y S Ł A W.

Ciężki z złotem posłaniec nie długo zabawi.

W S Z E B O R.

Zbysława na te śluby okaże się chętną.
Wiém to, że dla xiążęcia nie jest obojętną.
Którażby z kobiet w świecie nie chciała bydź żoną,
Tak pięknego młodziana, a jeszcze z koroną?

W Ł A D Y S Ł A W.

Fraszka twarz i korona! Rzadko niebo dało
Serce, jakie się memu synowi dostało!..
Kiedy syn oycy swego w starości szanuje,
Że będzie dobrym mężem, oycem, obiecuje.

Cóż było wysług? jakie miał o mnie staranie?
 Że aż wzbudzał nad sobą me politowanie!
 Raz, odeysć mię chorego w głęboką noc zwlecze,
 Gdym mu kazał odpocząć, on mi na to rzecze:
 „Nie mam już matki, którę miałem służyć drugiej,
 „Oycu tylko, i tamtem powinien usługi.“
 Albo kiedy Zbigniewa w Kruszwicy dostano,
 On myśląc, że surowiey z nim postąpić miano,
 Prosząc za jego życiem do nóg mi się ścielił.
 „Ja (rzekł) codziennie mym chlebem będę się z nim
 dzielił.“

W dziewiątym roku, takiey był serca czułości;
 Jeszcze dla brata, który robił mu przykrości.

W S Z E B O R.

I na serce Zbysławy, nikt tu nie narzeka;
 Nie naraziła sobie żadnego człowieka.
 Owszem, kiedy potrzebę czyich usług mięwa,
 Ten, kto inszych uprzedził szczęściem to nazywa.

W Ł A D Y S Ł A W.

Dlatego chciałbym widzieć na te oczy moje,
 Póki nie zgasną, ślubem złączonych oboje.

S C E N A V.

WŁADYSŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA,
WSZEBOR.

W Ł A D Y S Ł A W.

Miłe zawsze twe przyyście! Wybacz mi Zbysławo,
Że cię trudnim, dzisieyszą zajęci wyprawą.
Ty masz znać te xiążęta, będąc ich plemienia,
Z którymi nasz Bolesław dziś ma do czynienia.

Z B I S Ł A W A.

Przed kilka laty, niżlim z domu wyjechała,
Częstom ich u mojego oycy widywała.
Wołodar, że naydałéy od Kijowa władnie,
Nie tak mu gościć u nas przypadają snadnie.

W S Z E B O R.

Włodzimierz Czerniechowski ma bydz przed inszemi,
Bogactwy i dziełami sławny rycerskimi?

Z B I S Ł A W A.

Może w męztwie w sprawności, będzie niezrównany,
Lecz Wołodar mocniejszy swemi Przemyślany.
Mówią, że ten lud, który wodę z Sanu pije,
Szczery bywa w przyjaźni, i szczerze się bije.

W Ł A D Y S Ł A W.

Kiedy dawał turnieje Świętopełk w Kijowie,
Mieli bydz przytomnemi wszyscy ci kniaziowie.

Z B I S Ł A W A.

Właśnie też wtenczas czterech tych poznałam razem,
 Co dostatkiem z nich który, co może żelazem,
 Włodzimierz przed wszystkiemi złotem polyskiwał,
 Poczet go dzielnych jego rycerzów okrywał,
 Którzy z nim w różnych czasach pojedynki zwiedli,
 I przy nim jego złotem ujęci, osiedli.
 Po wierzchu jasnéj zbroi w bogatym serdaku,
 Sam hoży, na Arabskim krzepił się rumaku.

W Ł A D Y S Ł A W.

Tak częste pojedynki jak mu się zdarzały?

Z B I S Ł A W A.

Nie dał do nich przyczyny, ale szukał chwały.
 Kazał wszędzie szermierza sprawnego szpiegować,
 Ukryty z nim lub jawnie musiał się kosztować.
 Doświadczywszy dzielności, wziął do swego boku;
 W takim to poczcie stanął na turniejów toku.
 Po nim z Pereasławia kłaść można Olega,
 On o lepszą z pierwszym się rycerzem ubiega,
 Poczesny na obliczu, niewygód cierpliwy;
 I chociaż mu majątku uskapił los krzywy,
 Ale swéj doświadczonéj szablicy do sprawy
 Nie dobył bez przyczyny, nie schował bez sławy.

W S Z E B O R.

Dawid brat jego, mówią, że nie jest tak dzielnym.

Z B I S Ł A W A.

Nigdy nie był rzemiosła rycerskiego pilnym;

Tylko przy boku brata stojąc bitwę całą;
Kracmoną od Olega nadstawia się chwałą.
Też Wszesław Połocki był na tenczas z niemi,
Zumny swém uprzedzeniem, nie dzielił jakiemi.
Ale syn Jaropełka, Jarosław potężny,
Duży wzrostem, i w miarę ciała swego mężny,
Nikomui nie ustąpi co ich ma Ruś płodna.
Nie z wierzchu chce być dzielny, ale czerpie do dna.
Gdyby była fortuna lepiej mu sprzyjała!
Nic nie ma; broń mu tylko spadkiem pozostała.

W Ł A D Y S Ł A W.

Dbać o siebie po śmierci oycy była pora.

Z B I S Ł A W A.

Xięstwo zaraz odebrał Dawid syn Igora;
Jemu tylko od stryjów nadzieję czyniono;
A nareszcie w Lubeczu o nim zapomniono. (r)
Wtenczas na tych gonitwach, nie konno, nie w zbroi,
Ale pieszo, na kijach tylko wsparty stoi.
Jeden przy nim służebny składał mu dwór cały,
Imię z cnotą w ubóstwie, litość poruszały.
Między wielą rycerzów przybyłych dla sławy,
Był też jeden Bojarzyn, Konstanty Łukawy.
Ten siłą niezrównaną, zręcznością i męstwem,
Na gonitwy za pewnem szedł zawsze zwycięstwem:
Włodzimierz mu sam w sprawie ustępował kroku,
I wszystkiemi sposoby chciał go mieć przy boku.

Ale on nieużyty, zawsze mawiał swoje :
„Nacóż miałbym tym służyć, których się nie boję.“
Oyciec mój rozpoczynał. z Olegiem się bili,
Potém insi z inszemi o lepszą czynili. (*Wszębor
wychodzi wywołany*).

Lecz zawsze Łukawego umyślnie mijali;
Bo jeszcze trzeba wyznać, wszyscy go się bali,
Że nie umiał ochraniać ni drugich, ni siebie;
Tak ciął, godził kopiją, jak w samém potrzebie.
Mój oyciec z Włodzimierzem chcąc kończyć go-
nitwy,

Już mieli składać drzewca ku sobie do bitwy,
Gdy Łukawy zawoła : „Czyż już na Ruś całą
„Niemasz męża, żeby mi w oczy zayrzał śmiało?“
Wtém Jarosław wśród pola rycerskiego stanie :
„Oto (rzecze) ja czekam na twe ukaranie.“
Ten mu coś, (że z bezbronnym nie bija się) mruczy;
Ow na to „Że są ludzie, ten cię kiy nauczy.“
Potém Czerniechowskiego szukając oczyma,
Krzyknie nań : „Synowiec twój zbroi swojey nie
ma.“

Włodzimierz wnet własny mu sam szyszak przy-
wdzieje,

Da kirys, miecz, buławę, i co chcą turnieje,
Zupełnie do potrzeby opatrzy go bronią.
Kiedy im miejsce insi rycerze odsłonią,
Z niewidzianą zręcznością oba natrą na się.
Lecz pojedynek zdał się kończyć w krótkim czasie,

Gdy ciężko uderzony Łukawy w przyłbicę,
 Zgubił pamięć, i z ręki wypuścił szablę.
 „Odpocznij, rzekł Jarosław sam niezmordowany;
 „Póki stoisz na nogach, małoś ukarany.“
 Wkrótce znowu zaczęli; Bojarzyn zdradliwy,
 Sztychem w rękę zadał raz xięciu nieszkodliwy.
 Ow na to: „U pocziwych tak nie uchodziło;“
 Razem, da mu buławą w piersi całą siłą,
 I obali. A większy gdy się w nim gniew wznici,
 Myślącego się dźwignąć, za nogę uchwyci,
 Wlecze męża zbroynego mocą niezrównaną,
 Chcąc topić w bliskim Dnieprze. Lecz go ratowano.

W Ł A D Y S Ł A W.

Cóż ty na to Wszeborze?

T E O F I L A.

Niemasz go tu panie!

Wywołał go jakowyś żołnierz.

W Ł A D Y S Ł A W (*tywiey*):

Niemieszkanie

Niech tu do mnie powróci. (*Wychodzą za Wsze-*
borem). Już coś się stać miało,
 Że się kryją przedemną! . . .

Z B I S Ł A W A.

I cóżby się stało?

Wszebor tu rządzi woyskiem, zdarzeń tyle bywa,
 Że widzieć go, mówić z nim, ktoś potrzebę miéwa.

W Ł A D Y S Ł A W.

Właśnie teraz o synu wiadomość przyyść miała!..
 Tają się; już się pewnie zbrodnia dokonała.

Z B I S Ł A W A.

Jakaż zbrodnia?

W Ł A D Y S Ł A W.

Ty jedna pociecho Zbislawo!
 Nie odchodź mię w tym razie.

S C E N A VI.

Ciż sami i W S Z E B O R.

W Ł A D Y S Ł A W.

Tę nowinę krwawą
 Już powiedz, na co się kryć po kątach przedemną?

W S Z E B O R.

Królu! jam chodził ślakiem; nigdy ścieżką ciemną.
 I nie mam tu co taić. Skarbimir przysła
 Chcąc posiłku. Ruś pierzchła, ale cała siła
 Połowców została się.

W Ł A D Y S Ł A W.

A mójże syn?

W S Z E B O R.

Żyje.

W Ł A D Y S Ł A W.

Jakże? tylko że żyje?

W S Z E B O R.

I Połowców bije.

W Ł A D Y S Ł A W.

Jestże przy nim Skarbimir?

W S Z E B O R.

Nie wiem, czy się złączył.
Bo mi wszystkiego jeszcze Rotmistrz nie dokończył.

W Ł A D Y S Ł A W.

Rotmistrz wnet niech tu stanie. Ty prędko Wszeborze.
Co tylko przebrańszego żołnierza być może,
Każ, niech biegną pod wodzą starego Żegoty.

(Wychodzi Wszebor).

Z B I S Ł A W A.

Widzisz panie! że próżne były twe kłopoty.

S C E N A VII.

WŁADYSŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA,
ROTMISTRZ.

W Ł A D Y S Ł A W.

Słuchay, twój ci król każe, zday mi sprawę wiernie,
Stanu woyska i syna. Bo niemiłosiernie
Fałsz będzie ukarany. Syn mój czy zabity?
Czy żyje?

R O T M I S T R Z.

Co wiem panie, będziesz wiedział i ty.
Bolesławam zostawił, ścierał się z Połowcy:
Bo Ruś rozsypała się różnemi manowcy,
Przed gromem naszych! Ale, takeśmy zaczęli:
Jaxa z Sieciechem oba skrzydła na się wzięli;
Ten z Olegiem, a ów miał sprawę z Wołodarem,
Sławnym sobą, i hufców Przemyskich ciężarem.
Bolesław z Skąrbimirem w śrzodek nacierali,
Gdzie potężny Jarosław z Włodzimierzem stali.
Może do trzech tysięcy nas przy xięciu było;
Z okrzykiem uderzym się o Ruś całą siłą.
Pierwsze straze pierzchnęły, a śpiąca drużyna
Budzi się, konia, siebie, broni zapomina.
Część ich potratowana, część żelazem legła,
Większa pewnie połowa w strony się rozbiegła.
Kiedy tak coraz głębiej w oboz się wdzieramy,
I nikogo, by na nas broń podniósł, nie mamy,

Jarosław na dorywczu bliższe rotę zwoła,
I temi nas czas jakiś utrzymać podoła.
Jednak, gdy próżno swoich łaje i narzeka,
Choć nie bez szkody naszych, z innemi ucieka:
Włodzimierz, co się na nas lepiej przygotował;
A wśród obozu jeńców i łupów pilnował,
Waleczniejszemi swemi Bojary okryty,
Gdyby nie z Bolesławem, zdał się niepożyty.
Ale xiażę najpierwszy bok im rozdarł cały.
I gdy się tak rozprute rotę pomięszały,
A noc z naszym okrzykiem strachy pomnażała,
Pierzchną w strony; połowa może pozostała.
Z temi dopiero rzadna zacznie się robota.
Naszych i Rusi dzieła zakryła ciemnota;
Bo się pierwszém zerwaniem najsławniej stawili,
I czas jakiś niepewne zwycięstwo wazyli.
Królu! już twym żołnierzom siła ustawała,
I szabla tępiey nam się ruskiej szyi brała.
Gdy razem czy ustąpią, czyli ich nie stanie,
Bo bez przeszkód pomknąć się może na stajanie.
Nieszczęsnych jeńców naszych były tam maydany! :
Gdzie do swego powroza każdy przywiązany,
Długimi rzędy pola niezmierne zajęli!
Kiedy bratnie okrzyki blisko posłyszeli,
I ziemiańskie imiona, i język mateczny,
Z którym się już żegnali poraz ostateczny,
Wołać zewsząd na nasze zaczęli najtkliwiej :
„My bracia wasi w więzach! . My tu nieszczęśliwi.“

Xiąże pierwszy zsiadł z konia, i kim był odkryje:
„Ja (rzecze) wasz Bolesław, i o was się biję.“
Wtém przetnie powróż, i sam jeńce rozwiązuje,
Toż każdy z nas o lepszą robić usiłuje;
Żeśmy tą piękną pracą po niejakię chwili,
Kilką tysięcy męża nasz podjazd wzmocnili.
Brakło broni, albo jéy przy trupach szukali,
Albo u zalęknionéy Rusi wydzierali.
A tak opatrzywszy się poznoszą straż swoją,
My w tę stronę uderzym, gdzie Połowce stoją.
Rządnie na swoim mieyscu poganie czekali;
I choć na nich cała się nasza siła zwali,
Twardo staną, i tylko mąż odpycha męża,
Z szczękiem uderzonego orężem oręza.
Bolesław niezrażony piérwszém swém odparciem,
Przedrze ich rząd ściśniony za ciężkiem natarciem,
I gdy wkoło pohańców bliższe głowy pobił,
Wśród nich z kilką naszymi mieysce sobie zrobił.
Ten raz i Skarbimira, i inszych ośmieli;
Że szykn ~~poczętego~~ urywać zaczęli;
Nieprzeto się Połowce tym ciosem strwożyli,
Ale jakby na nowo z naszymi się bili.
Dzień nadchodził, i z pierwszą łoną porankową,
Można było coś poznać postać obozową:
Poganin na swoim mieyscu utrzymywał,
Choć mu gdzie niegdzie boki żołnierz nasz urywał,
Skarbimir widząc, że nas na Połowce mało,
Bo wielu się ich w pogoń za Rusią zagnało;

Przysłał mię po posilki.

W Ł A D Y S Ł A W.

A mójże syn gdzie był?

R O T M I S T R Z.

Xiążę, kiedy pogańskie pierwsze szyki przebył,
Coraz w głąb postępował; i z dnia światłem młodem
Doyrzrzym go, on z ogromnym ściera się Mikrodem:
Skarbimir wnet w tę stronę całą się brał siłą,
Bo xięcia prawie zewsząd pogaństwo okryło.
Ale królu, nie trwoż się Bolesława losem,
On tam poszedł za sławą, nie za jakim ciosem;
On i sam nie dałby się; cóż gdy przy nim tacy
Trzék stoją, naybitnieysi w narodzie wojacy!...

W Ł A D Y S Ł A W.

Któż jest przy nim?

R O T M I S T R Z.

Jest Zbilud, Zema, z Odolanem;

W Ł A D Y S Ł A W.

O niebo! czemuż to się dzieje przed mym zgonem?
Jakże wiesz, że to ci trzék przy mym synu byli?

R O T M I S T R Z.

Chełmem się, z białém piórem, od inszych różnili,
Którzy dla jego straży przy xięciu stanęli.

W Ł A D Y S Ł A W.

Zkądże się oni tylko przy mym synu wzięli?

R O T M I S T R Z.

Zaraz z miasta przy xięciu obok wyjechali,
I już go potem na krok nie odstępowali.

W Ł A D Y S Ł A W.

Zdybałżeś gdzie Przecławą?

R O T M I S T R Z.

Z obozu w pół drogi.

W Ł A D Y S Ł A W.

Zbiśławo! Zbilud, Zema i Odolon srogi
Sprzysięgli się na życie mojego dziecięcia!
Zły losie dokonałeś twego przedsięwzięcia!
(Zbiśława ręce załamuje, i za królem wychodzi).

A K T V.

Dekoracya też sama.

S C E N A I.

Z B I S Ł A W A , T E O F I Ł A .

Z B I S Ł A W A .

On już zginął dotychczas, a ja się zostałam!..
Teofilo! kiedy mi matka umierała,
Płakałam, jak sierota utyskuje tkliwa!..
Więcey widzę dolega miłość nieszczęśliwa!

(Łzy ociera).

T E O F I Ł A .

Może jeszcze jakimś szczęśliwem zdarzeniem!

Z B I S Ł A W A .

Stało się; On to mojem poległ przewinieniem!
Nieba się uraziły, żem ich zapomniała;
Zdało mi się, żem wszystko w Bolesławie miała!
Dawniey, częścicy błagałam dawcę ludzkiey doli;
On czynił roztargnienia, on potem powoli
Wydarł Bogu myśli me do siebie zjęcone!..
Ależ mści się surowo niebo mniey ważone!

T E O F I L A.

Bóstwu, zawsze darować człowiekowi, miło.
A tém bardziey nie karze, gdzie złości nie było.

Z B I S Ł A W A.

Kogożby był nie ujął sercem swém cnotliwém?
Słodką swoją wymową? okiem urokliwém?
Przy nim mi do oyczystéy nie tęskno zagrody,
Ustałam Dnieprowéy dla Wiślanéy wody;
I zabaw wśród rodziny, i obrządków wiary!..
O! wartże był Bolesław tak wielkiedy ofiary!
Domie nieszczęsny!.. którym nad mój ulubiła!
W tobiem ja się najpiérwéy wzdychać nauczyła;
Czyli mię miłość trapi, czy trwożą nadzieje!...
Za tyle mych pocziwych ofiar, tu łzy leję!..
Szczęśliwszaś ty dziewico! która w wiejskim stanie;
Niedaleko szukane wybrawszy kochanie,
Ani naród z narodem nad tém radzić siędzie,
Ani ci marna sława wydzierać go będzie!..
Byle wam chleb z warzywem waszém wystarczały,
Ma wieśniak istotnieysze szczęście w chatce małéy!..
Zbisława! tylu xiążąt wnuka, w tenczas płacze, (s)
Gdy smutek niskie strzechy omija wieśniacze!..
Próżność małko starowna w Grecyi bogatéy (t)
Na mą wyprawę drogie przeplacała szaty,
Co nam do domu łodzie przyniosły pływaczki;
Dzieło cierpliwey pracy Carogrodzkiey szwaczki!

Którą gdy może miłość szczęśliwiej darzyła,
Myśli swoje po cieńkiej jedwabnicy szyła!
Jak się zgodzą z tym zbytkiem wesołym me żale?..
Z raną w sercu, przybrana nędza okazała!..
Już on o mnie nie myśli!.. Już nie mam nadzieje!
W tamtych światach, gdzie poszedł, mieszkaniec
hardziej,
I stan swój poniżyłby, gdyby wstąpił w progi
Ziemianki ubogiej!..

TEOFILA.

Pani! jeszcze się może z nim będziemy cieszyły.

ZBIŚLAWA.

Zbilud z Mikrodem śmierć mi jego zapewniły! :)

Ale jak powiadają, gdyby tak bydź miało;

Że duch ludzki krzepnące porzuciwszy ciało,

Na miejscach, które w życiu były mu miłymi,

Jeszcze przez czas jakowys bawi z żyjącymi.

Teofilo! czyste^g może jego ducha

Mamy tu blisko siebie ! . On skarg moich słucha ;

Chciałby mi jak uśmierzyć serca - anokoje,

Przelicza te łzy rzęsne, i westchnienia...ie! : :

(Łzy ociera)

S C E N A II.

JUDYTA, ZBISŁAWA, PRAXEDA, TEOFILA.

J U D Y T A.

Pewnie nad Bolesławem żal trapi cię xiężno!
 Ja go czuję! I chociaż chciałabym być mężną,
 Wstrzymując ciężki smutek, przecięż on się ciśnie,
 Wszystkich łzy gdzie się zwrócę, nastręcza umyślnie.

Z B I S Ł A W A.

Pani! kto tylko znał go, a znał go kraj cały!
 Tyle milionów oczy będą go płakały!
 I kiedy ta powszechną wzbudza żałość strata,
 Ja też łzy moje do łez przymieszałam świata.

J U D Y T A.

Długo roki swojemi mijać będą zwroty,
 Niż się urodzi młodzian z takiemi przymioty!
 Rozum rzeczy szacuje, serce się przywiąże,
 Rozum i serca ludzkie miał za sobą xiaż,
 Ta śmierć okropna, żalu przód-~ więcęcy miała
 Tobie, któraś podobno, jeszcze go kochała!

Z B I S Ł A W A.

Nie wątp pani! A nim się z tém kiedy tała!
 Bo kochać Bolesława, chluba dla mnie była!
 Z wolą oycy, chciał nas król ślubem złączyć w czasie,
 Wart był tego Bolesław, miłość znalazła się.

J U D Y T A.

Pięknie to bydz królową, do tego potężną;
Teraz cię za Zbigniewa będą swatać xiężno.

Z B I S Ł A W A.

Daruy pani! Jeszcze ja nie jestem na zbyciu!
Igdy mię dziś naycięższy los przyciska w życiu,
Myślałam, że nademną litować się miano,
Nie żeby méy nieszczęsnéy doli urągano!
Nie płocha jaka miłość wzajem nas wiązała,
Żebym o niey tak prędko zapominać miała.
Niech Zbigniew tym obszernym krajom daje prawa;
Ja nie chciałam korony, ale Bolesława.

(Kłania się i odchodzi).

S C E N A III.

J U D Y T A, P R A X E D A.

J U D Y T A.

Wywdzie na to, niech ona naywięcéy się gniewa;
Król będzie jéy nastroczać swojego Zbigniewa.
Ale ani tym związkiem narodu przynęci,
Nie cierpi Polak nawet Zbigniewa pamięci,
Naypiérwsze państwa domy mieć będę po sobie,
Resztę do mych układów złotem przysposobię.
Że po śmierci królewskiej wkrótce spodziewanéy,
Córce méy starszéy, Polski tron będzie oddany. (u)

Alfons mąż jéy nie zechce Kastylii rzucać,
Żeby się miał z twardemi Polaki ukiócać.
Ani w téy odległości przejeżdżać mogliby,
Mnie rządy państwa tego zlecą bez ochyby.
Praxedo! szczęście moje bliskie dopełnienia;
Czy teraz Bolesława żałujesz zginienia?

P R A X E D A.

Szczęście jeszcze nie przyszło, a smutek obecny!

J U D Y T A.

W tobie od wczora jakiś przemaga duch sprzeczny;
Że nie wchodzisz, co i mnie, co i ciebie czeka.

P R A X E D A.

Król mdleje, w każdym kącie ktoś płacze, narzeka,
Jakże się w pośrodku ich jedna mam weselić?
Coś to przystoyniéy z ludźmi losy ludzkie dzielić.

J U D Y T A.

Ziewasz i płaczesz, że ktoś ziewa, płacze, wzdycha,
Nic (mówią) nad łzę ludzką prędkéy nie osycha.
Ale szczęśliwość, któręy zasiewam nasienie,
Ciebie i twe dalekie dźwignie pokolenie.
Czyż ci to droższym będzie Bolesław jedyny,
Nad tyle twojéy wsparcia potrzebnéy rodziny?
Stało się, ma bydź dobrze, gdym już tego chciała
(przechodzi się).
Zbilud tak wszystko zrobił, jakem w myśli miała,

Nie mogli go zabijać wśród swych kopiyników!...
To lepiej, że go na bok uwiedli od szyków...
Zapewne Zbilud sławą zagrawszy młodzika,
Z nim się umyślnie w motłoch Połowców umyka,
Aby go tak Polaków uchyliwszy oku,
Śmielę i pewnię mogli dokonać na boku.
Tak z dniem szarym doyżrał ich Rotmistrz tu przy-
slany,
Tak snadnie w małej chwili zabój wykonany.
Bo gdy im odłączyć się na stronę udało,
Zabicie pewne czasu najmniej kosztowało.
Jeszcze tam jak umyślnie Mikrod się nawinał,
Ci go skolał, świat powie: „od Połowca zginął.“
A choćby na przysięgłych ten zabój zwalono,
Mnieysza, Przecław się sprawi, jak mu polecono.

S C E N A IV.

WŁADYSŁAW, JUDYTA, PRAXEDA.

W S Z E B O R (prowadzący króla):

W E A D Y S E A W.

Jużbym był skończył dotąd moje utrapienia!
Mdlejącego, zostawić było bez trzeźwienia.
Okrutna wasza łaska i troskliwość była,
Która mi pamięć moich nieszczęść przywróciła.
Biczto już nayostrzejszy gniewu twego Boże;
Kiedy kto chciałby umrzeć, a umrzeć nie może! . .

J U D Y T A.

Jednego dla narodu sieroctwa czyż mało,
 Żeby się jeszcze zgonem twoim powiększało?
 Dla kraju, dla mnie, dzieci, niech ci wieku stawa.
 A któż wie? może nawet i dla Bolesława.

W Ł A D Y S Ł A W.

Jak owcę na rzeź, tak go sobie wyłączyli!..
 Ich trzech i Mikrod, łatwo jednego pożyli!..
 Któregom ja tak wielą trudami wychował,
 Bóg zagniewany w jednéj chwili zamordował.
 Gdyby czterech na niego nie nasłał był razem,
 Nie dałby się; mógł siłą i umiał żelazem!..
 Ja bluźnię tego Boga zuchwałym językiem,
 Który olbrzyna jednym z nóg zwalił kamykiem!..
 Odbiera mi przytomność żal mój przeraźliwy,
 Miałbym bydz pokorniejszym, kiedym nieszcześliwy.

J U D Y T A.

Królu! ty zdrowiem twojém bezprawnie szafujesz;
 Tym smutkiem, na narodu własność następujesz.

W Ł A D Y S Ł A W.

Judyto! wszakżeś ty mi ten skutek zdarzyła!
 Tyś mi twém naleganiem syna wyprawiała,
 Który gdyby był twojém dzieckiem, nie przyszłoby
 Ani do téj wyprawy, ani do żałoby.

Ja, wkrótce życie skończę; a po moim zgonie,
 Nie długo ostoisz się i ty na tym tronie.
 Polska pamiętna, co pod Ryxą ucierpiała; (w)
 Odeśle cię do Niemiec, zkądś przyjechała.

J U D Y T A (*żywiej*).

W ostatnim kącie ziemi, gdzie stanie Judyta,
 Wszędzie rody cesarskie świat schylony wita,
 Ni ta wasza blasku mi przydała korona,
 Niedawno od mojego brata wyproszona. (x)
 (*Wychodzi*).

W Ł A D Y S Ł A W.

Gdzie siły nie wystarczą, tam gniew nie w swéj
 porze.

Proś tu do mnie strapionéy Zbysławy Wszeborze;
 Ona mą i swą stratę czuje naygoręcéy,
 Ten mię, kto zemną płacze, pocieszy naywięcéy.

S C E N A V.

W Ł A D Y S Ł A W *sam.*

Zwołam naród; niech sobie obierają pana!
 Piastów koléy dzisieyszą przygodą zerwana.
 Na dom nasz jeden tylko Zbigniew pozostaje! . . .
 Lecz plama urodzenia, i złe obyczaje
 Wstrzymają go, i Polak te drzwi mu zapowie,
 Któremi od trzech wieków szli na tron Piastowie.

Jednak żem oyciec, prosić za nim nie przestanę;
 Ale jeśli się uprą na pana odmianę,
 Czeskich i Ruskich xiążąt mogą mieć tak siła,
 Z którymi nas od dawna krew jedna złączyła.
 Niech wezmą kogo zechcą z ludzi całej ziemi,
 Byleby tém wybraniem byli szczęśliwemi!
 Co do mnie; ten znak władzy, tę koronę złotą,
 Temu nowemu panu przyniosę z ochotą,
 Lpowiem mu: „Niemalać to rzecz jest niemala,
 „W tym ludu milionów i całość i chwała,
 „Niechby jak nasze Piasty kray ten wślawiał, cenił,
 „Co się z dzikiego gruntu dziś tak zazielenił!“ (y)
 A ja, w ciemnym gdzie kącie dalekim od tronu,
 Przez łzy w oczach wyzierać będę mego zgonu.

S C E N A VI.

WŁADYSŁAW, ZBISŁAWA, TEOFILA,
 WSZEBOR.

W Ł A D Y S Ł A W.

Zbisławo! wszakże wczora trzeba było, wczora...

Z B I S Ł A W A.

Panie, cóż miałaś robić?

W Ł A D Y S Ł A W.

Umrzeć była pora!...

Przeżyłem szczęście moje! . . i niebo jak chciało,
Tak mu się na mą szkodę ostatnią, udało,
Tyś także zapłakana! . . .

Z B I S Ł A W A.

Twego rządu chwala,
Żem smutnego w twych krajach dotąd nie widziała;
Ale klęska dzisiejsza i mnie się dostawa;
Dosyćby łez przyczyny: znałam Bolesława.

W Ł A D Y S Ł A W.

On cię kochał; on mi to mawiał z jakąś chlubą
Te łzy, które nad jego dziś wylewasz zgubą,
Czynią mu sprawiedliwość! . . On dziś więcéy
niechce! . .

Ani go nasza miłość, ani chwala łechce!
Tam gdzie poszedł, wesołość świata nie przechodzi,
Ale żalom posępnym tylko się wniść godzi! . . .
Synu! ta mnie przynajmniej nadzieja nie zdradzi,
Smutek mój mnie za tobą wkrótce poprowadzi.
Ty Zbysławo zostaniesz, ażebyś płakała,
Mnie, cóm cię wybrał; syna, któregoś wybrała.
(Płacze).

W S Z E B O R.

Królu! wspomniy, że Polak zostaje sierota!
Nasza, umrzeć dla kraju; a żyć, twoja cnota.

W E A D Y S E A W.

Przełóg! nie nazywajcież mię królem, ni panem!..
Byłem kiedyś, i nikt się z mym nie zrównał stanem;
Póki mi tego skarbu naydroższego stawa,
Pókim oyciec dziedziczył syna Bolesława.
Mocarzów świata, zazdrość nad mém szczęściem
 bodła,
Mnie chluba z tego bytu, aż do pychy wiodła!..
Dziś, zowcie mię nędzarzem, starcem niedołężnym!..
Synem, byłem bogatym; synem, byłem mężnym.

W S Z E B O R.

Wiele jeńców odbitych już w miasto wjechało,
Niebo cię bez pociechy zostawić nie chciało.

W E A D Y S E A W.

Szczęśliwe matki, synów swoich odzyskaniem!
Dom wasz cały przeciw nim wyddzie z powitaniem,
Każda łzami radości omyje i zliczy
Rany, które rozdrapał powróż niewolniczy!
Łoże sama uściele, zagrozi hałasu,
By im nie psuto dawno żądanego wczasu!
A mnie, którym krajowi to wesele zdarzył,
Gdy się za coś zawzięty los ze mną poswarzył,
Wziął syna, dał do zgonu płacz i narzekanie!

SCENA VII.

Ciż sami BOLESŁAW, MIKROD, *potém*
PRAXEDA.

WŁADYSŁAW *(biegnąc do Bolesława)*.

O Bolesławie! *(zatrzymuje się)* Któż ty?

BOLESŁAW *(zdziwiony)*.

Jestem syn twój panie!

WŁADYSŁAW.

A ten kto?

MIKROD.

Jestem Mikrod, tu niespodziewany!

WŁADYSŁAW.

Zbisławo! cóż to znaczy?

ZBISŁAWA.

Bóg nam prześlagnany.

WŁADYSŁAW.

Któryż święty bronił cię?

MIKROD.

Bolesława ramię

Broni siebie, oyczyznę, i obóz nasz łamie.

W Ł A D Y S Ł A W.

Cóż od nieprzyjaciela znaczy ta pochwała?

B O L E S Ł A W.

Był czas, kiedy nieprzyjaźń między nami trwała;
Tym zmienianym szyszakiem oręźaśmy bracią.

W Ł A D Y S Ł A W.

Prawdaż to? czy sen, jego ludzi mię postacią?

W S Z E B O R (*Wszebor całuje w rękę Bolesława, a Bolesław go w twarz*).

Tykam téy dzielnéy ręki, i że prawda, czuję.

W Ł A D Y S Ł A W (*ściska Bolesława, ten oycę całuje w rękę*).

Żal mię nie mógł obalić, radość mię zmocuje.

B O L E S Ł A W (*do Zbistawy całując rękę jęj*).

Szczęściu twéy barwy, pani, winienem zwycięstwo.

Z B I S Ł A W A.

Tak jest, ale do tego przydawszy twe męztwo.

W Ł A D Y S Ł A W.

Pomoże nam cieszyć się, niech przyydzie królowa.

(*Wychodzą po Judytę*).

Pewnie, ludu naszego ubyło zpołowa?

B O L E S Ł A W.

Co polegli od Rusi, mała częśćka była,
 Ale Połowców szabla naszych przepleniła;
 Przecież mówić nie można, żebyśmy swą klęską,
 Bitwy dzisiejszney chwałę kupili zwyciężką.
 Skarbimir, który wkrótce za nami się stawi,
 Z doniesień od rotmistrzów naypewnię się sprawi.

W Ł A D Y S Ł A W.

Toż i woysko powraca?

B O L E S Ł A W.

Przy Jaxie zostało
 Gwoli Połowców, których tym się poczeić zdało.

M I K R O D.

Mów raczey, że pod waszych strażąśmy zostali.

B O L E S Ł A W.

Przyjaciół nikt nie strzeże.

P R A K E D A (wchodzi).

Królowa się żali

Na słabość, co ją w swoim gmachu zatrzymuje,
 Że nie przyszła tę dzielić radość, którą czuje.

(Uchyła się ku Teofilu).

W Ł A D Y S Ł A W.

Cóż się stało z Zbiludem, Zema, Odolonem?

Czyli tam winę swoją opłacili zgonem?

Czyli je Przecław wiedzie na gardłowe kary?

B O L E S Ł A W *(z podziwieniem)*.

A zacóżby to panie?

W Ł A D Y S Ł A W.

Winni są bez miary!

Zdrayce! świętokradzką się przysięgą złączyli,

By cię tam w zamieszaniu potyczki zabili.

B O L E S Ł A W.

Potwarz królu! Mikrodzie! cito są trzhey, którzy

Wśród nacyęższey koło mnie nieodstępni burzy,

Tyle na mnie zmierzonych pocisków odbili;

I krwią twoich Połowców pola szcerwienili!

Nie potrzeba im było zadawać mi rany,

Niechby mię odstępili, byłbym rozsiekany.

M I K R O D.

Gdybym miał trzech tak wiernych, i bitnych przy boku,

Nie mówionoby dzisiay: „Mikrod umknął kroku.“

B O L E S Ł A W.

Niebo mi ich umyślnie przychylne zesało,

Ażeby mię w naygorszych razach wspomagało.

Zema, Odolon, stale plecy mi pilnował,
Zbilud, czasem ich wspierał, czasem mię ratował.
Mikrodzie, ten twój moment! kiedy się ściéramy,
A szablęśmi utracił przy głowicy saméy,
I rzeczesz (gdym skoczeniem w bok, śmierć mą
omijał)

„Miey życie, jam bezbronnych nigdy nie zabijał.“
Ledwieś ostatecznego mógł domówić słowa,
Zwróciła cię gwałtowna szabla Zbiludowa.
Tyś doznał, czy przyjaciel, czy mój zdrayca to był,
On pierwszy z pod twéy twardéy zbroi krwi ci dobył.
Ja tymczasem buławą waszém płoszył męże,
Niż Połowcu jakiemuś wydarłem orężę,
I z blisko bijącym się Skarbimirem złączył.

W Ł A D Y S Ł A W.

Jakże wierny twój Zbilud z swemi dwoma skończył?

B O L E S Ł A W.

Pierwéy poległ Odolon i Zema zrabany.
Tysiąc Połowców na ich składało się rany.
Ale cięższe nad tysiąc Połowców twe ramie
Mikrodzie, z krzepkim jeszcze Zbiludem się łamie
Na pomoc mu z hetmanem z jednéy strony biegłem.
Gdy z drugiey z świeżym ludem Przecława postrzegłem
Na czele z Żelisławem. Lecz ty krwi niesyty,
By ci obłów nie uszedł na pół nie dobity;

Mężobóyczem żelazem ostatecznie cięty,
Jak dąb przy twoich nogach, padł Zbilud pożęty.
I jeszcze mieczem, który krwią ciepłą się kurzył,
Przeclawaś wzywał, że mu równie będziesz służył.
Lud świeży, prędko słabe uprzątnął zawady,
Mikrod jeden wśród naszych znalazł się gromady,
I gdy, jakby chciał zginąć, z miejsca nie umyka,
Krzyknę nań: „Bolesław cię z przyjaźnią potyka.“
On na to, pomyśliwszy nieco: „Miej tę sławę.“
Oddał mi broń; ja moję dałem mu buławę.
Okrzyk zwycięstwa runie od końca do końca;
Ja troskliwy, czy nie żył, który mój obrońca;
Znalazłem już umarłych Zemę z Odolonem.
Alem Zbiluda jeszcze zachwycił przed zgonem.
„Na méy przyjaźni (rzekłem) tyleżęsto zyskał?“
Żal nie dał mówić więcéy, a łzy mi wyciskał!
Sam krew mu tamowałem, sam zawijał rany,
W nadziei, że przy życiu mógł bydź zachowany.
On, we mnie wlepi oczy, niby się uśmiécha,
Łzy mu razem popłyną, i rzecze mi zcicha:
„Ja to z radości płaczę, że cię widzę cało!
„Iżę przecię zwycięstwo przy naszych zostało!...
„Niebóy się woyny!... Ale bóy się domu xiążę!
„Skarbimir tajemnicę całą ci rozwiąże!“...
Chciał coś więcéy, ale w tym mowę miał zamkniętą,
Tylko mą rękę ściskał ręką niedociętą.
I chociaż mu tak wiele ran pozadawano,
Wielką duszę wyzionął, Mikrodową raną.

Tuż za mną, te przyjaźni świętęj wiozą ciała,
By je uczciwie ręka moja pogrzebała,
Piękney śmierci sprawić im winieniem roczyny,
Barząc jak tylko zdołam, pozostałe syny.

S C E N A VIII.

Ciż, SKARBIMIR i ŻELISŁAW (*z zawiązaną ręką*).

S K A R B I M I R.

Królu! taka zwycięstwa dzisiejszego sprawa,
Które otrzymujemy męstwem Bolesława.
Przypomnieliśmy sobie z Rusią niepoprawną,
My z niemi dawną dzielność, oni trwogę dawną!
Z pierwszym naszych natarciem jedni pierzchną w
strony,
Drugich, wraz z nami siecze jeniec uwolniony;
Że po trupach przedrzem się, gdzie Połowce stali,
I śmierć zadać, lub przyjąć gotowi czekali.
Szabla i pierś o piersi razem uderzyły,
Z takim gwałtem zbiegły się dwie potężne siły!
Bolesławie! Tyś to nam przyspieszył zwycięstwo,
Że sobą całeś zajął Mikrodowe męstwo.
Nie mógł swoich posilać, mieć naszych na celu,
Musiał bydź w jednym mieyscu, a miał bydź na
wielu.
Przyjaźń bitwę skończyła: za danym jęj znakiem,
Ścisnął się krwawą ręką Połowiec z Polakiem.

Z naszych, którzy polegli na tysiąc wyniesie,
A z nieprzyjaciół może do szczętu zbierze się.
Rusi, drugieśmy tyle w niewolą zabrali,
Xiążęta się przez Wisłę wcześniej ratowali.
Plon cały odebrany, i odbitych jeńców,
Będzie do trzech tysięcy szlacheckich młodzieńców.
Prócz płci białej, prócz czerstwych wieśniaków od
role,

Którzy długie okryli bojowiska pole.
Oboz nieprzyjacielski do tego zajęty,
Ich konie, ich wojskowe kosztowniejsze sprzęty;
I skrzynia obozowa złotem ładowana.
Takie zyski dzisiejsza przyniosła wygrana!
Królu! ci co w potrzebie mężnie się stawili,
Na twe względy i piękną sławę zasłużyli,
Kupioną nie lada czém, ale krwawym znojem:
Żeliśław, Jaxa z synem, Sieciech z Borzywojem.
Po nich, przy twoich nogach ścielą się sieroty,
Tych trzech rzadkich przyjaciół, tych trzech mężów
cnoty:

Zbiluda, Odolona, Zemy!... Oni legli
Chętnie, niżliby pana swojego odbiegli!...
Xiąże! krew, którą widzę twa zbroja skropiona!
Krew to będzie Zbiluda, Zemy, Odolona:
Od tysiąca pocisków zasłaniając pana,
Z ich rąk, i wiernych piersi ochoczo przelana.
Królu! w skrytości będziesz tajemnicę wiedział,
Którą przed samą bitwą Zbilud mi powiedział.

„Możemy (rzekł) śmierci się dzisiaj nie wybiegać,
„Żeby poznał Bolesław kogo się wystrzegać.“
Wielkie dusze! szczęście im w całym blasku stawa,
Oni woleli podjąć śmierć dla Bolesława!

W Ł A D Y S Ł A W.

Sierotom ich naywięcý dając, mało damy!..
Jakże pięknie zgładzili młodości swéy plamy!
Polak, jak insi ludzie, może się źle stawić,
Ale w złym trwa nie długo, lubi się poprawić.
Skarbimirze! dzisieyszą posługę z twéy strony,
Nagrodzić nie wydołam, umrę zadłużony.
Bolesław, który po mnie na tym tronie siedzie,
Tobie i twoim dzieciom wypłacać się będzie.
Żeliszawie! i innych co Hetman wspomina,
Pewnie was nie przepomni przyjaźń mego syna.
Ale cóż to? ranionyś?..

Ż E L I S Ł A W.

Chlubna to jest rana,
Którą dla méy odebrał oyczyzny i pana.
Szlacheic rodząc się, ten dług przyymuje na siebie,
Swoją, lub nieprzyjaciół krew wylać w potrzebie.

M I K R O D.

I byłbyś może ze mnie krwi dzisiaj natoczył,
Gdyby mię zasłaniając xiążę nie przyskoczył.

Bolesławie! on krywdę ma: byłby się chlubił,
 Że mię zdołał pokonać, że Mikroda ubił.

B O L E S Ł A W.

Moja obrona ciebie zawsze będzie mnieyszą,
 Twój czyn ze mną ma cechę daleko pięknieyszą:
 Żeby widziano, na tém chwałęś swą zasadził,
 Żeś tylko niechciał, ale łatwobyś mię zgładził.

W Ł A D Y S Ł A W (*biorąc za rękę Mikroda*).

Mikrodzie! Przyjaźń wiąże ręka, którą daję,
 Niechęć między twym ludem i mym niech ustaje.
 Szabla twoja mą szablę niech wspiera z ochotą.
 Równie dzielić się będziem pogodą i słotą.
 Na stwierdzenie przyjaźni, którą dziś zwiążuję,
 Obóz wzięty na Rusi całyć ofiaruję.
 Tak Rusina rozeznasz od Polaka z twarzy,
 Przyjaciel cię odbiega, nieprzyjaciel darzy.

M I K R O D (*na gołą szablę lejąc wodę*).

Ktoby wam przyjaźń złamał, niech od szabli ginie,
 Niech mu się krew tak leje, jak ta woda płynie (z)
 Polacy! znam was w bitwie, i poznałem w zgodzie;
 Wezwiecie mię, nie zbędzie nigdy na Mikrodzie.
 Tylko bądźcie tak mężni, jak dziś z Bolesławem, (aa)
 A dobiwszy się chwały szabli waszój prawem,
 Staniecie tam gdzie się was moc sama zaboi,
 I świat wyzna: że Polak na swém miejscu stoi.

S C E N A ostatnia.

Ciż sami i Judyta wybladła na krześle przyniesiona.

W Ł A D Y S Ł A W.

Cóż to znowu? . . .

J U D Y T A.

Judyta, w życiu, w zgonie, stała! . .
Śmiercią zadać nie mogła, śmiercią się skarła.
Trucizną Mieczysława do grobu prowadzę,
Syn twój nożem nie zginął, trucizną się gładzę.

W Ł A D Y S Ł A W.

Lekarzów!

Z B I S Ł A W A.

Jakaż rozpacz! . .

B O L E S Ł A W.

Laury me zwiędniałe! . .

J U D Y T A.

Niebo mię nie wysłucha, dla mnie skamieniałe;
Ale idę do pieków, tam Jędze poruszę.
Niech brat własny powstaje na braterską duszę;
Niechay następcy wasi wyйдą na poddane,
I niech całują ręce hańbą ich zmazane.
A te łotry Azyyskie, co dziś z wami w zgodzie,
Niech zalęknionych Piastów płoszą po narodzie.

Oby kiedy krew która, krew moja Niemiecka,
Żelazne kładła jarzmo na Sarmackie dziecka; (bb)
By nad niemi nieczuli własni bracia stali,
Ani ich podźwignęli, ani żałowali. . .
Niech ta Ruś, co przed waszém pierzchała żelazem,
Polaka twardym kiedyś przyciska ukazem.
Niech wasze spodli imię, rządzi się w dziedziznie?

B O L E S Ł A W.

Jam niewinny! ale méy nie złorzecz oyczyźnie.

J U D Y T A.

Radabym za mą wzgardę za jednym zachodem,
Byś ze mną i z obrzydłym zapadł się narodem.
(Wszebor klęka koło Judyty).

W Ł A D Y S Ł A W.

Taki koniec namiętność miéwa, źle strzeżona!
Spokojność, potem życie wydziera! . .

W S Z E B O R.

Już kona!

K O N I E C T R A J E D Y I.

P R Z Y P I S K I.

(a) **W**ładysław Herman wstąpił na tron roku 1081 po Bolesławie Śmiałym. Nasz zaś Bolesław syn jego, urodził się dopiero w roku 1085 z Judyty księżniczki Czeskiej, pierwszój żony, która w tym połogu umarła.

(b) Prócz Zbigniewa syna z nieprawego łoża, żadnego już męzczyzny dom Piastów nie miał. Jeden tylko Bolesław całego domu był nadzieją.

(c) Roku 1101 zjechali się do Stakowa, i sprzymierzyli przeciwko Polakom książęta Ruscy: Włodzimierz Monomach Czerniechowski, syn Wsze-
włoda Kijowskiego; Wołodar Przemyśki, syn Ro-
ścisława; Jarosław, syn Jaropełka książęcia Włodzi-
mirskiego, zabitego pod Świnigrodem; Dawid i Oleg
bracia książęta Pereasławscy. Wszyscy wnukowie,
albo prawnukowie Włodzimirza wielkiego.

(d) Połowce, byli jednym z tych wędrownych
do Europy narodów Azyatyckich, które dawne wieki
Scytami, potem Hunnami, Pieczyngami, Uzami,
i t. d. a późniejsze, Turkami i Tatarami nazwały.
Okolo roku 1100, sławniejsi wodzowie hord Po-
łowców byli: Itlar, Tugerkan, Maniak, Kitan, Bo-
niak, Mikrod. A ten ostatni naywaleczniejszy, po-
bił pamiętną klęską Kolomana króla z całą potęgą
Węgrów pod Przemyślem.

(e) Bolesław Chrobry dobywszy Kijowa roku 1018 wieżdżając w bramę nazwaną złotą; uderzył w nią pałaszem; który od owego uderzenia wyszczerbiony szczerbcem potem nazwany, chowany jest dotychczas między skarbami królestwa w Krakowie. Znak od tego natenczas uderzenia pałaszem, na bramie Kijowskiej został. Który potem w roku 1077 Bolesław Śmiały dostawszy znowu Kijowa, uderzwszy szablą w toż samo mieysce, ponowił.

(f) Roku 1086 Jaropelk książę Łucki, odbiera nazad wydarty sobie Łuck przez Włodzimirza Monomacha, samém pokazaniem się tylko pod miastem woyska Polskiego.

(g) Imiona, Jaxy, Żelisława, i tam daléy, są z dziejów naszych wyjęte, żyjących w tym czasie naczelných obywatelów w narodzie. Żelisław, który tu u nas jest poufałym Bolesława, był w samém rzeczy pod tymże Bolesławem sławnym potem hetmanem. Tento sam jest, który w potrzebie z Morawcami straciwszy rękę, Morawca, który mu ją uciął, drugą zabił. Zbilud, Zema, Odolon, trzëy zabójcy (prócz inszych) Śgo Stanisława biskupa Krakowskiego, których z wygnania z Węgier Władysław Herman przywołał, majątności im pooddawał, i do honoru przywrócił.

(h) Poznać tu pychę Judyty, która sama będąc Niemką, z domu cesarzów linii Frankońskiej, nie wspomina innych babek Bolesława, ale aż Ryxę

prababę, synową Chrobrego, która była córką Ezona Hrabi Ryńskiego, urodzoną z Matyldy córki Ottona II. a siostry Ottona III. cesarzów z domu Saskiego.

(i) Włodzimierz wielki, monarcha Ruski, panujący za czasów naszego Mieczysława I. który wiarę przyjął, zagarnął aż do brzegów Śanu i Buga dzie-rzawy Słowian sprzymierzeńców Polskich.

(k) Młodzian tamtych wieków pasowany na rycerstwo, takiego koloru przy boku, albo przy szyzaku wstęgi nosił, jaki lubiła panna, którą sobie tym ująć chciał. I to tu barwą się nazywa.

(l) Zbysława, była córką Świętopelka xiążęcia Kijowskiego, bardzo blisko spokrewniona z Bolesławem; bo matka Władysława Hermana, była rodzoną ciotką Świętopelka oycy Zbysławy.

(m) Roku 1099 Brzetysław król Czeski, wuy Bolesława, pasował go na rycerstwo. W rok po-tém oyciec Władysław, swoim go także rycerzem zrobił w Płocku. Kto w tamtych wiekach nie był pasowany rycerzem, sądzono, że bezprawnie mie-cza dobywał na nieprzyjaciela. Podawano przystę-pującemu miecz, i pas rycerski, przypinano ostrogi, i wkładano łańcuch złoty na szyję; powinien był bydz ślepo posłusznym temu, kto go pasował, a z placu bitwy nigdy nie ustępować, i t. d.

(n) Władysław Herman z drugiej żony Judyty, wdowy po Salomonie królu Węgierskim, miał trzy córki, o których imionach, i jak się obróciły nie

wiele wiadomo. Ale obacz jeszcze w następującéy nocy pod literą (t).

(o) Judyta była siostrą Henryka IV. córką Henryka III. wnuką Konrada II. cesarzów z domu Frankońskiego.

(q) Mieczysław syn nieszczęśliwego Bolesława Śmiałego, po ucieczce z Polski oycy, chronił się w Węgrzech. Kochał go król Węgierski dla pięknych duszy i ciała przymiotów. Sprowadzony do kraju od Władysława stryja, roku 1083 a struty z żoną Eudoxyą córką Izasława xiążęcia Kijowskiego roku 1088.

(r) Lubecz miasto nad Dnieprem, gdzie xiążęta Ruscy przymierzami pozabezpieczali sobie dzierżawy swoje w roku 1097.

(s) Zbisława była córką Świętopętka, wnuką Izasława, prawnuką Jarosława monarchów Ruskich na Kijowie; a daléy: od Włodzimierza wielkiego jedynowładzcy, i jego poprzedników pochodziła.

(t) Od czasów Włodzimierza W. który miał za żonę córkę cesarza Konstantynopolitańskiego, xiążęta Ruscy mieli łatwy handel z Carogrodem, albo Iadem, albo rzekami Dnieprem i Dniestrem, a potém Czarném morzem.

(u) Hübner w Tablicach jenealogicznych powiada, że Ryxa córka Hermana i téy Judyty, była za Alfonsem VII. królem Kastylii.

(w) Ryxa matka Kazimierza I. dla uciemnienia kraju za życia męża, i po śmierci jego rządząc Polską, wraz z synem wypędzona.

(x) Gregorz VII. ów sławny Hildebrand po zabiciu Śgo Stanisława, koronę Polakom odebrał, ale klóćący się z nim natenczas Henryk IV. cesarz, na złość papieżowi dał ją Władysławowi następcy po Śmiałym, któremu i siostrę swoją poślubił. Już tedy Władysław, nie chcąc uwłoczyć prerogatywom cesarza, do którego pewnie należało koron rozdawanie, musiał się królem Polskim nazywać, i bez wątpienia nazywał się.

(y) Z pomiędzy Piastów, Bolesław Chrobry, Kazimierz pierwszy, i Bolesław Śmiały Polskę dawniej mniej znaną, wstawili w Europie porządniejszym rządem wewnętrznym, rozszerzeniem granic, i tyiu zwycięztwami nad cesarzami Niemieckimi, Rusią, Prusakami, Pomorzanami i t. d.

(z) Scytowie Azyatyccy, jakiemi byli i Połowce, czyniąc przymierza, zaprzysięgali je, lejąc wodę na gołą szablę; i ten zwyczaj, pewnie był naydawniejszym. Tak przysięgali potém i też słowa wymawiali, (jak tu Mikrod) Olbrychtowi naszemu roku 1501 Posłowie Szachmata cara Zawołgskiego, którzy tegoż narodu co i Połowce byli.

(aa) Ta sławna w dziejach naszych bitwa wygrana była w roku 1101. Jeńcy zagarnione w Polskę i zdobycz xiążetom Ruskim, i Połowcom ich

sprzymierzeńcóm odebrana: nieprzyjaciele pobici, albo rozproszeni, obóz ich nawet cały wzięty. Wszystkiego tego ledwie 16 lat mający z małą garstką swoich dokazał Bolesław III. powszechnie Krzywoustym przezwany, od wargi jednéj w młodym wieku wrzodem skrzywionéj. Jak to przezwisko Krzywoustego w dalszym jego wieku dać mu miano, tak i mnie Krzywoustym go teraz nazywać nie zdawało się. Bo może to bydź, że dopiero po roku 1101 wrzód mu téj wargi nakrzywił. Dziesięcioletni już wojować zaczął. Wziął Międzyrzec Pomorzanom wtenczas, kiedy Sieciech hetman stary, już od oblężenia dla niepodobieństwa chciał odstępować. W czternastym roku nasz Santok od Pomorców obronił, a Pomorskiego naprzeciwko wystawionego dobył; po którój wyprawie Pomorzanie synem go wilczym nazywali. Oyciec Bolesława umarł w rok po zwycięztwie nad Rusią otrzymaném. Po odprawionéj rocznéj żałobie po jego śmierci, ożenił się wkrótce z Zbislawą księżniczką Kijowską, bliską pokrewną swoją, za dyspensą Rzymską, i był potem jednym z najsławniejszych monarchów Polskich.

(bb) Przepowiedzenia, które się potem nieszczęśliwie wypełniły.

CZYNSZ.
K O M E D Y A
WE TRZECH AKTACH.

O S O B Y.

MIŁOSKI, Pan.

STATECKI, Przyjaciół Pański.

GROŹNICKI, Podstarości.

MAŁGORZATA, Żona Podstarościego.

SZYMON, Wieśniak.

POLUSIA, Córka Szymona.

BARTECKI, Pisarz Groźnickiego.

*Scena we Dworze Podstarościego we wsi
Pana Miłoskiego.*

K O M E D Y A.

A K T I.

S C E N A I.

G R O Ź N I C K I, B A R T E C K I.

G R O Ź N I C K I.

Bartecki! Waść jeszcze nie znasz naszego pana? Młody, rażny, chodzi pofrancuzku, a fryzura większa od całej głowy; prędko się rozgniewa, ale w momencie dobry, i żał mu, że się rozgniewał. Nie wiem, co on tam z drugimi gada pofrancuzku, ale zemną zawsze gadał tylko o pieniądzach. Posadził mnie raz z sobą do stołu, kiedym mu podatki przywiozł; ale drugi raz przyjechawszy za interesami do pana, ani zemną gadać chciał, tylko mi przez sekretarza powiedziano; że pan ma ważniejsze interesa, żeby miał pamiętać o wyderkafie Plebanowi od trzech lat niezapłaconym.

B A R T E C K I.

Cóż tam pan nasz robi w téj Warszawie? Mając swoje miasta i wioski, czego on siedzi w cudzem?

G R O Ż N I C K I.

Któżby to wszystko wyrachował, co panowie robią w Warszawie! oni to jedném słowem nazywają: bawić się. I tak bawią się u xięcia, u wojewody, na operze, na reducie, na hecy, i tam daléy.

B A R T E C K I.

Prócz xięcia i wojewody, nic daléy nie rozumiem, co to ta opera, reduta, heca?

G R O Ż N I C K I.

To ja ci kiedyś wytłumaczę. Ale co się tycze zabawek pańskich; jak naprzykład pan nasz, często na obiady proszony bywa; i wtenczas, kiedy jedzie kareta; dwóch lokajów, dwóch strzelców, dwóch uzarów, Murzyn, i laufer bydź muszą przy karecie.

B A R T E C K I.

Zapewne tych ośmiu ludzi parami przed kareta idą, i to powinnyby się pięknie wydawać.

G R O Ż N I C K I.

Czepiają się różnie przy karecie. Ale ja nie wiem na co panu naszemu laufra, kiedy wyjeżdżając do kogo, zawsze ma przy sobie wierzchowych? a na co mu nawet wierzchowych, kiedy jedzie o kilkaset kroków z domu jednego do drugiego? Mu-

rzyn zaś pański nic wcale nie robi, i tylko jest Murzynem.

B A R T E C K I.

A też dwa strzelce, co tam w Warszawie strzelają?

G R O Ź N I C K I.

Oni się tylko nazywają strzelcami, i barwę strzelecką noszą; ale strzelać żaden nie umieć, chyba po półmiskach i sarsurkach. Cały rok za Warszawę nie wyjadą, strzelać w mieście nie wolno, a oni postaremu strzelce. Jakże to wiele opłata tych wszystkich ludzi kosztuje! po większemu zaś części pan ich nie potrzebuje. Chodzi bardzo często sam jeden piechotą po Warszawie w surducie, w kapeluszu spuszczonej, i z laską w rękę: chodzi Bóg wie którędy, i powiada, że go to najlepiej bawi.

B A R T E C K I.

To słyszałem, że pan nasz na obiady cudze wyjeżdża; a do niego nie przyjeżdżają kiedy na obiad?

G R O Ź N I C K I.

Bardzo często także u siebie obiady daje: Ci, co nie mając co innego do roboty, rachują po Warszawie obiady dobre, powiadają, że u naszego

pana jest obiad między najlepszemi. Ale też na te uczty, i na kobiety, wiele to pieniędzy wychodzi; i gdyby go pan Statecki nie utrzymywał, jużby dawno było po nim. Chociaż i tak, prócz intrat strawionych, jeszcze corok wioskę jaką sprzedaje.

B A R T E C K I.

Któż to jest ten pan Statecki?

G R O Ź N I C K I.

Dziad pana Stateckiego był dziedzicem tych wszystkich wiosek, i (jak powiadają) dziad pana Miłoskiego niesprawiedliwie mu je wydarł, czy wyłudził; otóż nasz pan, który ma serce dobre, przez ten wzgląd chce mieć zawsze pana Stateckiego przy sobie; lubi go, szanuje, i czyni mu wygody największe. Pan Statecki ma coś i swego, ale go w Warszawie panem nie nazywają, i dlatego tylko tam go poważają, że ma bydź człowiekiem bardzo poczciwym.

B A R T E C K I.

Coś słyhać, że pan nasz ma tu przyjechać!

G R O Ź N I C K I.

W tych dniach tu go się spodziewamy. Dlatego niechay i rejestra będą gotowe, i podatki od poddaństwa ze wszystkiem powybierane; bo kiedy

go przywitasz jakim tysiącem złotych; nie masz lepszego pana nad naszego.

B A R T E C K I.

Wszyscy już poddani wypłacili się; jeden tylko Szymon, który przeszłych lat nayıpiérwszy był do płacenia, teraz jeszcze szeląga nie dał.

G R O Ź N I C K I.

Waś kochasz Polusię córkę Szymona; i może mu umyślnie folgujesz. Ale poprzysięgam, jak mi dziś pieniądze nie będą, temu dziadowi sto nahajów wyliczę, i nie będę uważał na jego starość. Idź waś zaraz do niego, i powiedz mu, że go sto spęlna czeka. (*Bartecki wychodzi*).

S C E N A II.

G R O Ź N I C K I, G R O Ź N I C K A.

G R O Ź N I C K A.

Czegoż się waszeć tak rozgniewałeś?

G R O Ź N I C K I.

A jakże to do nieszczęścia nie mam się gniewać? Wszyscy poddani już zapłacili podatek, a Szymon jeszcze nie oddał, pana zaś w tych dniach się spodziewam; ale popamięta mnie ten obmierzły starzec.

Moje serce, moja Margosiu, nie proszę mi za nim, bom przysiągł, że mu dziś sto nahajów wyliczę, jeżeli pieniędzy do szeląga nie odda. Zuchwały to chłopak, nie raz on mi odpowiedział, nie raz się w słowach sprzeciwiał; przyszło też teraz i na Szymona.

G R O Ź N I C K A.

Sto nahajów Szymonowi! jest to go na śmierć ubić! To to waszeć na to przysiągłeś, żeby człowieka zabić?

G R O Ź N I C K I.

O moja panno! na chłopie każdym jest skór dziewięć; byle ostatniey nie tykać, to wytrzyma.

G R O Ź N I C K A.

Chłopia skóra taka, jak i szlachecka. Lepiej go wsadzić do turmy, to ta jego ulubiona córeczka wystara się zaraz o pieniądze. Gdyby tak na mnie, jabym nawet nie oycy, ale ją samę wsadzić kazała, a tylu jéy kochanków, któremi ona niby pogardza, zarazby się na pieniądze złożyli.

G R O Ź N I C K I.

Cóż córka winna, że jéy oyciec podatku do skarbu zapłacić nie chce? Ona jedna Szymona żywi, a waszeć radzisz, aby ją do turmy wsadzić! Oto lepiej: weź ją Margosiu do dworu na służbę.

Dałyby się jéy z góry pieniądze na ten podatek, a ona by to z czasem odsłużyła.

G R O Ź N I C K A.

Już się waszeci Polusi na folwarku zachciwa. Wziąć ją na folwark, chyba na to, żeby były dwie razem podstarościne.

G R O Ź N I C K I.

Margosiu! a waszeć już zaczynasz.

G R O Ź N I C K A.

Otoż waszeć zacząłeś?

G R O Ź N I C K I.

Tóż ja pierwszy milczę.

G R O Ź N I C K A.

I ja milczę druga.

S C E N A III.

GROŹNICKI, GROŹNICKA, POLUSIA.

P O L U S I A.

Mospanie! mój oyciec płacze!

G R O Ź N I C K A.

A czemuż ty ulubiona córeczka miasto niego nie płaczesz, co to powiadasz, że go tak bardzo kochasz?

G R O Ź N I C K I.

Moja Margosiu! Cóż to ma do tego? Ten płacze, kto płakać może. Polusiu! czegoż twój oyciec płacze?

P O L U S I A.

Że go WPan przez Barteckiego za niewypłacony podatek plagami postraszyłeś. Kiedy matka moja umierała, on nie płakał, i mnie płaczącą cieszył. Piérwszy raz dzisiay widzę łzy oycy mojego, musi bydź, że dzisiay żał ma naywiększy. Mój oyciec powiada, że bardziey jeszcze boi się wstydu, niżeli bólu, bo był zawsze człekiem pocziwym.

G R O Ź N I C K A.

Na cóż ci kochaneczko, tych twoich sukien, w które się tak lubisz stroić; jeżeli tak kochasz oycy, jak mówisz, sprzedaj to wszystko, a może wystarczy na podatek.

P O L U S I A.

Mościa pani! któżby sukni żałował, żeby odkupić od bólu i hańby oycy własnego? Jużem mu to nawet mówiła; ale on spodziéwa się łaski WPana,

mospanie Groźniki, że da Bóg po zbiorze z pola, w jesieni razem dwuletni podatek zapłacić mu pozwolisz. Sukman zaś moich w pół darmo (jak powiada) trwonić nie chce.

G R O Ź N I C K I.

Mogłabyś Polusiu pójść gdzie na służbę; takim sposobem opłaciłabyś podatek oycy.

P O L U S I A.

Kiedy gruntu trzymać nie wydołamy, oddamy go do skarbu; a natenczas ja pracą rąk własnych, będę żywiła oycy mego; ale go do śmierci nigdy nie opuszczę.

GROŹNICKA (*biorąc za rękę Polusię i wyprowadzając ją z izby*).

Podźże ztąd, podź, ty cnotliwa dziewczynko, żeby podatek był zaraz gotowy; bo jeżeli nie na oycu, to się na tobie skończy.

GROŹNICKI (*po wyjściu Polusi*).

Margosiu! Jakże waszeć jesteś bez politowania! Kiedy ta dziewczyna gadała, mnie się serce z litości krajało; a waszeć ją za drzwi wytrąciłaś!

G R O Ź N I C K A.

Serce mu się krajało, kiedy Polusia gadała, a niedawno chciał krajać skórę nahajami starca 70 lat mającego.

G R O Ź N I C K I.

Chciałem krajać, bo zasłużył na krajanie; ale Polusia Bogu tylko duszę winna. Dziewczyna nayszczęśliwsza! Cożes to moje serce do niey upatrzyła?

G R O Ź N I C K A.

Upatrzyłam to, że trochę za często na nią patrzysz.

G R O Ź N I C K I.

Margosiu! Waszeć znowu zaczynasz, a ja cierpię.

G R O Ź N I C K A.

Mnieysza o to, mnieysza; ja zaczęła, ja wyydę z izby, a ty zawołał Polusi, i kończ z nią kontrakt na służbę do folwarku.

S C E N A IV.

G R O Ź N I C K I *sam*, *potém* B A R T E C K I.

G R O Ź N I C K I.

Dziwna ta moja żona! Jéy się zdaje, że ja Polusię kocham. Jakby to nie można dziewczyny pięknéy chwalić, albo się nad nią litować, żeby się w niey razem nie zakochać? To prawda, że ja lubię patrzeć na piękne twarzyczki; naprzykład,

ktoby tu nie lubił patrzeć na Polusię, kiedy się na nią tak patrzeć zachciwa; ale też co z oczu, to i z myśli. Ja gotów ją i ścisnąć, i pocałować, a nie to do tego nie przeszkadza, że Margosia zawsze serce moje mieć będzie. Jakoż kobieta wierna mi, i dobra gospodyni; i gdyby nie zawiść, a drugie zbyteczne przywiązanie do pieniędzy, niebym jéy nie miał wymówić. (*Bartecki wchodzi*). Cóż tam Bartecki! Szymon płacze, a twoja Polusia smutna.

B A R T E C K I.

Szymon, Polusia i ja z niemi, wszyscy tam razem płakaliśmy; bo Polusia powróciwszy od Wpana, wytracona, jak powiada od pani Groźnickiej, zaczawszy z płaczem opowiadać to przed oycem, nas obudwóch rozpłakała.

G R O Ź N I C K I.

Mnie samemu jéy żal było: ale żeby zaraz płakać dlatego, że ona płacze, tego nie rozumiem.

B A R T E C K I.

Ja nigdy także nie płakałem, chociaż już tylu przed sobą widziałem płaczących. W początkach, kiedy mnie WPan wysłałeś do wsi na exekucyą, często mnie nędza chłopia wrzuszała, ale z czasem wprowiłem się przy WPanu, i dla całości skarbu

pańskiego tłukłem po domach garnki i szklanki, rozbi-
jał naczynia i piece, a w brod sypał dla konia
owsa; i chodząc między płaczącymi matkami i
dziećmi, całe godzinki bez przerywania zwyczajnie
prześpiewałem. Ale to co inszego z Polusią! Przy-
szedłszy od W Pana, rzuciła się na szyję oycy, i
łkając, o wytrąceniu siebie z izby powiadała. Je-
szcze ja to wytrzymałem; starzec zaś zrozumiałwszy,
że nic nie wskórała u W Pana, podniósł ręce do
góry, i prosił Boga, żeby jeżeli przyydzie tę bolesną
i wstydliwą na starość karę odebrać, żeby jéy nie
przeżył, żeby umarł; a córkę swoją opiece Boskiey
polecał. Ona, w pół ścisnąwszy oycy łkając, mó-
wiła: „Nie wydrą mi cię oycze mój, nie wydrą!
„razem ja z tobą na więzienie, na karę, i na śmierć
„pójdę.“ Otoż ja wtenczas płakać zacząłem, i
płakałem póty, aż Szymon do mnie się obróciwszy,
rzecze: „Dla téy dziewczyny żalby mi było jeszcze
„umierać, kiedy ją kochasz, ratuy mnie dla niey!“
Pierwszy raz wtenczas Polusia na mnie słodko wey-
rzała. Porzuciłem ich i biegnę do W Pana (*kłania-
jąc się Groźnickiemu*), daruy te plagi Szymonowi,
żeby Polusia moja nie umarła.

G R O Ź N I C K I.

Cóż tedy waść chcesz, ja podatku Szymono-
wego z mojęy kieszeni nie zastąpię; a to chłopiek
hardy, dobrzeby go przy téy okazji upokorzyć.

B A R T E C K I.

Jest sposób na wszystko. Ja Polusię kocham, i kochać będę do śmierci. Dla niey gotów jestem o chlebie tylko i wodzie całe życie pracować. Każ WPan zawołać Szymona, gróż i fukay napierwéy, potém wspomniey mu o mnie swatając mnie z jego Polusią. Jabym ten podatek z mojęy krwawéy pracy zastąpił. Wszystkich pieniędzy nie miałbym, ale za łaską WPana wziąłbym z góry na pół roku strawne i zasługi, a tak może byłoby dosyć na ten podatek. Nie wiem, co Szymon ma do mnie, że ile razy mu o Polusi namieniłem, zawsze przerwał i o czém inszém gadać zaczął. Dziewczyne możebym ubłagał, ale z nim ciężko. Przyszła pora, że mu tym sposobem potrzebny będę; i bojaźń kary może go dla mnie nakłoni. Zmiłuy się mospanie, ratuy mnie teraz, a ja to szczęście WPanu jednemu winien będę.

G R O Ź N I C K I.

Robić będę jak zmoję. Biegay mi zaraz po Szymona. (*Bartecki wychodzi*).

S C E N A V.

G R O Ź N I C K I sam.

Bartecki widzę nie żartem kocha, a Szymon byłby najglupszym, żeby mu Polusi bronił. Stary,

już pracować nie zdoła, a lubi żyć wygodnie, właśnie takiego zięcia potrzeba mu było. Szymon z nim będzie szczęśliwy, jak nigdy nie był. Ale jak się Polusia do męża na folwark sprowadzać będzie, co też moja żona na to? O będąż pioruny! Nie bój się Margosiu nie bój, Polusia będzie we śródku nas, a ty zawsze będziesz moją Margosią, a Polusia Barteckiego.

S C E N A VI.

GROŹNICKI, SZYMON, *potém* GROŹNICKA.

S Z Y M O N.

Już sam szedłem do W Pana.

G R O Ź N I C K I.

A pókiż to chłopku będą do ciebie chodzić i napominać o podatek dotychczas nie zapłacony? Już wszyscy skarb dawno zaspokoili, ty jeden właśnie żartujesz z dworskiej zwierzchności; ale ja nie żartuję, i lubię dotrzymać słowa; wiesz, czém to pachnie? (*pokazując mu harapnik*) sto pełna Szymonie.

S Z Y M O N.

Zboże się przeszłego roku nie urodziło, bydło wyzdychało na wiosnę; ja stary, zarobić nie mo-

głem, i tak zaciągnął się podatek, który corocznie
nayıpierwszy zwykł byłem wypłacać.

G R O Ż N I C K I.

O tém się nie mówi, co było; ale o tém, co
teraz jest; winienes, zapłać.

S Z Y M O N.

Cóż dam WPanu, nic sam nie mając. Grozisz
mi WPan karą; jeżeli będzie tak wielka, jak mi
obiecujesz, czując się słabym, spodziewam się, że
będzie razem i śmiercią moją. Zrobisz mi mospanie
łaskę, kiedy dokończę nieszczęśliwego życia, i
hańby mojej nie przeżyję.

G R O Ż N I C K I.

Nie tak to łatwo umrzeć, jak ci się zdaje; po-
leżysz Ruski miesiąc, i potem się wyliziesz, dam ci
nawet na mydło. Ale czemu ty córki twojej za
mąż nie wydajesz; kiedy się ludzie trafiają? Zięć
ratowałby cię w starości; a jeszcze wybrać takiego,
żeby nie był hołyszem, mógłby i podatek terażniejszy
zastąpić.

S Z Y M O N.

Moja Polusia uboga, i prócz cnoty, za którą
zaręczam, żadnego wiana nie weźmie; któżby się
o nią majątny starał?

G R O Ż N I C K I.

Otóż powiem ci. Uważałem, że Bartecki biega za twoją Polusią. Człowiek stateczny, ma obrot, był w szkole, umie czytać, pisać i rachunki; i Polusia lepszego męża mieć nie może; zday się na mnie, ja zrobię wszystko. Córka twoja będzie szczęśliwą, ty unikniesz kary, i podatek przez Barteckiego będzie zaspokojony.

S Z Y M O N.

Uważałem i ja, że Bartecki pogląda na córkę moję, że jest starowny, i że ma obrot, ale!...

G R O Ż N I C K I.

Cóż ale? ... Bartecki u mnie bez ale; ale jest to człowiek, który nie będzie głodny chleba do śmierci.

S Z Y M O N.

Nie dosyć na tém mospanie, nie dosyć. Gorzki to chleb, który przez szalbierstwo, albo łzami ludzkiemi przyydzie.

G R O Ż N I C K I.

Cóż daley?

S Z Y M O N.

Bartecki lubi ludzi oszukiwać; a do tego ma serce naytwardsze. Nad kim on się tu w caley wsi

ulitował, kiedy kogo ukarać plagami przyszło? albo kiedy przed kilką latami wyszedł na exekucyą, jakże się nie znęcał nad ludźmi nieszczęśliwemi?

G R O Ź N I C K I.

No, i cóż tam więcéy?

S Z Y M O N.

Prawda, że ma talent czytania i pisania, ale gdybyć go na dobre używał! Ztakiem złém sercem, jak go ma, lepiejby było, żeby był pisać nie umiał, bo to mu daje sposobność szkodzenia więcéy.

G R O Ź N I C K I.

Cóż tam jeszcze panie Szymonie?

S Z Y M O N.

Dosyć i tego mospanie. Niech mój zięć tak nie ma nic, jak córka moja, ale niech ma dobre skłonności, prędzéy, albo późniefy samo ich szczęście nadybie.

G R O Ź N I C K I.

A teraz czém waszeć podatek zapłacisz?

S Z Y M O N.

Nie chcę go płacić nieszczęściem do śmierci córki mojej, gdybym ją wydał za Barteckiego; i

jeżeli nie będziesz W Pan miał litości nad starcem, i nie poczekasz wypłacenia się mego w głębszój jesieni, żebym razem za dwa lata skarb zaspokoił; to już i karę poniosę. Wolę ten podatek zapłacić życiem własném, niżeli życiem dziecięcia mego.

G R O Ż N I C K I.

Cóż to Chamie? to ty mnie katem robisz?

S Z Y M O N.

Ja Szymon nie Cham.

G R O Ż N I C K I.

Różę, kijów, nahajów, postronków; o nie, o nie, poradzę waszeci lepiej. Gnić mi będziesz obmierzły dziadu w turmie o głodzie, póki podatek do szeląga wypłacony nie będzie. (*Porywa Szymona za piersi, i wytrąca z izby, wołając na ludzi*). He! he! woyty, stróże, parobcy, weźcie go do więzienia, do turmy, do kozy, zamknąć go na klucz; o na klucz ptaszka! (*powraca odedrzwii wytrąciwszy*). Cóż to za chłopek, ubogi a hardy! gdyby tu Anioł w ludzkim ciele, toby nie wytrzymał. Jam mu kazał podatki przynieść, a on mi z kazaniem przyszedł o dobrej śmierci. Kogo on się u nieszczęścia spodziéwa do swojej córki, kiedy już i Barteckiego nie chce! Ale może jeszcze dziad przyydzie do rozumu, turma i bycza skóra pędzi rozum do głowy.

G R O Ź N I C K A (wpada).

Moje serce, moje serce; ułan przybiegł, pan będzie za kwadrans.

G R O Ź N I C K I.

Poprzątaycie, poprzątaycie, niech w izbach pozamiatają. Pajęczyny! pajęczyny. A waszeć Margosiu, weź nowe patynki, mantolecik parterowy, kanaki na szyję, i kołpaczek na głowę.

A K T II.

S C E N A I.

M I Ł O S K I, S T A T E C K I, G R O Ź N I C K I.

M I Ł O S K I.

Cóż tam panie Groźnicki? Dobrze tu gospodarujecie? Macieź pieniądze? bo trzeba, abys waść wiedział, że pieniądze są celem każdego gospodarstwa.

G R O Ź N I C K I.

Gospodarstwo nam idzie dobrze, i cel gospodarstwa pieniądze mamy zebrane.

M I Ł O S K I.

Czy odebrałeś waść książkę Kantona i Kolumelli przetłumaczoną z łacińskiego, którą ci nie dawno przesłałem?

G R O Ź N I C K I.

Sic est Monsenior.

M I Ł O S K I.

Czytałeś to pismo całe? bo ztamtąd wiele światła nabrać można, i do naszego gospodarstwa przystosować.

G R O Ź N I C K I.

Przyznam się Panu, że tylko zayrzałem w tę książkę, bo jak mi się zdaje, ja umiem dobrze gospodarstwo, jakiego potrzeba do wsi pańskich... Poznać naturę pola, gdzie co posiać można; zgnoić grunt należycie, przeorać ziemię do sypkości, wyчыścić z chwastów jak naylepiey, zasiać nasieniem zdrowém, a w swoim czasie; zbierać także w czasie a sucho, wymłócić należycie, i sprzedać w porze i w mieyscu naylepszym do sprzedania. Oto już całe rolne gospodarstwo. Zayźrzałem raz w tę książkę przysłaną, aż tam napadam: żeby do sprawienia gruntu brać gnóy z gołębnika. A gdzieżbym ja znalazł tyle gnoju gołębiego, żeby nim ćwierć mili gruntu uprawił? To Rzymskie gospo-

darstwo było podobno na małe ogródki, nie zaś na włoki nasze. Ja nawet gołębie wszystkie wystrzelać kazałem, bo po zasianiu zjadały mi ziarno z roli.

S T A T E C K I.

Zgadzam się z panem Groźnickim, że gospodarstwa rolnego, lepiej się uczyć ze swojej roli, niżeli z cudzej książki. Każda rola ma swoją udziałną własność. Wieśniak mieyscowy, który ją od młodości uprawia, doświadczeniem swoim zna ją lepiej, niżeli naybiegleyszy rolnik cudzoziemski z daleka o niey napisać może. Ale też i od cudzoziemców niektóre sposoby gospodarowania przeymować można, zwłaszcza te, które oszczędzają ręk pracujących, albo zmniejszają liczbę bydła do roboty potrzebnego przez powymyślane narzędzia różne. Ale w szczególności koło roli tutejszey naprzykład, pilność i doświadczenie dozorczy, a szczerza i należyta koło niey robota poddaństwa, dostatecznemi są do gospodarstwa rolniczego.

G R O Ź N I C K I.

Ja mojej powinności, Bogu dzięki, nigdy nie zaspiałem; żeby zaś chłopci według układu mego wszystko robili, od tego mam harapnik.

S T A T E C K I.

Daruy mi, panie Groźnicki, harapnik zły jest bardzo gospodarz; póki go poddany widzi, robi z

bojaźni, ale ile razy (co bywa częściej) harapnika nad sobą nie ma, to umyślnie źle robić gotów, bo pana swojego nienawidzi. Słodyczą wszystko lepiej się uda. Nie mówię ja, żeby czasem nie skarać; ale kara niech będzie rzadzą, to zapewne poprawa nastąpi częściej. Nie trzeba poddanemu pozwalać, żeby miał poufałość zbytnią do swojej zwierzchności, bo go to zapewne zepsuje; ale starać się pogodzić, żeby zwierzchność razem kochał i szanował. Słowem panie Groźnicki, niech pan nie będzie bratem, ale oycem poddanego swojego.

G R O Ź N I C K I.

Już my tu, Mości Dobrodzieju, umiemy wszystko to pogodzić. U mnie chłop, w pośrodku plag samych woła: „Tatusiu, dobrodzieju! Czasem głośnąć, a czasem też i płasnąć; bo chłop tutejszy przyzwyczajony do nahać; i bez tego nic byśmy pewnie nie zrobili.

S T A T E C K I.

Tym ci gorzej dla nas, żeśmy przyzwyczaili ludzi być nieszczęśliwymi.

M I Ł O S K I.

Niech tam, panie Groźnicki, pomyślą o jeździe, byle prędko, choćby mało. (*Groźnicki wychodzi*).

S C E N A II.

M I Ł O S K I, S T A T E C K I.

M I Ł O S K I.

Cóż się W Panu zdaje mój Groźnicki?

S T A T E C K I.

Z tego, co mówił o gospodarstwie, wnosić można, że się zna na niém; ale nie wiem, czy tak robi, jak mówi. Nie dosyć na tém słyszeć; ale trzeba i widzieć jego gospodarstwo.

M I Ł O S K I.

Już mi to i ze strony powiadano, że zna gospodarstwo, i pilnuje go; ale ma bydz na ludzi surowy, czegobym ja nigdy w dobrach moich mieć nie chciał.

S T A T E C K I.

Można to poznać z jego gadania. Ta wada prawie była powszechna naszych ekonomów; ale panowie po większėj części w kraju poprawieni, poprawiają po wsiach i dozorców swoich.

M I Ł O S K I.

Tuteysze wioski mam opatrzone naylepiey, i gospodarstwo tu idzie szykowniey; bo często spytam się i wglądam we wszystko. Zgadniy W Pan,

wiele też z tych dóbr mam kur danych, które poddani corok oddawać mi powinni?

S T A T E C K I.

Nie wiedząc liczby poddanych, ani ich powinności, jakże mam zgadnąć wiele kur na rok przychodzi?

M I Ł O S K I.

Oto wszystkich ztąd kur cztery tysiące dwieście kilkadziesiąt oddają. Na tę kwotę trzeba to dóbr pięknych.

S T A T E C K I.

Za pozwoleniem W Pana, wiele też W Pan masz w tych dobrach poddanych wszystkich?

M I Ł O S K I.

Tego coś nie uważałem w inwentarzu.

S T A T E C K I.

A to też jest, co najpiérwéy uważać potrzeba było. Rzeczami mniejszemi niech się zatrudniają mnieysi, a pan dóbr znacznych ma o czém ważniejszém myśleć. Nad liczbą poddanych i ich majątkiem zastanawiać się najpiérwéy powinien dziedzic gospodarz. Tylkoć to poddany majątniejszy z bogaca pana; a ubogiego, ponieważ ustawicznie za-

pomagać potrzeba, porównawszy jego roczną pracę z tém, co się łoży na jego zapomożenie, nic pewnie zysku nie będzie, a czasem i strata na stronę pana przypadnie. Interesem tedy każdego pana jest, ażeby poddany jego majątnym był. Trzeba, żeby poddany więcéy przedawał, niżeli kupował; będzie zaś tak, jeżeli go opatrzymy gruntem dobrym, i sposobności rąk jego wyrównywającym; jeżeli mu podamy sposób sprzedaży pewnéy; jeżeli mu ocalimy majątek jego, jeżeli go czasem leniwego przymusiemy nawet, ażeby był o siebie dbałym; jeżeli nakoniec sprawiedliwość względem niego zupełną zachowamy.

M I Ł O S K I.

Będę WPana prosił, żebyś to także memu kommissarzowi wszystko opowiedział. Bo co do mnie, już jestem zupełnie o tém przekonany.

S T A T E C K I.

Co należy do gospodarstwa we wsi ze strony dziedzica, powinien mieć wszystkie grunta swójey majątności pomierzone; powinien wiedzieć, jaką ich część poddani wyrabiają, a jaka na dwór została się; powinien obrachować dni roczne roboty poddaństwa, i brać proporcją mniey, więcéy, wiele tychże dni na wyrobienie gruntów dworskich wychodzi. Resztę obracać ma na trzebieenie łąk, osu-

szanie mieysc błotnistych, i tym podobnych robot, z czasem wielkie pożytki przynoszących. Dozór nad to nad kommisarzem i ekonomem, a handel, do jakiego tylko sposobność podać się może. Oto prawie wszystko, czém się panowie szczególnie zatrudniać powinni. Insze rzeczy drobniejsze mogą zostawić na swoich subalternów; wszelako czasem i w mnieysze wglądając, żeby gospodarstwa potrzebnego w niczém nie zaniedbywano.

M I Ł O S K I.

O mój zacny Statecki! nie porzucaymyż się do śmierci (*ściska go*), w każdéy przygodzie twoja mi rada potrzebna będzie; bo i mówisz jak przyjaciel, i radzisz, jak człowiek znający się na tém, co radzi.

S C E N A III.

Ciż sami, GROŹNICKI I GROŹNICKA
(*z masłem*).

G R O Ź N I C K I.

Jest to żona moja, którą wraz z sobą i działkami łaskom pańskim polecam.

M I Ł O S K I.

Dawnoż się WPan ożeniłeś?

G R O Ź N I C K I.

Już lat pięć; a wziąłem wdowę.

G R O Ź N I C K A.

We czternastym roku poszłam za pierwszego męża, żyłam z nim dwa roki, a rok tylko wdową byłam.

G R O Ź N I C K I.

Żona moja do usług pańskich *de domo* Małgorzata Rzepka, a *primo voto* była za Pogromskim.

M I Ł O S K I.

Mnieysza o to. Ale czy WPańi znasz się na gospodarstwie domowém? jakoto: na wyrabianiu płócien, na obchodzeniu się z nabiałem?

G R O Ź N I C K A.

To masło mojęy roboty dosyć jest ugodzone. A ta koszula jest z płotna mojęy przędzy. Ale ja mam i szwabskie koszule.

M I Ł O S K I.

Mnieysza o to.

S T A T E C K I.

Wieleż tu na tym folwarku krów trzymają?

G R O Ż N I C K I.

Krów jest doynych dziesięć, a pięć jałowych.

S T A T E C K I.

Macieź tu pastwika jakie?

G R O Ż N I C K I.

Na tym folwarku możnaby trzymać krów drugie tyle, ale JPan kommissarz (*Groźnicka ciągnie go z tyłu za suknię, że się aż obeyrzał*), ale JPan kommissarz tylko mi przysłał piętnaście.

M I Ł O S K I.

Cóż to tam za ludzie stoją przed oknami?

G R O Ż N I C K I.

Arendarz tuteyszy przyniosł tusz mięsa wołowego, i chciałby widzieć i przywitać pana.

M I Ł O S K I.

Ja datku jego nie chcę. Ale póydźmy obaczyć arendarza.

S C E N A IV.

G R O Ż N I C K I, G R O Ż N I C K A.

G R O Ż N I C K I.

Na co też waszeci Margosiu wrywać się przed panem, że masz szwabskie koszule? On się pytał,

czy tu wyrabiają płótna, a waść ze swoją szwab-szczyną wyjechała. Otóż ci zaraz dobrze odpowiedział: „Mnieysza o to.“

G R O Ż N I C K A.

A waść na co powiedziałeś, że ja z domu Rzepka? bo i tobie też samo pan odpowiedział: „Mnieysza o to.“

G R O Ż N I C K I.

Jam powiedział, bo o waszeci dyskurs zaczęto. Ale waść wyleciałaś ze swojemi szwabskiemi koszulami na targ, chociaż nikt o nie nie pytał. Tak właśnie, gdybym ja był co zaczął przed panem o mojej blachmalowój ładownicy? Mam ładownicę, bo dostałem ję sobie za moje pieniądze; ale co też pana ma obchodzić moja ładownica, albo waszecina koszula?

G R O Ż N I C K A.

Moje serce! a któż teraz kłótnie zaczyna?

G R O Ż N I C K I.

To nauka mościa pani, nie kłótnia. Bo nie-chciałbym się wstydzić za WPanią. A potem na co mnie waszeć z tyłu pociągałaś, kiedym z panem o krowach mówił?

G R O Ź N I C K A.

Bo mi się chciało pociągnąć z tyłu, że czasem gadasz, co trzeba i nie trzeba.

G R O Ź N I C K I.

To widzę na długie się zabiera. Oto lepiej obacz waszeć, co się tam w kuchni dzieje, żeby kucharzom na niczém nie zbywało, bo i o ich dobre słowo przed panem dbać potrzeba. A grzecznie z ludźmi moja panno, a grzecznie. (*Groźnicka wychodzi*).

S C E N A V.

STATECKI, GROŹNICKI, *potém* POLUSIA.

S T A T E C K I.

Pan Miłoski dobrze o WPanu ze mną dopiero gadał; i ja sam rozmawiając z WPanem cokolwiek poznać mogłem, że znasz się na gospodarstwie; ale w jednéj rzeczy przestrzegę WPana, żebyś się trochę uymował. Doniesiono to panu WPana, i już gadał o tém ze mną, że masz bydź surowy na poddańswo. Zapewne pan Miłoski tego nie chce, i toby WPanu u niego bardzo szkodziło, jeżelibyś się w tém poprawić nie miał.

G R O Ź N I C K I.

Jeżelim kiedy skarał, to zawsze przy świętęj sprawiedliwości. Darmo też mam siedzieć jak mało-

wany na folwarku. Nie trzymając Chama w rygorze, nicby zapewne z całego gospodarstwa nie było.

S T A T E C K I.

Zacóż to WPan nazywasz poddanego Chamem?

G R O Ź N I C K I.

Bo jest chłop, Cham, nie szlachcic.

S T A T E C K I.

Te same nazwiska pogardy pełne dla wieśniaka, są dowodem sposobu myślenia W Pana. Przypatrz się W Panu poddanemu: on taki człowiek, jak każdy z nas, i bądź dla niego człowiekiem, nie zwierzem.

G R O Ź N I C K I.

WPan Dobrodziey tylko widzisz chłopca, albo słyszysz o nim, a ja z niemi, będąc na funkcjach ekonomicznych od kilkunastu lat mam do czynienia; to u nich natura ze wszystkiem insza! Chłop kiedy płacze, wtenczas najlepszy, ale kiedy się śmieje, to kąsa. Wszelako, jeżeli się panu mojemu rygor nie podoba, ja na panów sumnienie będę dla poddanych powolniejszy; ale tego się doczekam, że panowie kiedyś mi sami powiecie: Groźnicki! bądź ty znowu Groźnickim.

P O L U S I A *(nikczemnie ubrana przynosi swoją odzież).*

O cóż ja mam dbać na świecie, kiedy mój oyciec za ten nieszczęśliwy podatek siedzi w więzieniu? Otóż MPanie Groźnicki przyniosłam odzież moją. Niech wóyci otaxują wszystko, a co będzie nie dostawało, to odrobień w ogrodach dworskich, choćby mi przyszło przez całą wiosnę kopać, *(rachuje rzeczy na stole)*. Oto są wstażki, to dwie sukmany na codzien i od święta, to dwie spodniczki, i koszule i fartuszki, a to korale, i już wszystko.

G R O Ź N I C K I.

Na cóż tam tego rachowania.

P O L U S I A.

Zostawiłam tylko sobie koszule grube. A z mego oycia nie masz co zabrać, całe odzienie jego na nim; prócz kilku koszul, których tu nie przyniosłam. Ale miey WPan litość zostawić mu je, żeby miał przynajmniej raz w tydzień odmienić staremu białą koszulę. *(Pada na kolana i z płaczem mówi)* Mospanie Groźnicki! wypuść mi WPan oycia; wspomnij sobie, że miałeś także oycia.

G R O Ź N I C K I.

Ale wstańże Polusiu, ale wstańże, bo ja tego nie lubię.

P O L U S I A *(obracając się na kolanach do Stateckiego).*

Mości Dobrodzieju! W Pan mnie nie znasz, ale widzisz mnie nieszczęśliwą. Może i panowie macie tak serca skłonne do litości, jak i my. Proś za mną pana Groźnickiego, żeby mi powrócił oycą.

S T A T E C K I.

Mospanie Groźnicki, miej też W Pan litość nad biédnemi. Jest tu ich dziedzic teraz, to powimy panu Miłoskiemu, i tego podatku można poczekać, mogli-
byście go nawet i darować ubogiemu wieśniakowi.

G R O Ź N I C K I.

Wstań Polusiu! Mości Dobrodzieju; to dziewczyna dobra, i na całą wieś nayprzykładniejsza; ale też jéy tatuś na całą wieś chłopek nayzuchwalszy. Odnies Polusiu te łachmany swoje do domu, odnies.
(Statecki wychodzi).

S C E N A VI.

G R O Ź N I C K I, P O L U S I A.

P O L U S I A.

Z początku żał mi było téy odzieży mojéy, ale już o nią niedbam, wszakże to za nią, oyciec mój się powróci.

G R O Ż N I C K I.

Szymon sam sobie winien; ma sposób wypłacenia tego podatku, a użyć go nie chce.

P O L U S I A.

Jakiż sposób? Ja nie już w domu z rzeczy nie zostawiłam; można posłać wszystkie kąty opatrzyć, a znalazłszy co, karać mnie naysurowiej.

G R O Ż N I C K I.

Nie o to chodzi Polusiu. Bartecki mówił mi o tobie. Ja gadałem z Szymonem, on twardy. A Bartecki oświadczył się, że ten podatek ze swojej kieszeni opłaci. Kogoż ty mieć możesz lepszego męża? Cóż na to Polusiu?

P O L U S I A.

Kiedy mój oyciec widzi, że Bartecki nie dla mnie mąż, potrzeba oycu wierzyć.

G R O Ż N I C K I.

Ale ty podobno kochasz Barteckiego? Przyznażę mi się szczerze, a ja wszystkiemu poradzę, i jeszcze się do szczęścia waszego przyczynię.

P O L U S I A.

Wypuść mi WPan oycę, a to będzie moje największe szczęście.

G R O Ż N I C K I.

Ale cóż mi na Barteckiego odpowiadasz?

P O L U S I A.

Mówiłeś W Pan, że już mój oyciec odpowiedział; na cóż o jednéj rzeczy dwa razy gadać.

G R O Ż N I C K I.

Twój oyciec nie zna swojego szczęścia, ale ty miewy rozum.

P O L U S I A.

Mój oyciec dawno żyje na świecie, i zapewne lepiej zna ludzi, niżeli ja.

S C E N A VII.

Ciż sami, MIŁOSKI I STATECKI.

M I Ł O S K I.

Cóż to jest za dziewczyna?

G R O Ż N I C K I.

Jest to chłopu tutejszego córka.

S T A T E C K I.

Ta to jest sama, o której oycu mówiłem W Panu?

M I Ł O S K I.

Dziewczyno! jakże ty się zowiesz?

P O L U S I A.

Apolonia.

M I Ł O S K I.

A twój oyciec?

P O L U S I A.

Szymon.

M I Ł O S K I.

Czegoż to wzdychasz Polusiu?

P O L U S I A.

Wspomniałam na mego oyca.

S T A T E C K I.

A czemuż twój oyciec dotychczas podatku nie wypłacił?

P O L U S I A.

Płacił corok nayıpiérwszy, póki było czém pła-
cić, teraz Bóg zabrał i zboże i bydło. Przyniosłam
panu Groźnickiemu sukmany moje, żeby otaxował
i zabrał je za podatek. Wszystko, co tylko w do-
mu było, oto jest na stole.

G R O Ź N I C K I.

Polusiu! to jest wasz dziedzic, kiedy będzie wola pańska, to może wam kazać zaczekać tego podatku.

P O L U S I A.

Gdyby pan widział oycę mego, jak stary i słaby, pewnieby się zlitował nad nim.

M I Ł O S K I.

Czemuż to Polusiu tak w ziemię patrzysz ustawicznie?

P O L U S I A.

Nic mi na świecie nie miło, póki mój oyciec w więzieniu siedzi.

M I Ł O S K I.

Patrzcie na mnie, a ja ci go każę wypuścić.

P O L U S I A *(z płaczem mówi).*

Niech jeszcze obaczę oycę, bom myślała, że już tam w więzieniu umrze.

M I Ł O S K I.

Panie Groźnicki, wypuścić Szymona, i niech tu zaraz przyydzie. *(Wychodzi Groźnicki).* Bądźże już weselsza Polusiu; tobie bardziey do twarzy

śmiać się, niżeli płakać. Tak piękna i dobra dziewczyna powinna by być szczęśliwszą.

P O L U S I A *(obracając się do Stateckiego).*

To W Pan mospanie tak dobry jesteś, żeś u pana wyprosił mi oycą. Będziemy tę łaskę pamiętać oboje z oycem, obudwom panom.

S T A T E C K I.

Dosyć byłoby ratować cię, żeś nieszczęśliwa, a ty jeszcze i pocziwa.

M I Ł O S K I.

A ty jeszcze i piękna.

P O L U S I A *(zacierając ręce).*

Wyjdę naprzeciwko oycą, bo tak prędzę go obaczę.

M I Ł O S K I *(biorąc ją za rękę).*

Poczekay tu Polusiu, wszakże on zaraz przyydzie.

P Ó L U S I A.

Ja kocham oycą; dobrze mi jedną minutą prędzę go widzieć.

M I Ł O S K I.

To ty wiesz, co to jest kochać?

P O L U S I A.

Ktożby nie kochał oyca, a jeszcze takiego!

M I Ł O S K I.

Trzeba kochać oyca, ale i kogoś jeszcze.

P O L U S I A.

Mój oyciec powiadał mi, że tego, którego ja kochać mam, on sam piérwéy kochać powinien, a potém mi go kochać pozwoli.

S T A T E C K I.

Trzymay się rady oyca, a nie zbłądzisz.

S C E N A VIII.

Ciż sami, GROŻNICKI I SZYMON.

G R O Ż N I C K I.

Otoż jest i Szymon na rozkaz pański wypuszczony.

P O L U S I A *(biegnie do oyca, i ściska go).*

My znowu razem! a to ci obadwa panowie mieli litość nad nami.

M I Ł O S K I.

Kazałem cię wypuścić moje dziecię, ale staray się o wypłacenie tego podatku. Poczekają ci go nawet do jakiegoś czasu.

S Z Y M O N.

Dziękuję panom, dziękuję, i będę wdzięczny póki żywy, że unikam obelgi, a może i śmierci.

S T A T E C K I.

Bądź już spokojniejszy Szymonie, masz sprawę z panem miłosiernym. Skończy się to jakoś.

S Z Y M O N.

Oby to zawsze z samemi panami, ale...

G R O Ź N I C K I.

Jużem kazał twojey córce, aby tę odzież swoję odniosła do domu, którą na wypłacenie za podatek niepotrzebnie przyniosła była.

S Z Y M O N (*ściskając Polusię*).

O moja kochana córko! ty chciałaś się zostać o jednéj koszuli, żeby mnie tylko z więzienia wydobyć. Tak moje dziecię, tak! suknie się zedrą, a twoja cnota zostanie. Gdyby nie to dziecko panno-
wie, nie dbałbym o to życie nieszczęśliwe.

M I Ł O S K I.

Dbay Szymonie o siebie, i o tę pocziwą Polusię; ty przy niej możesz być jeszcze szczęśliwy.

P O L U S I A.

Ja to panowie, przy moim oycu szczęśliwa!
Czasem jeden kawałek chleba na całą wieczerzą mamy,
ale kiedy mój oyciec sam mi go poda, i sam
go trochę posoli, jakże smaczny!

S T A T E C K I (na boku).

O jakże ich prawdziwe szczęście mało kosztuje!

S Z Y M O N.

Nauczyłem jéy, że ubóstwo przy cnocie nie jest
nieszczęściem. Ale pójdźmy Polusiu do domu, za-
bierz te twoje łachmany, kiedy panowie pozwalają.
Będę się starał zaspokoić skarb pański nayprędzéy,
jak zmogę, byle mnie nie karano o to, czego nie
mogę. (*Wychodzą kłaniając się.*)

M I Ł O S K I.

Cóż to za osobliwa dziewczyna! jakiż ma czy-
sty rozum i serce czułe!

S T A T E C K I.

Ale i oyciec jéy człek widzę jakiś cnotliwy.

G R O Ź N I C K I.

Gdyby nie był tak zuchwały, jak jest. To
prawda, że dobrze z sąsiadami żyje, i w zwad-
kach we wsi on nayprędzéy zakłóconych pogodzi.

Od dawna na czynszu siedzi, i kiedyś, jak mówią, miał się nie źle, ale teraz się opuścić, i tylko burczy, a nic nie robi.

S T A T E C K I.

Jakże ma pracować w tym wieku?

(Kuchmistrz wchodzi).

On a servi Monseigneur. (Wychodzą wszyscy).

A K T III.

S C E N A I.

M I Ł O S K I, G R O Ź N I C K A.

M I Ł O S K I.

Moja pani Groźnicka, wszystko rób, co tylko można, byle jako tę dziewczynę namówić, żeby zemną jechała do Warszawy.

G R O Ź N I C K A.

Z Polusią może byłoby łatwiej, ale z Szymonem zapewne ciężko nam przyydzie.

M I Ł O S K I.

Byleby Polusia sama chciała, ja z nią ztąd jutro wyjadę, a potem dopiero Szymonowi powieździeli-

yście, i assygnacyą moję pokazali na zapłcenie za
jego podatku, i na ordynaryą do jego śmierci.

G R O Ż N I C K A.

Pan nie zna jeszcze Szymona. On tak wierzy
w cnotę, że nic go nie pocieszy po stracie córki; i
przyznam się panu, w takim się domu wycho-
wałam, gdzie tak o cnocie myślano, jak on.

M I Ł O S K I.

To mu powiecie, że ja tylko wziąłem Polusię
tego, żem widział dziewczynę przystoyną, a
posobną do przyjęcia edukacyi w Warszawie.
Świecić go w tém, że ja chcę szczęścia jego dzie-
cięcia. Nauczy się języków, tańcu, grać na kła-
wikorcie; a przy tym rozumie naturalnym, który
ma, znajdzie się pewnie słuszny jaki człowiek, który
i Szymona uszczęśliwi; i WPani sama wierz mi,
to się tak skończy.

G R O Ż N I C K A.

Jeżeli tak się ma skończyć, toby lepiej 'może
powiedzieć Szymonowi, niechby to z jego było wia-
domością; bo się boję, żeby starzec z żalu nie
umarł, kiedy to zrobimy pokryjomu.

M I Ł O S K I.

Wszelako ponieważ on jest skrupulat, lepiej
mu o tém powiedzieć po naszym wyjeździe. Bo

coż ja się na koniec z moim chłopem mam kłócić? Wszakże on za mną gnać nie będzie, kiedy wyjadę z Polusią.

G R O Ź N I C K A.

Kiedy pan chce jęć uszczęśliwienia, czyżby nie lepiej było, żeby ją tu wydać za Barteckiego?

M I Ł O S K I.

Za jakiego Barteckiego?

G R O Ź N I C K A.

Jest to pisarz mego męża, człek trzeźwy, statkujący i starowny. On Polusię kocha, i już mówił memu mężowi o tém. Stary i dziewczyna niebardzo pociągają, ale jak się pan włoży, to do razu skończyć się może.

M I Ł O S K I.

Ale ja nie chcę, żeby Polusia była panią Bartecką; lepiej o niej myślę, i ten głupi oyciec jęć nie będzie się spodziéwać, jakiego męża dla córki jego wynaleźć mogę. Dlatego nawet lepiej byłoby, żebym z nią ztąd wyjechał, aby tu Szymon za kogo ją marnie nie wydał. Moja Groźnicka, zrobię dla Polusi tę przysługę, obaczysz, jak ja za nią będę ci wdzięczny. A tym czasem przyymiy odemnie tę bagatelę. (*Daje pieniądze Groźnickiej*).

G R O Ź N I C K A.

Dziękuję panu, upadam do stóp, całuję nogi.

M I Ł O S K I.

Będzie i więcéy, bylebyś WPani robiła skutecznie. (*Miłoski wychodzi*).

S C E N A II.

G R O Ź N I C K A sama (*rachuje Czerw. Złote*).

Dziesięć Czerwonych Złotych, czyni złotych!.. Czyni złotych!.. Czyni złotych sto osimdziesiąt! Mój mąż za cały rok tyle nie wysłuży, co ja za kwadrans. - Dobryż to pan widzę, dobry! Co mnie to kosztuje, że Polusia z panem pojedzie? a jeszcze w dobry sposób, jak pan obiecuje; a jeszcze kiedy pan chce jéy szczęścia, jak powiada; zacoż ja nie mam usłużyć. Trzeba sobie najpiérwéy ująć Polusię. Ona mi to daruje, żem ją z izby niedawno wytrąciła; i ta dziewczyna będzie zapewne wdzięczna kiedy ją zrobię szczęśliwą. Pan obiecuje łaski, Polusia będzie mnie panu przypominać, aż tu za kilka lat wielmożna Imość pani Groźnicka, w robronach, w polonezach, siedzi w pierwszém ławce w kościele, a lokay za nią, a książka w srebro oprawna przed nią, a xiądz po mszy z patyną idzie do niey przez cały kościół.

S C E N A III.

G R O Ź N I C K A , B A R T E C K I .

G R O Ź N I C K A .

Właśnie też trzeba mi było kogoś.

B A R T E C K I .

Właśnie też i ja potrzebny łaski WPani, przyszedłem.

G R O Ź N I C K A .

Żebyś mi tu panie Bartecki, jak najprędzėj Polusi zawołał.

B A R T E C K I .

O Polusięc to i mnie chodzi. Ale ona jest tu teraz na folwarku; przyszła pożyczać chleba u gospodyni, i przyydzie do WPani w momencie. Zmiłuy się, mościa pani Groźnicka, ratuy mnie nieśczęśliwego, mów za mną z Polusią. Ona możeby poszła za mnie, ale ślepo za wolą oycy idzie. Jeszcze mi powiadano, że naszemu panu bardzo się Polusia podobała; czy nie możnaby skończyć prędzėj, niżeli mu się bardziey jeszcze spodoba.

G R O Ź N I C K A .

Będzie to jakoś. Ale biegay mi po nią; niechay mi tu zaraz przychodzi. (*Bartecki wychodzi*);

Biedny on! coś się tylko domyśla, ale nie wie, co jego Polusię czeka!... przecież trzeba usłużyć panu, w którego rękę sukcesa moje.... Dziewczyna może się będzie sprzeciwiać, ale cacką, papką, ukolyszemy ją, choćby mi przyszło dać jéy połowę tych pieniędzy, które wzięłam od pana; bo mi się to potem dobrze nagrodzi!... Ale spodziewam się, że i sam pan nie będzie dla niey skapy; kiedy dla mnie tak hoynym był.

S C E N A IV.

G R O Ź N I C K A , P O L U S I A :

G R O Ź N I C K A.

Jak się masz Polusiu? zapewne kontenta jesteś, że ci oycą wypuszczono? Ja sama mówiłam panu, jak Szymon człek jest pocziwy, a nieszczęśliwy, że podupadł. Potem pan obaczył go, i kazał wypuścić z więzienia.

P O L U S I A :

Dziękuję WPani, żeś mówiła dobrze o oycu moim. I choć to mnie WPani niedawno z izby wytrąciła, ja tego nie pamiętam; bo wiem, żeś tyle razy oycą mego u pana Groźnickiego wypraszała.

G R O Ź N I C K A.

Otóż widzisz, otóż widzisz; i oycę twojego lubię, i jeszcze o tobie myślę. O! byleś ty chciała, Polusiu, bardzo będziesz szczęśliwą!

P O L U S I A.

Ja za Barteckiego nie pójdę, bo oyciec mój wiele ma do niego.

G R O Ź N I C K A.

Już to nie o Barteckiego chodzi. Ty niebogo siedzisz we wsi, i nie znasz świata; tylko tyle, coś go w oknie widziała. Gdybyś ty była w Warszawie, wyglądałabyś inaczej.

P O L U S I A.

Jakże ja mam się dostać do Warszawy? Mój oyciec piechotą nie dójdzie, a konia żadnego nie mamy.

G R O Ź N I C K A.

Mogłabyś pojechać cudzemi końmi, gdybyś chciała.

P O L U S I A.

Ja nie chcę jechać do Warszawy końmi Barteckiego.

G R O Ź N I C K A.

Jużem ci powiedziała, moja Polusiu, że Bar-tecki nic wcale do tego nie należy. Otóż ci wyja-wię wszystko. Nasz pan gadał zemną niedawno bardzo dobrze o tobie. Chwalił cię, chwalił; a potém dodał: że gdyby tę dziewczynę nauczyć języ-ków, grać na klawikorcie, i tańcować, zrobiłaby szczęście dla siebie, i dla oycy swego w Warszawie. Jam panu zaraz padła do nóg, i za tobą prosiła, żeby cię poratował sierotę; a on mi odpowiedział: że to bydz może. Polusiu! Polusiu! jakżebyś ty była szczęśliwą.

P O L U S I A.

A oyciec mój czyżby pojechał z nami do War-szawy?

G R O Ź N I C K A.

Na cóż Szymona do Warszawy? Jemu się już nie trzeba edukować.

P O L U S I A.

Ja też bez oycy nigdybym nie pojechała, choćby mnie tam największe szczęście czekało. Któżby mu tu białe koszule dawał, i dbał o wygodę jego, jak ja dbam o to.

G R O Ż N I C K A.

Pan, kiedy ci tę łaskę zrobi, to zapewne i o
oycu pamiętać będzie. Wyznaczy mu ordynaryą, i
bez pracy będzie jadł chleb Szymon na starość.

P O L U S I A.

Cudzę ręce, mościa pani, nie tak szczere, jak
moje.

G R O Ż N I C K A.

Ja wszystko na siebie biorę; że twój oyciec,
choćby cię nie było, będzie miał wygody lepsze,
jak może nigdy w swoim życiu nie miał. Chy-
babyś rozumu moje dziecię nie miała, żebyś łaską
pańską gardziła.

S C E N A V.

MIŁOSKI, GROŻNICKA, POLUSIA.

M I Ł O S K I.

Cóż to tu robisz Polusiu?

P O L U S I U.

Przyszłam na folwark pożyczyć chleba, i pani
Groźnicka do siebie mnie zawołała.

M I Ł O S K I.

Alboż to w domu nie macie chleba?

P O L U S I A.

Jutro dopiero będę go piekła, bo mój oyciec teraz inszéry gospodyni nie ma.

M I Ł O S K I.

O ty piękna gospodyni! (*bierze ją za ramiona dwoma rękami*), jakżeby ci przystoynicy daleko siedzieć przy gotówalni, niżeli chleb piekąc przy piecu! Gadałaż co z tobą pani Groźnicka, jak ja o tobie myślę?

P O L U S I A (*ręce zacierając, i w ziemię patrząc*).

Nie mogę oyca odstąpić do śmierci. On (jak powiada) w starości swojéy i ubóstwie mnie jedną ma pociechę koło siebie. Jakże go porzucać mam? możeby umarł z tęsknoty.

M I Ł O S K I.

Ty będziesz szczęśliwą, i razem oyca uszczęśliwisz, jeżeli za naszą radą póydziesz.

P O L U S I A.

Ja nie mogę bydz szczęśliwszą, jak już jestem przy moim oyca.

M I Ł O S K I (*dobywa pieniędzy, i daje Polusi*).

Weź to Polusiu, to tylko dla ciebie. Oycu tego nie pokazuy. Osobno znowu Szymonowi i

podatek daruję, i jeszcze mu co pieniędzy dla wygody jego zostawię. Odbierzże moja Polusiu to, co ci daję.

P O L U S I A.

Zacóż mam brać pieniądze, kiedym ich nie wysłużyła?

G R O Ź N I C K A.

Pan ci z łaski daje; a powinnażeś gardzić łaską pańską? Weź moja Polusiu, weź; to ci się przyda, a panu się nie narażay. (*Polusia odbiera, Miłoski ją ściska*).

M I Ł O S K I.

Dobrze dziecię! cóż? pojedziesz do Warszawy?

P O L U S I A.

Chybaby sam oyciec mi kazał, tobym go usłu chać musiała.

G R O Ź N I C K A.

Pan więcéy niż oyciec. Słuchay ty pana Polusiu. (*Bartecki wchodzi. Groźnicka biorąc za rękę Polusię, i wychodząc*). Chodźże do mnie Polusiu, dam ci co do przędzenia.

S C E N A VI.

M I Ł O S K I, B A R T E C K I.

M I Ł O S K I.

Któż ty jesteś, mój bracie?

B A R T E C K I.

Jestem Bartecki, pisarz pana Groźnickiego.

M I Ł O S K I.

Czego ty się tu włóczysz?

B A R T E C K I.

Za interessami, panie dobrodzieju!

M I Ł O S K I.

Wszakże tu nie masz pana Groźnickiego?

B A R T E C K I.

Ja miałem pilny interes do saméj pani Groźnickiej.

M I Ł O S K I.

Pilnuy twoich papierów, a w insze się interessa nie wdaway. (*Wychodzi*).

B A R T E C K I.

Otóż masz Bartecki twoje gody; jam się tego spodziewał. Pani Groźnicka, miasto tego, żeby

mi pomódz u Polusi, ona jeszcze miała powiedzieć przed panem, że ja się staram o tę dziewczynę, znać to dlatego pan tak się na mnie ofuknął. Już to nie bez przyczyny! Pan, pani Groźnicka, i Polusia razem!... Już to nie bez przyczyny!... Dobrze tak Szymonowi, dobrze, drożył się z nią; a teraz ubiorą Polusię w czuby, ale będzie daleko tańsza.

S C E N A VII.

B A R T E C K I, S Z Y M O N.

S Z Y M O N.

Czy nie widziałeś tu panie Bartecki, moję Polusi?

B A R T E C K I.

Była dopiero, i wyszła z panią Groźnicką;

S Z Y M O N.

Poszła pożyczyć chleba, i tak dawno bawi się, a tu dworskich tyle, żeby mi dziewczyny nie zbałamucili.

B A R T E C K I.

Jeszczeby to nic, żeby to tylko dworscy; ale...

S Z Y M O N.

Cóż ale?

B A R T E C K I.

Ale, bo mnie wydacie.

S Z Y M O N.

Zapewne nie wydam; wiecie Bartecki, że ja lubię słowa dotrzymać. Powiedźże mi, co to jest?

B A R T E C K I.

Oto panu naszemu bardzo się Polusia podobała, i już zapewne pani Groźnicka jest w zмовie z panem, bo zawołała Polusi, i zastałem tu potem razem pana, panią Groźnicką i Polusię. Jak wszedłem, pani Groźnicka nie wiem gdzie Polusię poprowadziła, a pan zaraz za niemi wyszedł.

S Z Y M O N.

Jeszczeżby mi tego nie dostawało!

B A R T E C K I.

Panie Szymonie! oto czas szczęścia mojego. Day mi Polusię, a pan mi zapewne żony nie odbierze.

S Z Y M O N.

Wszakże na to ja jeden odpowiadać nie mogę, chybaży z córką razem. Ale gdzież ona teraz? gdzie ona? Natożem dożył téy starości, żebym ją zhańbioną do grobu poniosł? Móý Boże! ty na mnie zdaleś opiekę dziecięcia mego!... Kiedy ja

go teraz ratować nie mogę, ty go poratuj, bo możesz!... Nacóżes mi to powiedział panie Bartecki! Może ja próżno się smucę! Moja Polusia cnotliwa! Pan nawet powinienby cnotę szanować. (*Polusia wpada udyszona*).

S C E N A VIII.

S Z Y M O N, P O L U S I A, B A R T E C K I.

B A R T E C K I.

Otoż i Polusia!

P O L U S I A (*w pół ściskając oycę*).

O już też teraz nie rozłączą nas z sobą!

S Z Y M O N.

Cóż to Polusiu: cóż to?

P O L U S I A.

Chciano, żebym cię tatuniu porzuciła. Ale gdyby mi przyszło życie tracić.

S Z Y M O N.

Cóż to się stało?

P O L U S I A.

Pani Groźnicka naprzód mi radziła, żebymjechała do Warszawy, gdzie miało mnie jakoweś szczęście spotkać. Potém nadszedł sam pan, i toż

samo mi radził; potem mi dał pieniądze, potem mnie ścisnął, potem pani Groźnicka wzięła mnie za rękę, i wyprowadziła z izby.

B A R T E C K I.

Co to to prawda, ja byłem przy tém.

S Z Y M O N.

Ale nie przeszkadzajcież panie Bartecki. Cóż dalej moje dziecię?

B A R T E C K I.

Obiecała Polusi dać na przędzę.

S Z Y M O N.

Ale proszę panie Bartecki, niechże sama Polusia mówi.

P O L U S I A.

Jak mnie wyprowadziła z izby, weszłam za nią do jakiegoś alkierza, w którym nikogo nie było. Potem pani Groźnicka powiedziała mi, żebym nie tęskniła, że musi wyjść trochę. Potem wyszła, i słyszałam, że drzwi za sobą na klucz zamknęła. Złękałam się téj niewoli!

B A R T E C K I.

Jakże mi cię żal Polusiu! Izy się mi w oczach kręca.

S Z Y M O N.

Ale już prosiłem, panie Bartecki, niechże ona sama dokończy.

P O L U S I A.

Potém mi przyszło na pamięć, że mnie do téj nieszczęśliwéj Warszawy namawiali.

B A R T E C K I.

Dałabyś sobie Polusiu!

P O L U S I A.

Otoż strach mnie jeszcze większy ogarnął, żeby mnie cicho nie wzięli, i nie pożegnawszy się nawet z tatuniem, do Warszawy nie uwieźli.

B A R T E C K I.

Było wołać gwałtu! gwałtu!

S z y m o n.

Ależ proszę, panie Bartecki.

P O L U S I A.

Pobiegłam potém ku oknu, i otworzywszy je, uciekłam szczęśliwie. Brońże mnie mój tatuniu, niech mię do téj Warszawy nie biorą.

S z y m o n.

A pieniądze, które ci pan dał, gdzieżeś podziła?

P O L U S I A.

Oto są w garści wszystkie, bo w tym strachu, w jakim byłam, nawet mi je schować nie przyszło.

B A R T E C K I.

Pokaż Polusiu, niech porachujemy, wiele też ci pan dał pieniędzy?

S Z Y M O N.

Ale na cóż do smutku tego rachowania! (*odbiera Szymon pieniądze od Polusi*).

S C E N A IX.

Ciż sami, STATECKI I GROŹNICKI.

S T A T E C K I.

Cóż to ci Szymonie?.. Cóż to ci Polusiu? żeście tak pomięszani?

S Z Y M O N.

Nieszczęście, jak się gdzie wnęci, jedno po drugim przychodzi.

B A R T E C K I.

To poszło o Polusię, panie dobrodzieju!

G R O Ź N I C K I.

Cóż się miało stać Polusi?

S Z Y M O N.

Żona W Pana wie lepiej o wszystkim.

S T A T E C K I.

Ale cóż to przecię Szymonie?

S Z Y M O N.

Ktokolwiek W Pan jesteś mospanie, poznałem, żeś człowiek poczciwy. Na tę cnotę, którą zapewne kochasz, zaklinam W Pana, żebyś mnie jako przyjaciela pański przed panem wspierał.

S T A T E C K I.

Czegoż to potrzebujesz od pana Miłoskiego?

S Z Y M O N.

Żeby mi nie brał tego, czego mi nie dał; a co wzięwszy, nagrodzić mi już nie może. Oto przez panią Groźnicką namawiał mi Polusię, ażeby mnie w starości porzuciwszy, do Warszawy z panem jechała. Oto dał jęý nawet pieniądze. Potém ją po ciemnych alkierzach prowadzono, skąd szczęściem oknem uciekła do mnie. Czyliż ja zazdroszczę panom ich majątków? W chacie mojęý ubogiej oglądam się około siebie, i nic w nędzy ostatniej nie widzę, prócz cnoty nieskażonęý dziecięcia mego, za-cóż mi tę jedną w życiu pociechę wydzierać?

S C E N A *ostatnia.*

MIŁOSKI, STATECKI, GROŹNICKI, GROŹNICKA,
SZYMON, POLUSIA, BARTECKI.

M I Ł O S K I.

Czego ty spleśniały dziadu, zabraniasz szczęścia twojęý Polusi?

S Z Y M O N.

Czemuż pan obelgę nazywa szczęściem?

M I Ł O S K I.

Milcz chłopie. Mój panie Groźnicki, jakaż to zuchwałość?

S T A T E C K I.

Ale mospanie Miłoski, daruy Szymonowi, on to z żalu powiedział. (*Statecki trzyma za rękę Miłoskiego*).

G R O Ź N I C K I.

A ja mówiłem panom, że to Cham nad Chamami.

S Z Y M O N.

Mospanie Groźnicki, ja teraz do pana gadam, nie do waszeci. Daruy mi panie; ale niegodziło mi się téy krzywdy robić, i dziecię moje bałamucić. Oto te pieniądze, które odebrałem od Polusi, świadkiem są myśli pańskich na ohydę moję. Oddaję je całkiem; u nas tu nie tak, jak w miastach, gdzie za złoto cnotę sprzedają.

M I Ł O S K I.

Pókiż on mi to kazanie gadać będzie! w co ty chłopie dufasz?

S Z Y M O N.

Dufam w to, żem taki człowiek jak i pan; a jestem ukrzywdzony.

G R O Ź N I C K A.

Wéy, wéy, on się już z panem porównał!

M I Ł O S K I.

Krew niepoczciwa! ze mnie masz, że wyżyć możesz, a tak jesteś niewdzięczny i zuchwały!

S Z Y M O N.

Nie W Pana powietrzem oddycham, ani mię
W Pana słońce ogrzewa.

G R O Ź N I C K I.

Hamanów, hamanów; zaraz skończy się wszystko.

M I Ł O S K I.

A ja ci, chłopie, dalej nie wytrzymam.

S T A T E C K I.

Hamuy się W Pan, mówi śmiało, bo mówi w
dobrej sprawie.

M I Ł O S K I.

Z pod rożeg mi dziadu nie wstaniesz, a wszę-
lako Polusię wezmę, i zrobię ją gwałtem szczęśliwą.
Poznasz chłopie, co to ze swoim panem wojować.

B A R T E C K I *(na boku do Polusi)*.

Uciekaj zemną Polusiu do spichlerza.

P O L U S I A.

Ja się ciebie tatuniu nie puszczę. Niech i mnie
razem wraz z tobą karzą.

S Z Y M O N.

Jeżeli już do tego przychodzić ma, że mi gwał-
tem własne moje dziecię wydzierać chcą: równy
W Panu jestem mospanie, i téj krzywdy bezkarnie
uczynić mi nie można.

M I Ł O S K I.

Cóż to on gada?

S T A T E C K I.

Nie rozumiem; ale niech mówi dalej.

S z y m o n.

Tailem się dotąd z urodzeniem mojem będąc w ostatniem ubóstwie. Bo na co przyznawać się do szlachectwa, kiedy go czém utrzymać nie można było? Nie powiadałem nawet tego temu dziecięciu, żeby może wbiwszy się w pychę, nie zaniedbywało krwawo pracować rękami swemi, które je wyżywić mogą. I czego na mnie pogardy ludzkie, szturkania, i czasem bicia nie wymogły, to wymaga gwałtownocie i prawu memu nad dziecięciem uczyniony. Oyciec mój marnie potracił majątności, dwóch synów w nędzy zostawiwszy. Jan starszy, że umiał czytać i pisać, udał się na świat, i pewnie szczęśliwszym jest; ja młodszy we dwunastym roku nie nieumiejąc, porzuciłem nędzę domową, i szukałem nędzy po cudzych kątach. W dalekiej stronie od nikogo nieznany, z równie ubogą, jak ja szlachcianką pozeniwszy się, zatęskniłem do kraju, w którym się kiedyś urodziłem. Przyszedłem potem do téj wsi, i w niej osiadłem; bo miło mi było przynajmniej patrzeć na te rzeki i łąki, które mnie tu kiedyś w dzieciństwie mojem bawiły. Tak jest; oyciec mój był panem tych wszystkich wiosek, w których się WPan teraz rozpościerasz. Jestem Szymon Statecki, drugi synu Jakóba Stateckiego.

S T A T E C K I.

Cóż to ja słyszę?

M I Ł O S K I.

Bydźże to może, mości panie Statecki?

S T A T E C K I.

Tak ma być zapewne; bo i oyciec mój to mi wszystko powiadał, nie nie wiedząc, gdzieby się brat jego Szymon znajdował. (*Statecki obróciwszy się do Szymona*). Oyciec mój, a brat twój, Jan Statecki, już mnie odumarkł. Ty na miejscu jego, jak jesteś stryjem, tak bądź i oycem moim. Nie odraża mnie ta nędzna siermięga, w którą cię widzę; i owszem ta cnota, którą w tobie znalazłem, chluba jest dla mnie. Masz Polusiu we mnie brata twojego, który dzieląc z wami to słodkie imię, będę razem i dom, i cały mój majątek dzielił.

S Z Y M O N.

O Boże! cóż ze mną robisz? Nie tak ja ci służyłem, nie tak, żebyś mi tak wielką w życiu pociechą nagradzać miał. (*Szymon ściska Stateckiego, a Polusia go w ręce całuje*).

S T A T E C K I.

Nie całuj mię w ręce Polusiu, wszakże ja twój brat.

M I Ł O S K I.

Kiedy wy tak szczęśliwi jesteście, ja zostałem się na boku zawstydzony, że dziad mój oycu twojemu Szymonie, w wydarciu dóbr tych krzywdę uczynił, a ja tobie samemu, chcąc ci uwieść Polusię, uczynić chciałem. Nagrodzę to, jeżeli się wam wdawać będzie, pojęciem w czasie za żonę cnotliwéj Polusi. Już się Polusiu z oycem twym nie rozłączysz; sprowadzę tu ludzi, którzyby cię języków i wszystkiego co należy do przystoynéj edukacyi, nauczyl; ale ty z oycem twoim cnoty mnie uczyć będziesz.

G R O Ź N I C K I.

Daruy mi WPan mospanie Szymonie, jeżeli mu się kiedy naraziłem. Ale nie masz złego, żeby na dobre nie wyszło. Gdybym był WPana nie wziął do więzienia za podatek, nie przyszłoby było do tego, co się teraz stało.

S Z Y M O N.

Co było, to już minęło. Wszelako na potem lepiej się WPan obchodź z biédnemi poddanemi. Oni są ludźmi, bądźże WPan dla nich człowiekiem. Im to na dobre nie wyydzie tak, jak mnie wyszło; bo już drugiego Stateckiego we wsi nie masz.

G R O Ź N I C K A.

I mnie też daruy WPan, panie Szymonie!

S Z Y M O N.

WPani trudnięć darować, ale należy darować wszystkim.

B A R T E C K I *(podniosłszy głos)*.

Jako cynozura na Empireyskiem niebie.

M I Ł O S K I.

Ale milcz tam z tą twoją oracyą.

S T A T E C K I.

Niechże on skończy. Na cóż go jednego zasmucać, kiedy my się wszyscy cieszymy!

B A R T E C K I.

Jam to chciał powiedzieć gładzcy, ale mi już z głowy wypadło, że trzeba każdemu z nas pocziwym bydź; bo panna Apolonia i pan Szymon dlatego przyszli do szczęścia, że byli cnotliwemi w ubóstwie.

P O L U S I A.

Dobrze powiedział Bartecki, bo i oyciec mój często mi to samo przypominał: „Polusiu! bądź pocziwą, a będziesz szczęśliwą.“

K O N I E C K O M E D Y I.

ALCESTA,
KROLOWA TESSALII.
OPERA
W JEDNYM AKCIE.

O S O B Y.

ADMET, Król Tessalii.

ALCESTA, Królowa Tessalii.

DZIECI Królewskich dwoje.

NIEZNAJOMY potém poznany, HERKULES.

IDMON, Kapłan.

IZMENA, poufała królowéy.

CHIRON, Lekarz.

Scena w Pałacu Admeta.

ALCESTA OPERA.

AKT JEDEN.

SCENA I.

ALCESTA, IZMENA.

ALCESTA.

Kiedy już ukochany mój król i mąż Admet ciężką chorobą dogorywa, i wszystkie leki są nieużytecznymi, posłałam wczora kapłana, ażeby jeszcze wyroczeni bogów radził się, jakby cię, najmilszy mi zawsze Admecie, w życiu utrzymać. Albo, jeżeli tego nie można, toby lepiej razem z tobą umierać,

IZMENA.

Admet czcił bogów, i kochał jak dzieci swoje poddanych; a bogowie są sprawiedliwemi; i zapewne dadzą mu życie, ażeby dłużej na ziemi cieszył żonę i dzieci, i był przykładem królom.

ALCESTA.

A zacoż cierpi chorując Admet? Będąc tak bogom ukochanym, jak wart jest, czemuż go karzą

tak ciężko, jak gdyby naybardziej zasłużył? On jeszcze coś mówić może; ale tylko mnie ciesząc czasem przemówi; a potem jęczy.

I Z M E N A.

Chiron ma wielką ziół znajomość, i dar leczenia, może on jeszcze króla poratuje.

A L C E S T A.

Ja wierzę; że bogowie lepiej nieskończenie umieją leczyć nad Chirona, i dlatego do bogów się udałam. Ale gdyby też już ta ostatnia była choroba Admetowa? . . .

(Siada wzdychając i śpiewa).

Takiego ciężaru pewnie

Siła moja nie poruszy.

Umrę płacząc za nim rzewnie;

On jest duszą mojęj duszy.

Mężu! cóż mi ludzie mogą

W zamianę oddać za ciebie?

Bardzo mię kosztujesz drogo:

Oto ja ci dałam siebie! . . .

On ma cnoty, miłość ludzi,

Wesprzeć potrzebnych ochoczy;

Dobra go sprawa nie strudzi,

Ma piękne serce, i oczy.

S C E N A II.

IDMON KAPŁAN, I CIŻ SAMI.

IDMON.

Na ofiarę z woli twojéj nakazaną, lud mnogi
 yczora zgromadził się; po niey, według wszystkich
 brządków wypełnionéy, pytane orakulum Apollina
 mutną odpowiedź dało.

ALCESTA.

Jakże? to pewnie Admet umierać musi?

IDMON.

Żyćby mógł, gdyby kto za niego chciał umrzeć
 dobrowolnie. I tak wyraźnie wyrocznia odpo-
 wiedziała.

ALCESTA.

Cóż na to lud tylą łaskami od króla obsypany?
 Polidor, Palemon, Eteokles, od śmierci zasło-
 nieni piersiami Admeta przyjaciele?

IDMON.

Po usłyszanéy téy odpowiedzi Apollina głębokie
 milczenie nastąpiło; a potem zgromadzenie całe do
 domów powróciło, żałując tylko Admeta.

ALCESTA.

Dokazaliście swego bogowie, szczęścia mojego
 zazdrośni! . . .

S C E N A III.

C I Ę S A M I, I D Z I E C I D W O J E.

D Z I E C I.

Mamo! Papa nasz umiera; już wszyscy mówią, że umiera.

A L C E S T A.

Na cóż ja żyję? . . . Izmeno trzymay tu dzieci, niech oycy i mnie nie rozrzewniają. (*Wybiega do Admeta*).

S C E N A IV.

I D M O N, I Z M E N A, D Z I E C I.

I Z M E N A.

Idmonie! może jeszcze znajdzie się przyjaciel jaki, który za Admeta na śmierć póydzie. Wszakże bogowie napróżnoby takiego zakładu nie położyli! Pewnie będzie który, jeden ze trzech wspomnionych od królowy.

I D M O N.

Byli przytomnemi wszyscy trzhey, ale żadnego wzruszenia znaku, umyślnie na nich patrząc, nie widziałem. Potrzeba duszy mocnéy, żeby ktoś, niechcąc cierpieć swojego nieszczęścia, życie sobie odebrał. Cóż dopiero, żeby kto sam się dobrowolnie zabijał, cudze życie swojém zastępując.

S C E N A V.

C I Ż S A M I I A L C E S T A.

A L C E S T A.

Kapłanie! jest pod pałacem przepaść w rozdar-
tęj skale, w której dawniej już kilku się rozpa-
czających dla marnych pobudek pograżyło. Admet
dogorywa, jeżeli prędko nikt za niego, według
wyroku bogów, na śmierć ofiarować się nie będzie.
on wkrótce umrze. Kocham cię Admecie!... Ja
za twoją głowę, moją poświęcam. Prowadź mię
kapłanie do miejsca, i mów słowa uroczyste poświę-
cających się na śmierć.

I D M O N.

Poczekaj Alcesto! może jeszcze kto znajdzie
się inszy, który cię wyręczy. Stawa wyroczni da-
leko rozeydzie się po Tessalii, tyle winny cnotli-
wemu Admetowi.

I Z M E N A.

Może bogowie serca twojego szczerością tknięci,
chcę twoją przyymą za ofiarę; i dadzą życie Ad-
metowi.

A L C E S T A.

Bogowie wydali wyrok, i bluźni, kto mówi,
żeby go odmienić mogli. Izmeno! te moje dzieci;

zostające się; będzie kochał dla pamięci mojej Admet, ty dla przyjaźni, nie odstępuy ich; i bądź im na mieyscu mojem matką. Kapłanie! słuchay bogów; oto masz ofiarę dobrowolną. Idźmy do przepaści. Inaczey, jeżeli tym czasem umrze Admet, ty go opóźnieniem twojem zabijesz; a ja prócz tego, po zgonie jego nie wyżyję! . .

IDMON *(otwierając drzwi ku przepaści,
Alcestę ku niej biegnącą zatrzymuje).*

Nie opóźnisz się królowo. Bogowie to widzą, że się chcesz nie opóźnić; i dosyć na tém.

A L C E S T A.

Dzieci moje ukochane! Kiedy mnic już jutro nie będzie, tę miłość którąście mnie kochali, złączcie razem z miłością, którą Admeta oycza kochacie; tak mocniej od was napotém będzie kochanym.

D Z I E C I.

Mamo! my ciebie i jutro kochać chcemy.
(Chwytają się dzieci odzienia matki, i płaczą).

A L C E S T A.

Idmonie! mam siłę umrzeć; ale nie mam siły te dzieci od siebie odtrącić. *(Idmon dzieci odrywa, jedno z nich oderwane).*

D Z I E C I Ę.

Kiedy tak, to ja za mamę i papę sam wskoczę
w przepaść.

I Z M E N A *(porywając toż dziecię).*

Otoż dobrowolna także ofiara! Dzieci dwoje, a
tyś u nas i Admeta jedna!

A L C E S T A.

Stóy, tyś nie była matką!... Ja na śmierć
dziecięcia mego nie puszcę.

D Z I E C I *(znowu matkę za suknię trzymając).*

I my cię mamó na śmierć nie puścimy, bo źle
bez matki.

I D M O N *(odrywając i trzymając oboje dzieci).*

Plutonie! za duszę Admeta, oto masz duszę
dobrowolnie się ofiarującą. A ty Jowiszu wszystko
najlepsze domowi królewskiemu zdarzay, ażeby
stracenie teraznieysze Alcesty, było mu ostatniem w
długiem napotém życiu nieszczęściem.

A L C E S T A *(wskakując w przepaść).*

Żyy Admecie.

S C E N A VI.

IDMON, IZMENA, DZIECI.

Po wskoczeniu w przepaść Alcesty i okrzyku żałosnym przytomnych:

I Z M E N A.

Już jéy nie masz!... Któraż żona więcéy kochała męża!.. Bogowie! Admet żyć będzie, żeby płakał.

I D M O N.

Cóż ma z tego Alcesta, że się zabiła za Admeta, kiedy jéy nie masz na ziemi? Ona przeciwko biegowi natury moment śmierci miała pewnie najsłodszy, bo myślała, że nim zapewniała życie Admetowe.

I Z M E N A:

Dzieci sieroty, po jakiejże wy matce zostajecie! Idmonie, bogowie powinni by mieć szczególniejsze staranie o tych sierotach; kiedy śmierci cnotliwéy Alcesty matki ich chcieli, będą winni przynajmniej dziećmi się opiekować.

I D M O N.

Jak jest tkliwym Admet, dzień każdy pewnie przypominać mu będzie Alcestę; i boję się ażeby z żalu nie chciał sobie ukrócić tego życia, które ona

mu dzisiay przedłużyła. Ciężki na niego zakład: on ten dar za największą karę poczyta.

D Z I E C I (płacząc).

Izmeno, to ty już naszą mamą! Pamiętaj, jaka była Alcesta!

I Z M E N A.

Nieszczęsne sieroty! Wy nie wiecie w tym wieku, jaką stratę ponieśliście; kochać was będę, jak można, ale jeszcze nie będę was tak kochać, jak matka.

S C E N A VII.

N I E Z N A J O M Y i Ciż sami.

N I E Z N A J O M Y.

Cóż to za smutek dom królewski napęłnił? Admet ze swojemi domownikami zawszeby się cieszyć powinien; bo jak jest cnotliwym, tak sami bogowie cieszą się nim, ile razy spoyrzą na ziemię.

I D M O N.

Był kiedyś szczęśliwym, ale bogowie nie chcieli jego śmierci, ażeby żył nigdy niepocieszony.

N I E Z N A J O M Y.

Cóż tedy stać się mogło, żeby albo przerobić, albo za szkodę, nową jaką pomyślnością Admeta pocieszyć nie można było?

I D M O N.

Król chorował na śmierć. Wyrocznia obiecała mu życie, jeżeliby kto dobrowolnie życie swoje za jego ofiarował. Kiedy nikogo nie widać było, Alcesta dopiero za męża w przepaść skoczyła.

N I E Z N A J O M Y.

O jakże długi cnót orszak tym ostatnim heroizmem zakończyła! I gdzież jest ta przepaść?

I D M O N.

Tuż zaraz pod pałacem.

N I E Z N A J O M Y.

Jestem przyjacielem króla, pójdę za tobą Alcesto. Tyś nie sama tylko kochała Admeta,

I D M O N.

Bogowie jednéj tylko żądali ofiary.

N I E Z N A J O M Y.

Ale Admet z Alcestą warci są drugiey. Ciebie, kapłanie, nie jestem potrzebny, ażebyś nademną słowa ostateczne odmawiał. Sam sobie i ofiarą będę, i kapłanem. Zostańcie tu wszyscy. *(Wychodzi we drzwi ku jaskini).*

S C E N A VIII.

I D M O N, I Z M E N A, D Z I E C I.

I D M O N.

Któż to będzie ten nieznajomy? Admet po świecie wielu miał przyjaciół!... Ale zacoż on uporem poszedł na śmierć, kiedy dla życia króla dosyć było jednéj Alcesty? Alcesto! jakżeś ty się pokwapila!...

I Z M E N A.

Może ten nieszczęśliwy nieznajomy, był przyjacielem królowy, i dotknął go los jęj.

I D M O N.

Coś nadzwyczajnego twarz jego okazywała. Ale czemuż on tak zuchwale mówić skończył, że sam sobie i kapłanem i ofiarą będzie! Pójdźmy do Admeta, jaki na nim śmierć jego Alcesty skutek zrobiła. O bogowie! oto on sam idzie.

S C E N A IX.

A D M E T, C H I R O N i Ciż sami.

A D M E T.

Jakażto moc nadprzyrodzona dźwiga mnie z grobu? ... czuję razem siły moje jak nigdy nie były krzepkie; i niemając już życia nadziei żadnej,

jeszcze wesoło witam cię słońce? Kiedy mocując się dopiero ze śmiercią myślałem, że w tych dniach w ziemi zwłoki moje zagrzebią, i trzykrotnym okrzykiem lud mój ukochany trupa mojego pożegna; ja jeszcze z wami dzieci moje, ja z tobą kapłanie cieszę się. Ale gdzież jest Alcesta! Niechże się i ona razem z nami ucieszy; bo nie może być zupełna szczęśliwość moja, kiedy jęj z nią nie podzielę. Czegoż smutni stoicie!... gdzież jest królowa?

I D M O N.

Była!....

A D M E T.

Ale gdzież teraz?

I D M O N.

Lepiej ci królu żebyś nie wiedział!

A D M E T.

Cokolwiek się stało: Ja chcę, ażeby mi powiedziano.

I D M O N.

Gdyby się była nie pokwapila, przyszedł nieznajomy nam jakiś z przyjaciół twoich, który okupując życie twoje, dobrowolnie się na śmierć ofiarował.

A D M E T.

Kapłanie, mów mi jasno, co się tu stać mogło?

I D M O N.

Alcesta o twoje zdrowie radziła się wyroczni bogów, i odpowiedź odebrawszy, że żyć będziesz, jeżeliby kto życie swoje za twojełożył; kiedy nikogo niewiadać było, a ty tym czasem dogorywałeś, królowa w przepaść bliską pałacu wskoczyła.

A D M E T.

O ja biedny!... zacóżes ją okrutny na tę ofiarę puścić?

I D M O N.

Kiedyś ty umierając nie mógł mi rozkazywać, słuchałem bogów, którzy kazali.

A D M E T.

O bogowie! czyż nie dosyć wam było zabić mi, jakiegoś jak słyszę, przyjaciela, za coś mi jeszcze i żonę zabiliście!... Alcesto! ja po tobie wyżyć nie mogę!.. Tanio, tanioś siebie oceniła!.. takiej żony życie droższe od mojego, którym się po niej został!.. Apellinie! ja twoja kiedyś gospoda! Ty w domu moim przebywałeś, u jednego ze mną stołu chleb jadłeś! takież mi to nagroda za gościnność moję dla ciebie, że mi żonę zabijasz?

Chytrzy bogowie! wyście wiedzieli, że Alcesta dla mnie w przepaść się pograży! . . . Na cóż mi to życie okropne pod takim zostawiacie zakładem? . . . Ale przepuść synu Latony! . . . Ja bluźnię przeciwko tobie! Ty mi jeszcze jak Niobie, te moje dzieci powystrzelasz! . . . (*Placze*).

I D M O N.

Hamuy żal królu! tém trapieniem się już twojéj szkody nie powrócisz.

A D M E T.

Właśnie teżto dlatego ja płaczę, że się moja Alcesta nie powróci.

C H I R O N.

Ale zdrowie twoje nadwerężasz, które bogowie na to, ażebyś je miał, cudem ci przywrócili.

A D M E T.

Właśnie teżto, wolę chorobę i śmierć samą, niżeli życie takie! Żalem gwałtownym i głodem dobrowolnym skrócę sobie te dni opłakane, które mi nieproszenie bogowie przedłużyli. Ale to będzie prędzéy. Kapłanie, idę do przepaści, w któręy pograżyła się Alcesta. Nie cudze mi życie jéy! Moje to życie zginęło! . . .

I D M O N.

Alceście pozwoliły wyroki pobiedz do śmierci;
ale ty w swojej drodze masz iść noga za nogą.
Tobie niewolno życia sobie wydzierać, kiedy Apollo
Alcesty życiem chciał twoje zabezpieczyć. Ona
słuchała wyroków, tybys słuchał rozpacz.

A D M E T *(po największych znakach rozpacz
siada i śpiewa).*

Ostatni rodzaj niedoli

Na człowieka zsyłasz Boże,

Kiedy śmierć nad życie woli,

A przecię umrzeć nie może!

Gdzie doyrzeć dobra wspólnego,

Gdzie rozdać robotę komu,

Dzisiem ją od ślubu mego

Pierwszy raz nie zastał w domu! . . .

Jam w niej żył, a ona we mnie,

Ja część tylko téj jednoty!

Jam się pozostał bezemnie,

Dzieci, i kąty sieroty! . .

Jedną widzę drogą chodzą

Czy nagroda, czy los srogi.

Razem mię dzisiay zawodzą

I me cnoty, i me bogi! . .

Potém Admet porywając się z żywością mówi.

Pójdę do jéy sypialni! niech mi więcéy przyczyniają żalu te mieysca smutne, w których zwyczajnie siadywała! może tam, prędzéy mnie smutek dobieje. *(Wychodzi).*

S C E N A X.

I Z M E N A, C H I R O N, D Z I E C I.

I Z M E N A.

Jakże to w okamgnieniu prawie Admet zrobił się czerstwym po śmiertelnéy chorobie swojéy!.. Bogowie dali mu zdrowie, żeby mocniej czuć stratę swoję.

C H I R O N.

Król, tak już był bliskim zgonu, żeśmy za niego modlitwy przeprawy śmierci do syna Mai odmówili. I kiedy na niego, jak na trupa już poglądamy, porwał się, i Alcesty zawołał. Potém, jak gdyby nigdy chorym nie był, szaty swoje podać każe, i sam się z pośpiechem ubiera, o kilku Tes-salczykach potrzebnych wsparcia, czyli już poratunek odebrali, pyta się; i jak gdyby wstał ze snu, Apollinowi krótkie modlitwy czyni.

I Z M E N A.

Błagał Apollina, który już w tenczas żonę mu zabił.

C H I R O N.

Jeszcze myślałem, że może obudzona gorączka skutki takie sprawiała; kiedy razem wszyscy przekonani byliśmy o zupełném zdrowiu jego gdy kilka urzędzeń w kraju, przytomnym niektórym z rady, rozsądnie jak i dawno czynić zaczął.

I Z M E N A.

Nie pamiętałeś co o swojey świeżey chorobie, albo o swojém nagłym ozdrowieniu?

C H I R O N.

Ośmieliłem się zaraz opowiedzieć królowi stan jego niedawny, i zapytać się: Jak razem, będąc już od nas opłakany, do zdrowia zupełnego przyszedł? Tyle nam tylko odpowiedział, że zdało mu się, jakoby spał twardo, i Alcesta budząc go powiedziała: „Wstań i radź o szczęściu Tessalii.“

I Z M E N A.

Tak to bydz miało; że w tym czasie duch Alcesty oswobodziwszy się od ciała, niby zegnając się z mężem ostatecznie, obudził Admeta z choroby,

ażeby i Tessalczykom nieużytecznym, i sobie uprzykrzonym był ciężarem.

C H I R O N.

Cudami słynący bogowie, jakże niedościgłe są sprawy wasze!..

S C E N A X I.

A D M E T, I D M O N i C i ż S A M I.

A D M E T.

Wszędzie ja siebie z sobą włączyć będę! i bez ciebie Alcesto tęsknić do śmierci! Chironie! to dla mnie lepiej, że coś więcej płakać nie mogę. Zdaje się, że natura łzami się nieratując, pozwala żalowi bardziey mnie słabić.

C H I R O N.

Kiedy bogowie chcieli, ażebyś cudownie ożył, ciż sami cię zdołają pokrzepić przeciwko upornemu żalowi.

I Z M E N A.

Dzieci te zostawione przynajmniejby cię królu cieszyć powinny.

A D M E T (*zniżając się ku dzieciom*).

O dzieci moje! jakże wy mnie smucicie!.. Wam w tym wieku matka nademnie była potrze

bnieyszą! Ale wy i oycy wkrótce postradacie.
(*Grzmot daje się słyszeć*). W czas, w czas będzie
Jowiszu! zabić mnie piorunem. Niech z tych piersi
krew pociecze, którą winienem tobie za zuchwałę
błuznienie, i Alceście, za jéy ofiarę dla mnie!

I D M O N.

Królu! ty drażnisz bogi, człowiek upokorzony
miléy zawsze od nich przyjęty.

A D M E T.

Byłem i pokornym dla bogów, otóż mi dzisiay
nagroda! Straciwszy Alceste, o cóż ja mam ich
błagać na ziemi. Może tém zuchwalstwem śmierć
moję na nich wykrzyczę. Jeżeli by mnie Jowisz za-
bił, jak powinien, do téy saméy przepaści, w któ-
réy pograżyła się Alcesta, wrzucicie i Admeta. Nie
chcę marnych pogrzebów waszych! Alcesta miała
najpiękniejszy!...

S C E N A *ostatnia.*

NIEZNAJOMY, czyli HERKULES, ALCESTA, ADMET,

IDMON, CHIRON, IZMENA, DZIECI.

D Z I E C I.

O Mama!

I D M O N.

O nieznajomy!

A D M E T.

O Herkulesie!

H E R K U L E S.

Admecie! Bogowie, którzy cię lubią, tak urządzili, ażeby i tobie zdrowie, i Alceście życie wrócone było. Odbierz ją z ręki mej, przyjaciel ci ją Herkules wraca.

A D M E T.

Ja dopiero bluźnierca przeciwko bogom, jakżem na to zasłużył, że cię jeszcze ściskam żyjącą, nieporównana Alcesto! Bogowie czynią ludziom dobrze, chociaż ich człowiek znieważa. (*Ściska Alceste*).

A L C E S T A.

Nie chciałabym nigdy powrócić na ziemię, gdyby na niej Admeta nie było.

A D M E T.

Ale jakimże cudem wracasz mi się dolo moja najlepsza!

H E R K U L E S.

Obchodząc ziemię, ażebym uciśnionym czynił sprawiedliwość, z bogów pewnie zdarzenia, właśnie

w ten czas w dom twój przybyłem, nikomu tu prócz ciebie nieznajomy, kiedy świeżo dla ocalenia twego cnotliwa w przepaść pogrążyła się Alcesta. Wzruszony łzami przytomnych, sieroctwem dzieci, twoją przyjaźnią, i heroizmem Alcesty; kiedy mi oycie Jowisz śmiałość poruszył, wskoczyłem w tęż samą przepaść za Alcestą. Na dole niezmierny głębizny jaskini téy, ciepłe jeszcze, ale już bez duszy zastałem jéy członki. Tąż sama mocą, która mnie nieobrażonego na dole jaskini złożyła, w momencie znalazłem się aż przed ciemnymi wrotami pana piekieł Plutona. Pies Cerber, który weyścia zabraniał, zbity; i sam bóg piekła przełknięty, wrócił mi duszę Alcesty; z którą ożywioną wychodząc znowu na powierzchnię ziemi, z grzotem mię z niej rozgniewany Pluton wyrzucił.

A D M E T.

A ja w czasie grzmotu tego najwięcej bluźniłem przeciwko Jowiszowi, kiedy on łaskawie szczęścia mojego dokonywał.

I D M O N.

Nie mruczmy nigdy przeciwko bogom! Cudami oni się usprawiedliwiają, że drogi ich są nie-skażone! I jeżeli cnotliwego umartwić chcieli, to chyba dlatego, ażeby go potem tém mocniej pocieszyli.

HERKULES.

Cnotom twoim Admecie, wyrównał heroizm
miłości małżeńskiej w Alceście. Żyćcie szczę-
śliwi, i wdzięczni bogom, którzy za krótkie
zmarwienie powrócili Admetowi życie i żonę,
dobry Alceście, męża.

(Spiewają wszyscy razem).

Dobrzy bogowie tą ziemią rządzą,
I kiedy głaszczą, i kiedy karzą;
Ludzie to tylko w swych drogach błądzą,
Potem się z sobą, i z niebem swarzą.

KONIEC OPERY.

P O D R Ó Ź

DO KRAKOWA I JEGO OKOLIC.

*List do Xiężny Barbary z Duninów Sanguszkowy
Marszałkowy W. W. X. Lit.*

Zacni WXcący Mości synowie i wnuki bawiąc za granicą opisywali Jéy, i opisują do tychczas, co w krajach cudzych osobliwszego widzieli. Ja, przypatrując się przez czas jakowys Krakowu i jego okolicom, pozwolisz Pani, ażebym jéy opisał, com tam widział; i przydałto, com z tego widoku uczuł.

Ktoś z cudzéry niwy zbiera plon bogaty,
Ja z twych ogrodów przyniosę ci kwiaty;
Miło widziałem przyymowane żénce,
Choć z pańskiey roli nieśli panu wieńce.

Między osobliwościami jadąc do Krakowa, najpierwsze kłaść można Końskie; sławne fabrykami żelaza, i kościołem starożytnym, (jak napis świadczy nade drzwiami) z ciosowego kamienia roku 1120 wystawionym. Odrowążów, dawnych mieysca

dziedziców, widać jeszcze herby i pisma po ścianach; których po części już wyczytać nie można nie żeby były dawnością nadpsute, ale że sposób pisania liter w tak dawnych wiekach, nam w teraźniejszym, stał się trudnym do wyczytania.

Trwają niewzruszone ściany
W całej jeszcze sile swojej;
Siódmy wiek mija stargany,
A uparty kamień stoi.
Tu wracając w lata dawne,
Sławą Polską znamienite,
Odrowąże bojem sławne,
Wieszali łupy zdobyte.
Tu Iwo bawił dostojny,
Bogu i Polsce żądany:
I ów Jacek bogobojny,
Świątami klęczał kolany. *)

W Radoszycach kościół jeden z najdawniejszych w Polsce roku pańskiego 1004 murowany. Ze strachem tę starożytność oglądałem, bo bliski upadku; i wzywa ręki żeby ją wsparła, ale grozi głowie, żeby jęj nie rozbiła.

Jędrzejów, od sześciu wieków sławne opactwo Cystersów. Szczyci się bogatym kościołem, nay-

*) Iwo, biskup Krakowski, i Ś. Jacek Dominikan, byli Odrowążowie.

większemi w Polsce Organami, biblioteką od kilku wieków manuskrypta ciekawe zamykającą; i grobem Błogosławionego Wincentego Kadłubka, z biskupa Krakowskiego, mnicha potem w Jędrzejowie, i najpierwszego dziejopisa Polskiego.

Nieznany widok czasami temi!
Wincenty gardzi dary ziemskiem;
Nie chce biskupstwa, choć za nim głosy
Cnota, i chętne dały niebiosy.
Potem zmieszany pomiędzy gminem,
Szczęśliwym skończył Chrześcianinem.

Więcý nad milę dojeżdżając do Krakowa, już widzieć można to sławne i obrotne od tysiąca lat miasto. Tylu oyczyzny naszéy bohaterów, którzy z téy ziemi wyszli, albo w niey zamieszkali; tylu potężnych królów, którzy w téy stolicy siedzieli, i niespokojnym sąsiadom z wyniesionego tego zamku grozili; tylu ogromnych nieprzyjaciół, którzy to miasto tak wiele razy napadali; wszystko to razem w myśli mi stanęło; i w tym niepoliczonym ludzi i przypadków przeszłych orszaku przybliżałem się do Krakowa. Szczęśliwe miasta tego położenie, zdaje się, że naypodobniey wybrane było, ażeby więcý kiedyś nad dwieście mil szerokości i długości, krajowi panowało. Spławna Wisła pod same mury jego ociera się, a grunt nayżyźniejszy i ludnemu

obywatelowi do wyżywienia wystarcza, i co mu nadto zostało, zyskowną go sprzedażą z bogaca. Srebro, miedź, żelazo, marmur, i sol nieoszacowana w odległości kilku mil tylko posiada, że zdaje się, jakoby natura na to jedno miejsce wysiliła się, ażeby szczęśliwy Krakowianin bez reszty świata mógł się obchodzić.

Ale kiedy w miasto wjadę,
W tę ludu i wież gromadę,
Gdzie ubrany starożytnie,
Siwizną wieczny mur kwitnie;
Ciekawość razem zamienię
W szanowne upokorzenie.
Ten kościół pobożność wmawia;
Ten się pięknością nadstawia.
Tu, gdy srożał król zawzięty,
Bogoboyny biskup cięty.
Tam jego święte odzienie,
I infuły, i pierścienie,
Głośne z ubogiej prostoty. . .
Droższe w tenczas były cnoty! . .
Tu, Bolesławy siedziały,
Chrobry, Krzywousty, Śmiały,
Pany całego przebiegu,
Od Elby, do Dniepra brzegu!
Z tych okien patrząc na ziemię,
Dzielne Jagielona plemię,

Za jedném ręki skinieniem,
Świat mu się chyli ze drżeniem.
Dają pokóy, koją bunty,
Potężne nasze Zygmunty!
Tam znowu smutną koleją
Też same głowy próchnieją,
Co strwożonym światém trzęsły,
W podziemnych grobach zakłęsły;
Gdzie każdy z nich popiół woła!
„Ten królów koniec, i szkoła!“

Ale któżby bliższych i dawniejszych wieków osobliwości miasta tego wyliczył? Te krużganki i ściany kościołów nagrobkami wielkich mężów wyczerpnięte; te niezmierne, a tak dawne, Akademii tamtejszégó gmachy, z których wszyscy prawie dawniejsi uczeni ludzie w narodzie wyszli; te wspaniałe domy, w których tylu znakomitych kiedyś mężów mieszkało; te skarby koronne i kościelne, tyle drogich i ciekawych rzeczy zamykające; dają nam poznać, że Kraków jest dawném grobowiskiem bohaterów, siedliskiem uczonych, gospodą albo mieszkaniem ludzi naczelnych, i składem bogatém, albo ciekawém starożytności Polskiej;

Zacne miasto! tobie gwoli
Jeśli Bóg życia pozwoli,
Nie żal mi będzie téj drogi,
Odwiedzić jeszcze twe progi.

Co obaczę, co usłyszę,
 W ten czas dokładniej opiszę;
 Oby tylko winne chwały
 Twéy wysokości dostały!

Czerna o mil dwie od Krakowa, pustynia sławna Mnichami pod regułą Karmelitów żyjącemi. Ale i każdemu żądajacemu w osobności życia bogomyślnego drzwi tamte są otwarte. Między lasem i skałami, na jednéj z nich, Klasztor samotny z kościołem leży. Głębokie milczenie odludne to miejsce napełniło. Mur wkoło, na ćwierć mili pustyni zajął, za którą zagrodę wychodzić pustelnikowi niewolno. Żadnego oni z sobą społeczeństwa nie mają, i kilka razy tylko na rok, na czas krótki schodzą się, przechadzka nawet we dwóch, jest im zabroniona. Jeden przełożony ze świeckimi rozmawiać i bawić się może, ale żadnego z pustelników nikt nie obaczy.

Kto się z zawziętą fortuną powadził,
 Kogo swój zawiódł, a przyjaciel zdradził:
 Kto pod przemocy brzemieniem uklęka,
 Tu go silniejsza dźwignąć może ręka.
 Gdy twych zabiegów Boga zrobisz celem,
 On twoim panem, krewnym, przyjacielem!..
 O te tu skały pycha zaślepiona
 Marnym zapędem legła roztrącona!

Tu u nóg pada téy pokory mężnéy,
Zażartych losów pocisk niedołączny !
Tu mieysca swego chybiły rozpaczę,
Śmieje się zbity, a zwycięzca płacze !
Bracia! mieć ufność potrzeba,
Z téy góry bliżéy do nieba !
Ale pewnieyszą poszlibyście drogą;
Tędy, gdzie ludzie zgodzić się nie mogą;
Tędy, gdzie nędza rady, wsparcia, czeka;
Tędy, gdzie człowiek potrzebuje człeka !
Wam z waszégó góry widać na dolinie,
Jak tu nie jeden obłąkany ginie !
Zacóż nas czasem nie wspomodz z ochotą ?
Wszak miłość bliźnich jest naypiérwszą cnotą.
Przed resztą stworzeń człek mową się chwali,
A wyście sobie mówić zakazali,
I wiodąc smutne z zwierzętami życie,
Milczeniem waszém dar mowy bluźnicie.
Jeśli się cnoty uczymy przykładem,
Wy ją lubicie ; poszlibyśmy śladem.
Lepieyby płynąć w towarzystwie świata;
By poratować tonącego brata.

Blisko Czerny, sławne od wieków szyby marmurowe, któremi i Kraków, i okolice jego ozdobione. O dwie mile zaś ztamtąd, groty podziemne Oycowskie i Czajowieckie. W tych drugich chodząc więcéy godziny, końca znaleźć nie mogliśmy.

Podczas napadów Tatarskich zapewne tam ludzie się ukrywali, bo w wielu miejscach widać ślady ręki ludzkiej; i co jest osobliwością, suchość ścian i gruntu wszędzie znaleziona.

Tu, gdzie najwyższa podniosła się góra,
Na wierzchu płodna siadając natura,
Gdy zakłócone żywioły łagodzi,
Za sprawą czasu, świat karmi, i rodzi.
Gdzie zaś podziemne ciągną się tarasy,
Ma tajne rady, lub spokojne wczasy.

Dolina Promnik, tak nazwana od potoku, który śródkiem jęj płynie, jest rzadko widzianą pięknoscią, ktoby ją uczuć umiał. Brzeg najczystszej tego potoku, i obszerniejsze ubocze, zieloną murawą usłane: wzdłuż zaś ciągną się najwyższe różnego składu i farby skały, po których wieczne drzewa, na uproszonym gdzieś kawałku ziemi wieszając się, świętość jakąś i uszanowanie bojaźliwe dla miejsca tego wrażają; gdyby zamek Oycowki, który w dalekości daje się widzieć, położenia tego nie ośmielał; że to dla ludzi, nie dla wyższego jakiego stworzenia piękność ta sporządzona. O pół mili ztamtąd do Pieskowéj skały, dawnéj Szafranców dziedziny, przybyliśmy. Zuchwałą sztuką, na cyplu ostréj skały zamek ten osiadł. Kto z okien na ziemię spoyrzy, w téj niezmiernéj podniosłości, potok doliną tamtą płynący, chaty

wieśniacze, i w około prawie otaczające go skały gołe, albo drzewami okryte, najpiękniejszy widok sprawują. Na dole, przyjazdu do zamku pilnuje pałka, (jak ją nazywają) Herkulesowa, czyli kamień przy drodze stojący od inszych skał oddalony; u dołu grubości może na cztery łokcie, zwolna zaś postępując, u góry może na ośm; ale wysokości do trzydziestu łokci mający.

Słupie! starego rówienniku świata!
Tyś zapamiętał, jak kiedyś Sarmata
Z Scytą, a potem z bitnemi Słowiany,
W tym kraju łączył naród zawołany!
Jak z czasem wzrosłszy, z kim się tylko sparła,
Swych nieprzyjaciół Lacka szabla żarła.
Widzisz i nasze nieszczęśliwe wieki, ...
Dziś Polak ze snu przeciera powieki,
I biorąc na się zbroję zapomnianą,
Budzi swe męstwo i sławę zaspaną!
Jeżeli jeszcze zechcą losy nasze,
Dotną się chwały rodackie pałasze,
A białym orłom i bratniey pogoni
Świat się przed laty nawykły, pokłoni.
Wasze, prac wielkich, wielcy towarzysze,
Naród roboty na kamieniu spisze,
By je czytając opóźnione wnuki,
Brali miłości oyczyzny nauki. *)

*) To pisane podczas seymu trzeciego Maja.

O ćwierć mili od Pieskowéy skały leży Grodzisko; miejsce sławne, ukrywaniem się przez czas jakiś Stéy Salomei, córki Leszka Białego, siostry Bolesława Pudyka, a żony Kolomana króla Halickiego. Może podczas oplakanych owych napadów na tenczas Tatarskich, niezbadane zakręty i przepaści miejsce tamtych ukrywały tę Świętą Pannę. Albo kiedy dla bezpieczeństwa Pudyk z Zawichosta zakonnicę Franciszkanki, (między któremi była i Salomea) do Skały przeniósł, może w tenczas miejsce to odludne, a tak bliskie od Skały, dla spokojniejszéy bogomyślności obrała sobie. Na przykrą górę, wąską drożyną, długo drzeć się potrzeba, niżeli na wierzchołku, między dzikim lasem, pokaże się kościół samotny, otoczony murem i posągami Piastów, rodziny Salomei. Zaraz przy kościele mały oratyrz jéy, a w bliskości szczupły domek, gdzie przemieszkiwała, nad samą przepaścią ogromnéy skały zawieszony.

Takżeśto nędzne mieszkanie obrała,
W nayżywszy porze panno owdowiała?
Rzucając bratnie i mężowskie trony,
I tłumne służby, i pańskie uchrony;
Niedbała na wiek, i na piękność lica,
Z królowy, Boga twego niewolnica!
Ona tu na tym kamieniu sypiała! . . .
Tém oknem, z niebem przyjazném gadała;

Tu, gdzie ten w częściach głaz powyciskany,
Znać go miękkimi wygnietła kolany! . . .
Cichości! mieysc tych pani wieko-trwała,
Tyś jéy niewinne szepty wysłuchała,
Gdy z niewidomym oblubieńcem wzdycha,
I z czucia płacze, korzy się, uśmiécha.
Gruchanie w puszczy leśnéy gołębicy
Wspominało mi jéczenie dziewicy;
Na rosę ranną, która z kwiatu ściéka,
Myślałem, że to łzy siostry Pudyka.

Chcąc widzieć potem sławną Częstochowę,
droga przypadła na Lelów miasto i zamek od Kazi-
mierza Wielkiego, przed czterysta latami murem
opasane. Stoi jeszcze w niektórych tylko mieyscach
przez niedbalstwo mur nadwerężony; i poświadczą,
jak wieków tamtych prace i wielkie, i gruntowne
były. Jest podobieństwo, że nazwisko Lelów,
wzięte jest od bożyszcza Lelum, czyli Kastor, u
pogan jeszcze Polaków szanowanego. I może w
tém mieyscu, prócz Łyséy góry, szczególnie sław-
nemu temu bałwanowi ofiary oddawano.

Daléy Olsztyn miasteczko, i zamek przy nim
na wysokiej górze już rozwalony. Dwie tylko
baszty pozostały; z których jedna niezmierną wy-
okością grozi jeszcze, nie już Słazakom, dla któ-
rych na pograniczu posadzona, ale przejeżdżającym
pod górę gościnnym.

W Częstochowie, do trzech tysięcy nabożnego gminu; prócz naszego pospólstwa, z Prus, z Czech, z Śląska i Morawy, zebranego zastałem. Ale dziwna, że między takim tłumem ludu zgromadzonego, nikogo ze znaczniejszych nie widziałem; jak gdyby majętni nie mieli równy powinności dziękowania, jak mają ubodzy potrzebę prośby. Sławnym jest skarbiec kościoła Częstochowskiego, będąc tylu królów i książąt, tak naszych, jako i zagranicznych darami pomnożony, te zaś po ścianach pozawieszane bronie Polaków dawnych, są świadkami nabożeństwa ich i dzielności razem; a wymawiają wiekowi naszemu oziębłość dla wiary i oyczyzny. Między zgromadzonem tam pospólstwem różnili się przykładniejszą pobożnością Morawcy. Skromnie do świątyni wchodząc ze śpiewaniem, w głębokiem potem milczeniu kilkaset osób obojey płci uklękawszy, splakane wszyscy oczy w ołtarzu utopili. Insi, jakoby niegodni weyścia, pod niebem, z murami kościoła, obrócenie ku stronie ołtarza, nikczemność swoją wyznawali.

Zdaje się, że na Jasnéj Górze stoi owa
 Drabina o niebiosą wsparta Jakóbową,
 Po której Aniołowie wstępują, i schodzą;
 Święte posły! człowieka z Bogiem swoim godzą
 Ci zbierając łzy, które niewinność wyléwa,
 Albo komu wycisnie nędza niecierpliwa,

Lecą z ziemi do góry jedném oka mgnieniem,
Gdzie je Bóstwo litosne swém suszy weyźrzeniem
Insi z nieba zstępują, i czynią ofiarę
Tegoż nieba, za miłość, nadzieję i wiarę.

Z Częstochowy powracając do Warszawy, wy-
boczyłem na Czarncę, dziedzinę kiedyś Stefana
Czarneckiego, sławnego w dziejach naszych boha-
tyra. Leżą smutne rozwałiny domu jego, w któ-
rym razem i sława narodu przemieszkiwała. Ale
drzewa bliskiego ogrodu oparły się wiekowi, a gru-
bością i wysokością swoją dają to poznać, że są
rówiennikami czasów Czarneckiego. Blisko, kościół
od niego wymurowany, jako napis na czele świadczy,
rękoma we krwi nieprzyjacielskiej zbrczonemi.
Przy kościele zakrystya, pierwéy przed kościołem
wymurowana, bo napis nade drzwiami jéy da-
wniejszy, wspomina Czarneckiego jeszcze jak żoł-
nierza tylko i dworzania królewskiego.

Ale kiedy mi grób był otworzony,
Bojaźnią zdjęty i upokorzony,
Z drżeniem uchylam fatalnego wieka,
Chcąc widzieć wielkie popioły człowieka!
To kiedyś ciało, i te kości święte,
Były zapalem oyczyzny przejęte,
Gdy w swych zapędach rycerz niewstrzymany,
Ranne swe piersi narażał na rany!

Wszystko mógł, gdzie chce starania przyłożyć;
Śmierć go, gdy umrzeć chciał, nie mogła pożyć.

Xiężno! gdy w prochu rycerza szukałem,
Zacnego twego wnuka przypomniałem,
(Który służeniem oyczyźnie w swym czasie,
Z sławnym pod Ułą Romanem zrówna się),
Czemuż on w tenczas nie był ze mną społem,
Gdym z Czarnieckiego rozmawiał popiołem?

K O N I E C P O D R Ó Ż Y .

M O W A
N A
POCHWAŁĘ
JANA SOBIESKIEGO,
KRÓLA POLSKIEGO.

Z okoliczności obchodu setnego roku zwy-
cięstwa jego pod Wiedniem.

D O
MŁODZIEŻY SZKOLNÉY.

M O W A

POCHWAŁA

ANA SOBIESKIEGO

ANIOŁA POLSKIEGO

chociaż on był w tym czasie
człowiekiem obcoemu rodu i
człowiekiem jego pod Wiedziem

MIŁOŚCIWY SZKOLNY

XIAŻĄT ICHMOŚCIÓW

ADAMA I KONSTANTYNA

CZARTORYSKICH,

GENERAŁOWICÓW ZIEM PODOLSKICH.

*T*rud i niewygoda udziałem padły na lud pospolicity, a imiona wielkie same ich szukać mają, ażeby albo przodkom swoim wyrównały, albo jeszcze większemi były.

Minęły szczęśliwe wieki panowania waszych Jagiellonów, zacne Xiążęta, kiedy Polak wojennym gorejący duchem, upokorzywszy sąsiadów swoich, nie mając na kogo w domu walecznéj podnosić ręki, z Wittoldem nieśmiertelnym za sławą chodząc, szukał kogo w dalekich krajach, ktoby mu w odwadze wyrównał, i z owemi pogromicielami Azyi, wodzami potężnego Tamerlana potykał się.

Insze nastały lata!... W zadawnionym nieładzie kraju, swoje nawet otworem zostawiliśmy zagrody, że na owe szanowne kiedyś granice nasze, miękkość nieczynna z jednego do dru-

giego kraju goniona, spadłszy, i serca nam i ręce pozabierała.

W mowie na pochwałę Sobieskiego napisanej, którą wam, zaone Xiążęta, oddaję, widzicie chwałę Polaków przeszłego wieku! Patrzącie teraz na kray swój, jak siedząc smutni po domach naszych, szczęścia, które upłynęło, żałujemy.

Już dorośliście tęg pory wieku waszego, gdzie przy poznawaniu rzeczy, które macie najwyższe, umiecie patrzeć z politowaniem na ziomków waszych, z jakim uciskiem niedoli naszég jarzmo ciągniemy, a oglądając się na Was i rówienników waszych, lepszą przyszłością bole naszą łagodzimy.

I nie omyli nas pewnie powszechna o Was nadzieja, że kiedyś Wy, szczepy młode rozrośszy się w drzewa zamożne, upracowana oycyzna i pod cieniem waszym ochłodę, i z gałązek waszych wieńce mieć będzie.

M O W A.

MOŚCI PANOWIE!

Naród Polski, który sobie samemu wielkość dawną powinien, bo granice swoje nie wyżebraną jaką pomocą cudzą, ale rękami ojców waszych do takiej posunął rozległości, miał w każdej przygodzie zdolnych mężów, którzy umieli dobrze wszystko, i wypełniali to najlepiej, czego od nich oczyzna w potrzebie żądać mogła. W dawniejszych wiekach, sąsiad upokorzony nazywał Polaka wojennym: bo broń dobytą na stole obiadu składał, którego często niedokończywszy, ścigał i pokonał nieprzyjaciela; nazywał go pysznym i zuchwałym: bo kto panować nawykł, nigdy się upodlić nie umiał; nazywał go strasznym: bo w raptowych wyprawach swoich, chociaż jako piorun w jedno tylko miejsce uderzył, przecież jako błyskawica wszystkie pozastraszał okolice. Ale Polak dawniejszy od dzieciństwa zaraz doświadczał ramion pracowitych do noszenia ciężarów obywatelstwa: i jeżeli dla dobra powszechnego trudy jego dożywotne były miłości oczyzny skutkiem, tedy ta znowu z wychowania i ćwiczenia dzieciennego pochodziła.

Długi poczet mężów narodu bohatyrskich *Jan Sobieski* król Polski zakończył, którego, kiedy dziś setny rok sławnego zwycięstwa pod Wiedniem obchodzimy; z téy pobudki do pochwał tego męża wielkiego zabierając się, póydziemy za nim od lat jego dziecinnych przez lata dalsze; uważając, jaką drogą do téy wielkości przyszedł, co będzie pożytkiem dla nas; oddamy potém pamięci *Sobieskiego* pochwały winne, co będzie powinnością dla niego.

Matka Spartanka (co tam jakoby za chrzest obywatelski stanęło) urodzone dziecię na tarczy składa, któremu powszechna potém, a ta twarda ćwiczenia szkoła, do dzieł nieśmiertelnych drogę otwiera. Dawny Rzymianin, pracą i utrudzeniem do dalszych niewygód dzieci przyzwyczajają, gdzie najpierwszeienne ćwiczenia, ubieganiem się w zawody, albo zręcznem zapaśnictwem ze wschodem słońca zaczynało; a naród Polski z tych dwóch Rzeczypospolitych wzór biorąc, nie marném jakim wieków przeszłych zatrudniał je ćwiczeniem, ale do tego najpierwéy młodzież sposobił, co oyczyźnie największy w czasie przynieść mogło pożytek. Ztąd owe u dawnych Polaków małych dzieci na ćwiczenia żołnierskie prowadzenie, wczesne do robienia szabły, albo kopiją wprawianie, ledwie utrzymać się mogące dziecię do jeżdżenia na koniu przyzwyczajanie: ztąd owe po domach szlacheckich nieprzyjaciół oyczyzny z drewna porobione posągi, na które

zawczasu zaczynając się gniewać młodzian niedorosły, zaprawiał, rozpędziwszy się, rękę swoją, jak miał w czasie ze sprawnością prawdziwego nieprzyjaciela ugodzić.

Jan Sobieski w roku 1629 rodząc się, jeszcze tych szczęśliwych zasięgnął wieków, kiedy, prócz takich ćwiczeń, przykłady wielkich mężów w narodzie, i miłość oyczyzny swojej, najpierwszém zachęceniem i szkołą narodu były. Jeszcze brzmiała Polska sławą Żółkiewskiego, który przed lat dwudziestą związane Cary Zygmunтови na stolicę prowadził: Jeszcze ważnego nad potęgą Ottomańską, za rządem Chodkiewicza, zwycięztwa pod Chocimem nie skończyły się okrzyki; że pierwszy głos, który wychodzącemu na świat dał się słyszeć *Sobieskiemu*, był głos zwycięztwa i pochwał bohatera; że pierwsze słowa, których się dziecię nauczyło, była miłość i sława oyczyzny swojej.

Lata dziecinne lubią się zatrudniać słuchaniem dziejów dawniejszych; i gdybyśmy, chcąc téy ich skłonności na dobre zażyć, miasto próżnych bajek prawdziwą zabawiali je historią; gdybyśmy od dziejów narodu naszego zaczynając, dawali im poznawać, poświęcenie się zupełne dla oyczyzny, zachwałność przewagi, sprawność albo błędy Polaka dawniejszego; zaszczipialibyśmy wczesnie w sercach młodocianych to nasienie, z którego z laty wierny rodzi się obywatel.

Młodemu *Sobieskiemu*, prócz tyłu dzieł mężów w narodzie najsławniejszych, wojenny oyciec domu swojego nieśmiertelne wystawiał przykłady, a dotkliwa matka, kiedy mu znowu oycą swojego wielkiego Żółkiewskiego chwałę opowiadała, kiedy mu zgon jego opisuje, jak w małej liczbie opierając się stotysięcznym zastępom Ottomańskim, kilkadziesiąt mil niepożyty porządnie ustępował, jak nad brzegiem już Dniestru opuszczony od jazdy swojej, nie chcąc resztę ludzi (choć się siebie samego mógł był ucieczką poratować) na rzeź zostawić, piechotę całą wyciętą widzi; jak potem i sam chwalebnie pocziwemi ranami poległ! tego wszystkiego kiedy dziecię *Sobieski* słucha, razem żalność, chęć zemśczenia się, chwałę i miłość oyczyzny poczuł, a żaląc się na niezgodne z chęciami swojemi ramię, z niecierpliwością pory swojej władania bronią czekał.

Tak w domu przygotowany *Sobieski*, do Krakowskiej Akademii wraz z bratem starszym Markiem odesłany. Starowny oyciec, znany w radzie, przez czystość zdania i obywatelstwo; w boju, przez odwagę i roztropność; między uczonemi, przez zostawione książki; w Europie, przez poselstwa; wyprowadzając dzieci swoje, nie ściągając dla nich z zagranicy rządów nauk, czyli jak dziś nazywamy, guwernerów, którzy dziecię Polskie nadto wczesnie uprzedzone o państwach cudzych, na obywatela kochającego kraj swój wystawić nie umieli; ani go

miłości oyczyzny nauczyć mogli, gdy sami swoją dla zysku marnego porzucili, ale między ludźmi narodu cnotliwego szlachcica wybrał, którego na mieyscu swoim zostawując; na samém powszechném zaręczeniu obyczajów jego spokojny przestał. Miło czytać, jakie na piśmie dla dzieci swoich zostawia mu przestrogi. Religia, najpierwsze tam zabrała mieysce; bo dawniey znano się na tém, jak z tego źródła wszystkiego dobrego, Chrześcianina i obywatela cnoty wypływają; i próżno to dzisiay rozłączać chcemy, kiedy wieku naszego widzieliśmy, jak z cierpiącą religią i biedna oyczyzna ucierpiała.

Zaleca potém młodym *Sobieskim* oyciec ćwiczenie się w tém wszystkiem, co znał do wiadomości dobrze urodzonemu dziecięciu najpotrzebniejszém: każe szanować rówieśników urodzenia swojego, ale się nigdy nie poniżać: każe mieć litość nad ubogiem, i na to nawet pewny zapas pieniężny naznacza. Przy zabawach zwyczajnych, które rozdaje szkoła, nie opuszczał pewnie taki przydany rządca powierzonych sobie nauczać *Sobieskich*: o powinnościach człowieka względem siebie samego i bliźnich swoich, o kraju Polskiego rządzie i potędze, o sąsiedzkich państwach wpływaniu i sile, o szacunku drogiey, ale dobrze zrozumianej wolności, i poświęceniu siebie całego dla oyczyzny. I tato oyczyzny miłość, o której zdaje się, że dzisiay za-

pominamy, naczelném tamtego wieku była młodzieży Polskiej ćwiczeniem.

Ale wiek już młodzieński przyszedł, i Sobiescy po skończonych ćwiczeniach, które Polak w domu umieć powinien, na zwiedzenie krajów cudzych puścili się. — Pamiętne będą do wyjeżdżających dzieci za granicę słowa oycy ich *Sobieskiego*: „Nie uczcie się (powiada) tańców, bo tego się i w domu z Tatarami nauczycie.“ — Oto obywatelska myśl oycy względem dzieci swoich; oto zganiony cel objeżdżania krajów zagranicznych; gdzie wyjechawszy, nie marnych jakich umiejętności nabyciem, ale tém, coby w czasie prawdziwy narcdowi przynieść mogło pożytek, zatrudniać się należy. Tak zażył *Jan Sobieski* bawienia się swego za granicą: kiedy, miasto szukania we Francyi, (gdzie się najdłużey bawił) płochych jakich rozrywek, w woysku Ludwika trzynastego u muszkietarów służbę przyyymuje; a tam nie tylko wszystkiego, co należy do zachodu w twierdzy, albo w polu zostawionego żołnierza, uczy się, ale z naydoskonalszemi obcując wodzami, jakby, i sam w czasie na wodza wyszedł, ich błędy albo rządem szczęśliwym zwycięstwa odniesione, rozważa.

Włochy i Niemcy zwiedziwszy, wszędzie jak pszczoła miody pożyteczne zbierając, do Stambułu, na którym się podróże ich zakończyły, przybyli. *Sobieski*, nikomu na ten czas nieznajomy, wyjeżdżał

w to sprzysięgłe na zgubę Chrześcian miasto, w którym potem milion go języków ze drżeniem wspominało, w którym potem na niego tyle żon owdowiałych i matek osieroconych płacze! Naypożyteczniej, chociaż krótki czas bawienia w Stambule strawiony, bo tam się pilnie nieprzyjacielowi przypatrywał, z którym się nayczęściej mocować miał: i tę ogromność zaraz mniej ważyć począł, którą samem tylko nadęciem wielką byź widział.

Woyna, która się w kraju za panowania nieśczęśliwego Jana Kazimierza z Kozakami zaczęła, nie dała dokończyć *Sobieskiemu* ułożonego jeszcze zwiedzenia Azyi; bo miłość narodu słodsza mu była nad wszystko, co oko zabawić, albo ciekawość jego kiedy mogło zaspokoić. Powrócone do domu dzieci, matka owdowiała (bo już oycza *Sobiescy* nie zastali), nie z próżném jakim rozrzewnieniem się wita; ale jak Polka: „podźcie (mówi) i zemścicie się nad Tatarami, bo was za synów nie znam, jeżeli będziecie podobni tym, którzy pierzchnęli pod „*Pilawcami*.“ Te były słowa ważne, któremi matka *Sobieskich*, wyzuwając się niejako z prawa swojego nad dziećmi, uroczyście oddawała je oyczyźnie swojej. Jakoż od tego momentu, dla oyczyzny tylko młodzi zacząwszy pracować *Sobiescy*, kiedy nieśczęśliwszy Marek wkrótce od Tatarów okrutną polega śmiercią, brat jego młodszy do dzieł nieśmiertelnych chwalebne sobie pole otwiera.

Jan Sobieski, już domu swojego głowa, zbuntowane pod Zborowem wojsko Polskie, do którego zaspokojenia wszystkie sposoby wielkiemu Czarnieckiemu ustały, słodyczą wymowy swojej do zgody i jednomyślności nakłonił, gdzie potem walecznie sobie w potrzebie poczynając, przywiléy na Chorążtwo koronne odebrał. W wojnie dalszój ze Szwedami, Moskwą i Rakocym, jeden prawie przy Czarnieckim pozostał, który o ocaleniu Rzeczypospolitéy nie rozpaczał. — Generała Szwedzkiego Duglasa, idącego na odsiecz oblężonemu przez Czarnieckiego Gustawowi, na głowę zbija; ziemię Siedmiogrodzką, jako kray nieprzyjaciela oyczyzny Rakocego napada, a tym sposobem do ratowania zagrody swojej odwołując go, miłą oyczyznę od jednego z naysroźszych nieprzyjaciół uwalnia: Kozaków chcących się z wojskami Moskiewskimi, (co wielkiej wagi robotą było) złączyć po Cudnowem, zręcznością swoją uprzedza, i sławném zwycięstwem gromi pod Słobodyszczem; a za nagrodę tylu jego trudów i przysług dla narodu, po Lubomirskim, Marszałkiem Wielkim Koronnym, wkrótce po Czarnieckim, Hetmanem Polnym zostaje, a po śmierci Potockiego buławę wielką odbiera.

Z tak wielkiem pomnożeniem się władzy *Sobieskiego*, i dzieła jego ważne pomnożyły się: We dwadzieścia tysięcy żołnierza Polskiego Hetman, w niedostatku skarbu Rzeczypospolitéy, swoim nakła-

dem utrzymywanego, do stu tysięcy Kozakom i Tatarom zgromadzonym śmiało się stawia pod Podhaycami: gdzie kiedy w okopach obleżonemu nieprzyjacieli równie jak i niedostatek dokuczał, a żołnierz, o uchyleniu się choćby ucieczką od niebezpieczeństwa szemrać począł; *Sobieski*, chcąc bojaźliwych po, krzepić: „Nie zatrzymuję tych (powiada), którzy z „piękny śmierci losem serca nie mają mocować się, „niech ztąd zaraz bez chwały ustąpią, i obierają „więzy Tatarzyna. Co do mnie: stanę na czele „tych, którzy oyczyznę i króla swego kochają.“ Krótka ta mowa, wielki zrobiła pożytek: bo gdy nikt nie chciał być pierwszym oyczyznę i króla wojego zdradzić, wyszli z okopów wszyscy przeciwko nieprzyjacielowi, i Nuraddyn, który dopiero postrachem był dla naszych, mnogiego trupa na placu zostawiwszy, sromotnie uciekać musiał.

Mahomet czwarty, Kuproglim Wezyrem, wielkimi zamysłami, a potem nieszczęściem sławny, poddającym się Porcie Kozakom naszym rękę podaje. Jak wiele sobie tę wyprawę przeciwko Polakom, długimi wojnami wyniszczonym ważył Mahomet, widać to po ściągnionych dwóchkroć sześciudziesiąt tysięcy wojskach, po ruszeniu się osobą swoją na tę wojnę, i po tylu zachodach, które największe jego znaczyły usiłowanie. — Drżała ziemia pod armatą nieprzyjaciela, a naród nasz domowemi na ten czas zakłócony niesnaskami, jeżeli waleczny

dobył broni, tedy na to tylko, aby ją we krwi brata swojego zamaczał, że bezkarny Ottoman w granice państwa naszego wszedłszy, Ukrainę i Podole z Kamieńcem bez oporu odbiera, a potem niesławnym traktatem Buczackim hołdownictwo Porcie i corocznego haraczu płacenie wkłada.

W czasie téj wojny oplakanéy, kiedy wszyscy ostatniego czekali losu, z garstką woyska, które miał przy boku swoim *Sobieski*, nieprzyjaciela głębiey w kray zapuszczonego zatrzymał, i dwóch synów Hańskich z licznymi ich woyskami osobnym bojem pobił; a potem na złączonych już razem z oycem swoim Hanem Tatarskim napadłszy, trzydzieści tysięcy zabranego w Polsce odbiwszy niewolnika, ażeby przynajmniej cokolwiek niezemszczony nie uszedł nieprzyjaciół, pamiętnem nad nim wstawia się zwycięstwem.

Ale Polski obywatel, kiedy z przestrachu tego cokolwiek do siebie przyszedł; kiedy wstydlivy traktat Buczacki potrzeba było podpisać, spoyżrzawszy jeden po drugim, i widząc tyle tysięcy rąk jeszcze wolnych, które dobrowolnie na więzy podawali; wspomniawszy na miłą oycyznę, która się lepszego losu od synów spodziewała, a oni o jéj chwale i powołaniu swojém z taką zniewagą zapomnieli; wspomniawszy na dzieci swoje i przyszłe pokolenia, które bez winy ich żadnéy w obelżywe zapisać mieli poddaństwo, że wychodzące na świat

dziecię złorzeczyć miało potem roskoszom matki swojej, gdy z urodzeniem swoim razemby sobie kaydany przyniosło; kiedy jeszcze *Sobieski* hańbę tego traktatu w oczach wszystkich nayżywiey odmalował, dawną ich chwałę z terażniejszą niedołężnością porównał; nie śmieli spoyrzeć na broń, którą każdy przy boku nosił, że jéy w potrzebie zażyć nie chcieli, i wyrzucając jeden drugiemu za wiści niepotrzebne, jednym miłości oyczyzny złączeni węzłem, traktat Buczacki za nieważny uznali, i wojnę przeciwko nieprzyjacielowi Chrześcijaństwa ogłosili.

Do podniesionéy w pośrzodku narodu chorągwi *Sobieskiego* co żywo cisnąć się poczęto, i każdy wstyd swój dawniejszy we krwi nieprzyjaciela zmazać żądał; że zebrane do czterdziestu tysięcy woysko pod Lwowem, ażeby go jak nayprędzéy na nieprzyjaciela prowadzono, wołało. Król Michał sam do boju przywozić chcący, chorobą zatrzymany, chwałę tę *Sobieskiemu* zostawił, który okopanych pod Chocimem ośmdziesiąt tysięcy Turków napada, i do trzydziestu tysięcy na placu ich położywszy, resztę albo rozprasza, albo w niewolę bierze.

Nie mając już czém naród tak wielkich dzieł nagrodzić *Sobieskiemu*, kiedy i dawniejsze jego czyny nieśmiertelne, i to nowe, a tak chwalebne zwycięztwo widzi, którém z narodu wolnego obel-

żywą hołdu Tureckiego suknią zdeymował; po'zaszły w tymże czasie śmierci Michała króla, berło mu swoje ofiaruje. Ale, gdy *Sobieskiego* szczęście powszechnie więcéy niżeli swoje własne zatrudnia, do koronacyi przystąpić nie chciał, póki by po kar-kach zupełnie poniżonego nieprzyjaciela na tron nie wstąpił.

Human fortecę, jak można było nymocniej Kozackim csadzoną żołnierzem, i na stotysięcy woyska Tatarskiego w odsieczy mającą, niewstrzy-manym szczęścia swojego zapędem odbiera, i za-straszzonego Tatarzyna nie bez ostatney klęski roz-pędza. Zebrani w równéy liczbie Tatarowie chcą się strat swoich pomścić, niespodziewającego się pode Lwowem napadają *Sobieskiego*; ale prawdziwy ten bohater nigdy się zatrwożyć nie umiał: i w mały swoich liczbie odważnie stanąwszy przeciwko nieprzyjacielowi, piętnaście tysięcy Tatarzyna na placu trupem położył. Ani zuchwały Wezyr Mu-stafa czarny z niepoliczoném woyskiem wtargnąwszy w granice Polskie szczęśliwszy! Od oblężenia zamku Trębowli przez *Sobieskiego*, w odsieczy swoim idącego, sromotnie odegnany, mając, może na dziesięć razy tyle żołnierza, który go słuchał, dla-tego tylko przed Polakami uciekał, że go się *Sobieski* nie bał; i za przeprawą Dniestru, gdzie się już są-dził bezpieczniejszym, dopiero obeyżrzawszy się, żadnéy za sobą pęłoni prócz strachu i wstydu swo-

jego nie widział: bo nasz bohater naglony od narodu na koronacyą, do stolicy powracał.

W tenczas, kiedy okrzyki narodu powietrze napelniały, od mocarstw Europejskich, i z dalekiej Persyi, poważne posły imieniem monarchów swoich powinszowanie mu składają; pyszny Mahomet ani mu się pokłonić, ani nim pogardzać nie mogąc, zapomniawszy traktatu Buczackiego, i tylu klęsk po nim nastąpionych, siłę swoją całą na Cesarza Leopolda obraca. Uwolniony na czas od nieprzyjaciela *Sobieski*, do poprawienia rządu i sprawiedliwości krajowey przykłada się: co z taką umiejętnością i usilnością wykonywa, że wątpliwość zostawił, czy wojną, czy pokojem był większy?

Mocarze ziemi! jeżeli was sprawiedliwe pobudki obrony całości i szczęścia poddanych waszych do wojny nie pociągną; za co dla marnych zysków, pychy, albo krzywdy, jak mówicie, honoru waszego, zabójczą jeden na drugiego broń podnosicie? Oto każde cięcie obwinionego żołnierza waszego, jest kreską nayszargotniejszą, którą was pokrzywdzona natura naznacza! Przyyda te czasy, kiedy lud oświecony tych wojowników, którzy dlatego tylko, że mogli, narody niewinne napadali, jako nawałnice albo trzęsienie ziemi, co całą spustoszyły okolicę, będzie wspominał: a dni waszych pamięć królówie sprawiedliwi, i nad wszystko szczęściu kraju

wam powierzonego zatrudnieni, uroczyście w potomności święcona będzie.

Leopold Cesarz, chociaż lubił słuchać kiedy go wielkim nazywano, przecież siły swoje z potęg nieprzyjaciela porównywając, znalazł się słabym i w tenczas, kiedy *Jan III.* sam tylko jeden, a w szczęściu i sprawności swojej zaufany, cały sił Ottomańskiej opierał się, Wielki Leopold od niego posiłku żąda. Mustafa czarny Wezyr Mahometa jako błyskawicy od wschodu na zachód w oknieniu przeleciawszy, i jako wezbrane gwałtowne wody, wszystko co tylko na drodze zastał, zniszczywszy, albo pochyliwszy, we trzykroć stoty sięcy woyska pod Wiedniem stolicą cesarską stanął. Cesarz Leopold zapominał w przygodzie swojej, że wielkich bohaterów wielkie robią niebezpieczeństwa i niedufając twierdzom warownym, w głębsze Niemcy strwożony uchylił się. Karól książę Lotaryński przydzieści tysięcy woyska dla odsieczy Wiedniowi mający, mimo całej zdatności i odwagi swojej, potężnemu nieprzyjacielowi w oczy spojrzeć nie śmiał. Sztaremberg, fortecy Wiednia komendant, po trzech dniach naydaléj ostatniego losu spodziewał się, i dziury w murze powybijane, nieprzyjacielowi do weyscia, a oblężonym do pewnej zguby drogę otwierały. Zatrwożeni mocarze Europy, każdy z uchronu swego końca téj okropnej sceny w bojaźni czekał, a pożar, który się tak gwałtownie

zajmował, sąsiedzkim państwu zniszczeniem groził; kiedy Jan III. wielą prośbami od Leopolda naglony, pod Wiedeń z wojskiem Polskiem przyciągnął.

Jednem oka rzuceniem na rozległy obóz nieprzyjaciela, bohater nasz zaraz Mustafą pogardza, wojskom chrześcijańskim serca dodaje, i postacią najwyższą, którą mu natura dała, pewność tego, co wyrzekł, zabezpiecza. „Ten (mówi) człowiek, rzemiosła swojego nie zna; i łatwo nam z nim roboty przyydzie.“ Uszykowane woyska tak daleko mniejsze od Ottomańskich śmiało ku nieprzyjacielowi postępują, bo Jan im obiecał, że zwyciężą. I nie długo czekano skutku obietnicy: broń chciwa zemsty i zaboju obaczyła tylko nieprzyjaciela, którego kiedy pierwéy bojaźń, niżeli oręż Polski docleciał, zginał przestachem samym pożyty, i na tém miejscu, z którego dopiero pysznie rozkazując, wielkie nadzieje sobie układał, hańbę sromotnéj ucieczki ze sprzętem całym wojskowym zostawiwszy, kwapił się Mustafa jak najprędzéy, aby najpierwszy o klęsce Mahometa niespokojnéy doniosł Azyi; w ten czas, kiedy okrzykiem zaczęty w uwolnionym Wiedniu od nieprzyjaciela dalekie Europy odpowiadając mocarstwa, imię Jana trzeciego, jako wybawiciela chrześcijaństwa, głosili.

I ten to jest dzień, Mości Panowie, który dziśszych pochwał dla *Sobieskiego* pobudką, który,

kiedy dosyć mu było tylko pokazać się, ażeby od nikogo w tamtym czasie potęga nieokrócona, przed nim pierzchnęła, największy sławy jego stał się przyczyną. Ale on, nie marnym jakim losem do téj wielkości przyszedł: W dziecinném jeszcze sercu jego powinności obywatelstwa wszczepione, cnót jego dalszych zasadą były; i ponieważ za pracę wszystko nam na ziemi przychodzi: wielkimi zachodami wielkość swoją kupować musiał *Sobieski*. Widzieć go było, jak w doskonaleniu się w potrzebnych naukach pilny; i ten, który narodowi całemu w czasie miał rozkazywać, zwierzchności swojej naysposłuszniejszy, z jaką usilnością w językach potrzebnych ćwiczy się, że ich aż do siedmiu umiejac, każdym z nich z taką łatwością, jak własnym oyczystym mówił. Jak potem, kiedy mu z wiekiem młodziana siły przybywa, bronią naysprawniej władać, i co do dobrego żołnierza, albo wodza należy, dokładnie umieć, przykłada się. Mężę narodu niech was dalszym życiem swoim uczy *Sobieski*.

W tenczas, kiedy sobą już samym rządząc, roskosz i swawola, (która zwyczajnie przy żywości wieku i wielkich dostatkach trzyma się) naysilnieygo do siebie ciągnie; on majątek z domu swojego i Żółkiewskich największy, on lata namiętności naysgorętszy, staraniom oyczyzny oddał. Ztąd poszło tyle trudów dla narodu poniesionych! a powszechną szczęśliwość więcéy nad życie własne wając, ztąd

tyłe chwalebnie wygranych bitew! I chociaż Lubomirski pod Inowrocławiem, i młody ów Basza pod Parkanami pokonali *Sobieskiego*, przecież tyle zwycięstw dla kraju swego chwalebnych i pożytecznych, zatarły dobrze pamiętkę tych małych nieszczęść, którym gdyby podpadać nie mógł, nigdyby wielkim nie był.

Szedł śmiało na wszystkie niebezpieczeństwa *Sobieski*, bo go wszędzie religia i oczyzna za rękę wiodły: a tym sposobem, nie mogąc iść tylko drogą pocziwą, przyszedł наконец do téj prawdziwéj chwały, która szczególną miłośników oczyzny jest nagrodą. Wszystko, co tylko tego męża wielkiego otaczało, zdało się nim być napełnione. — Zdziwiona nad dziełami jego Europa, jemu tryumfy czyni, jego obrazy chwyta i oświeca! Narody obce, młodym swym królom za przykład go wystawiają *), a Hewelius, sławny wieku tamtego Astronom, ażeby pamiętkę bohatera nieśmiertelnić, wynalezioną przez siebie nową konstellacyą, tarczą *Sobieskiego* nazywa: aby, jeżeliby zazdrość albo niepamięć zatrzeć na ziemi chciały chwalebne pamiętki *Sobieskiego*, na niebie wiecznie czytane były.

*) Karólowi dwunastemu królowi Szwedzkiemu, uczącemu się języków, dosyć było wiedzieć, że *Sobieski* ten język umiał; zachęcony przykładem naszego bohatera zaraz się z pilnością uczył.

Zamiarem było Kommissyi narodu Edukacyonéy, wszystkich szukający okoliczności, gdzieby dzieciom oyczyzny ważne posługi swoje okazać mogła, dzień zwycięstwa *Sobieskiego* pod Wiedniem uroczyście w każdej szkole narodu obchodzić przykazujący, ażeby młodzież słuchając pochwał tego wielkiego męża, brać mogła z niego przykłady obywatelskie, i uczyć się téy miłości oyczyzny swojej, bez której wszystkie insze nauki próżnemi stałyby się w Rzeczypospolitéy.

Polacy! Młodzi szlachetna! potrzeba koniecznie kochać oyczyznę swoją! . . . Nie masz tu śródka Mości Panowie; obywatelem z was każdy, albo nieprzyjacielem oyczyzny jest; bo w tém sama oziębłość zbrodnią! Ani wiekiem waszym młodym wymawiać się możecie: wypełniając to naypilniey, czego po was nauczyciele żądają, i myśląc o tém, jakbyście narodowi swojemu w czasie byli nayzdawnieyszymi; oto już tém samém obywatelami jesteście. Annibal, dziecięciem jeszcze przysięga na szablę Bogom nieśmiertelnym, że nieprzyjaciół oyczyzny swojej będzie do śmierci nieprzyjacielem, i naywiększe potém utrudzenia słodkie mu były dotrzymując téy przysięgi. Czyliż nie mamy pobudek dbania o oyczyznę ze stanu naszego nieszczęśliwego? i z przykładów sławnych mężów w narodzie naszym? Ta to sama ziemia jest, na której kiedyś wielcy ludzie rodzili się! Te to są częste po polach

naszych mogiły, gdzie polegli dla oyczyzny bracia nasi, zdają nam z grobów swoich gnusność terazniejszą wymawiać! Jeszcze chodzinny pomiędzy też same ściany, jeszcze prawie nie zatarły się ślady nog wielkiego *Sobieskiego*, i po drogach naszych stoją drzewa czasów jego rowienniki! Wszystko na nas zdaje się wołać, i wszystko nas napomina.

Kiedy wam oycowie wasi pierwszy raz do boku broń przypasowali, (coby się nigdy płochu robić nie powinno), czyliż rozumiecie, że to dla próżnego jakiego poważenia was, albo marnéj zabawki waszég zrobiono? Obchódto był uroczysty ślubu oyczyzny waszég z wami. Oddając w ręce wasze żelazo, które tylko w inszy kształt przerobione dała wieśniakom, żądała zaraz, ażebyście nim bronili całości jég, jak tamci, ażeby roli, któraby wszystkich żywiła, pilnowali. — Te święte między oyczyzną i dziećmi swojemi zakłady, ponieważ każdego obywatela są powołaniem; dlatego stoycie czuyni na poczcie swoim, aby, jeżeli nieprzyjaciół napać nie, śpiących was kiedy nie zastał; i jeżeliby ginać przyszło, przynajmniey chwalebnie poginiecie.

Ale, kochając oyczyznę swoją, kochać wam trzeba razem i religią, bo już to tysiącnym dowiadczono przykładem, że tam gdzie te dwie ważne twierdze miłości oyczyzny i wiary stoją, nieprzyjaciół z téj strony napać nie może.

Ale, przez względy na tę oycyznę waszą, zbytku niepohamowanego, za którego śladem wszystko złe idzie, chronić się przynależy, bo ten fałszywy przyjaciel, który przychodzi uśmiechając się, a porzuca zdradziwszy, tém bardziey nas nieczulemi na wszystko robi, im więcéy wygody i spokoyności szukać zdaje się, ażeby tém łatwiey państwa zamożne razem z pozorem ich szczęśliwości obalał.

Proste oyców naszych zagrody! błahe i nikczemne w porównaniu z wiekiem dzisieyszym pomieszkania! Wy przy wolności słodkiej nie zazdrościłyście zapewne wspaniałym gmachom, w których się gnieździ pycha niewolnicza! i mając za sprzęt cały, puklerz, przyłbicę, tarczę i szablę: a za mieszkańców; Polaka szarodawną rzetelność, wierność Bogu, królowi i oycyznie dotrzymującego, jakże nierównie byłyście od dzisieyszych kosztowniejsze, cnoty tylko i żelaza posiadaniem! A wy! Duchy przodków naszych świątobliwe! jeżeli z wysokości szczęścia, w którym przebywacie, patrzeć wam na nas pozwolono; jakże potomki wasze odmienione widzicie? Spuście oczy na dół Mości Panowie, i zawstyďte się przed obliczem oyców waszych, bo patrzą zapewne na was!... O jakże dla nich, (gdyby się smucić mogli), widok żałosny! Pod losem zawistnym, który nas niezbytym ciężarem przygniótł, a do którego zadawnioną

chorobą, aż nadto byliśmy przygotowani, ani my upadać, ani my stęknąć nie umieli; bo nie ręka nasza, nie język, a nadewszystko nie serce nasze, przodków odwadze i miłości oyczyzny podobne.

W pośrzedku żalu tak sprawiedliwego, który zapewne nierównie więcéy i naywyższe dotyka serce, oddaymy dzięki nieskończone panującemu nam Monarsze, że w powszechném narodu nieszczęściu, co tylko mógł uratować, na to całą siłę swoją obrócił. Wprowadzając do kraju wykonywanie sprawiedliwości, przyłączył do niey i ćwiczenie nayprzyzwoitsze Młodzieży Polskiej, że duchem jego tchnąca Kommissya narodu Edukacyyna, prócz inszych starań naypotrzebniejszych, oto i teraz przez nakazany obchód pamiątki *Sobieskiego*, w sercach Młodzieży obywatelstwo zaszczepiać pragnie, i tę nadzieję lepszego losu, którą nam jeszcze i nie-sworność nasza wydzierać zdaje się, nayopatrzniey powrócić usiłuje.

Zróbcie więcéy Mości Panowie, proście ojców waszych, i sami z niemi razem obścapię tron dobrego króla: On chociaż wysoko siedzi, ale myśl jego jest między wami, ale zbiegnąć mu do was naymiléy, ażeby jak oyciec chcących ratunku dźwignął. Mówcie mu, że przodkowie wasi dlatego tak potężnemi byli nieprzy-

jaciołom swoim, że kochając miłą oyczyznę, jak dawniejszych czasów nauka wojenna była; takiey od dzieciństwa zaraz synów swoich nau-
czali, żeby potém w przygodzie zawołany każdy obywatel, bronić oyczyzny umiał. Proście go, niech i teraz do szkół naypożyteczniej rozporządzonych, jedną jeszcze klasę stara się przydać, gdzieby przynajmniey na kilkunastu w narodzie mieyscach sztuki żołnierskiej z powołania uczono; przez którąby szkołę obywatel każdy, i człowiek pospolity przechodzić musiał. A tak przez wprowadzone nauki insze, założywszy już w kraju naszym Ateny, będzie razem i Spartę widział, gdy każdy z was stanie się sposobniejszym do naśladowania przykładów wielkich ludzi w narodzie naszym.

K O N I E C M O W Y.

PRZYWILEY
JANA KAZIMIERZA
KRÓLA POLSKIEGO.

SZCZEPANOWI
CZARNIECKIEMU
NA
STAROSTWO TYKOCINSKIE
DANY,
z Łacińskiego przetłumaczony.

JOANNES CASIMIRUS Dei gratia Rex Poloniae
 Magnus Dux Lituaniae, Russiae, Prussiae
 Masoviae, Samogitiae, Livoniae, Smolensciae, Czerniechoviaequae. Nec non Suecorum, Gothorum, Vandalorumque haereditarius Rex.

Significamus praesentibus Literis Nostris, quorum interest, universis et singulis, praesentibus et futuri aevi hominibus. Majestatis nostrae Non pudeat, nisi Magnifici Stephani in Czarnka Czarniecki, Palatini terrarum Russiae, totius Europae fama conclamatas virtutes, haereditario testimonio gratiae nostrae consignaremus. Nihil magnum in armis aetate nostra sine Czarnieccio, et si quid bello, vel in laborem, vel in consilium opportunius, ejus opera tam in promptu, quam in pretio.

Quae non mirabitur aetas tam expeditum in implicitis animum? in arduis facilem? in periculis non magis fortem, quam providum? Rebus perditus unica salus debebatur; Numinum providentia datus est Stephanus. Effusa per tot Regni

JAN KAZIMIERZ z Bożęj łaski Król Polski, wielki Xiążę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Zmudzki, Inflantski, Smoleński i Czarniechowski: Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny Król.

Dajemy znać tym przywilejem naszym wszystkim i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć należy; terażniejszego i następnych wieków ludziom. Wstydby nam było majestatu naszego, gdybyśmy Wielmożnego Szczepana na Czarnkach Czarnieckiego ziem Ruskich Wojewody dzieła, całej Europy sławą ogłoszone, dziedziczném łaski naszęj świadectwem nie oznaczyli. Nle wielkiego w boju wieków naszych bez Czarnieckiego nie stało się, i jeżeli pod czas upału wojny, albo gdzie trudu, albo gdzie rady potrzeba było, on się i nayıpiérwszy i znamienicie stawił.

Któreż wieki dziwić się nie będą nad jego w rozwiązywaniu rzeczy zawikłanych sprawnością? łatwością w trudnych? w niebezpieczeństwach nie tylko męztwem, ale i przezornością? Rzeczom zewsząd zgubionym jeden już tylko zostawał ratunek;

nostri provincias faedissima calamitatum illuvies, religiones pollutae; pretiosa quaeque direpta; munitissima asyla Regni capta aut diruta: Ipsi nos fide civium destituti, ingenui in servitutem abacti; miserrimae ubique strages: diu nulli ad obsistendum virtus, donec Czarnieciana fortitudo supra opinionem emicuit. Optabant omnes ea tempestate virum, qui statum Reipublicae in varia discissum, in pristinum resarciret, qui spem in desperatis casibus erigeret, qui corruptam et refractariam militiam severiori disciplinae restitueret, qui labantis regni dignitatem stabiliret. Haec omnia a Czarnieccio exacte impleri, ipsi nos tantorum votorum compotes, admiramur.

Eo siquidem Cive Respublica pro tempore indigebat, qui suis vulneribus tantis Patriae vulneribus mederetur. In illo tumultuantis secum Poloniae freto, ubi multorum fides, integritas, virtus, naufragio praecipites, gloria Czarnieccii portum invenit. Non temeritate fortunae, sed consiliis aeternis in altum provectus, ipse sibi, aspirante Deo, fortuna, et ipse virtus; telluris feracis instar, quae non solum benigna

i z daru nieba dany był Szczepan. Rozpostarty nie tylko obszernie; ale i bez odporu, po tylu królestwa naszego prowincyach, okropnych nieszczęśliwości wylew; zmazana wiara, wydarte bogactwa kraju, najmocniejsze królestwa uchrony wzięte; albo zniszczone; my sami opuszczeni od obywateli, słabi, i prawie do niewoli przyprowadzeni: między tak okropnemi zewsząd klęskami, długo nikogo, któryby się mógł oprzeć, nie widać było; póki się męstwo Czarnieckiego nad *mniemanie* wszystkich nie okazało. W pośrodku takiej niepogody, żądali wszyscy człowieka, któryby stan Rzeczypospolitej na wiele części zdarty połączył, któryby nadzieje rzeczy upadłych podniósł, któryby zepsute i niecierpiące podległości żołnierstwo do ściślejszej karności powrócił, któryby upadającego królestwa chwałę podźwignął. To wszystko kiedy Czarniecki doskonale wypełnia; nam samym, już tych wielkich nadziei skutki widzącym, sprawuje zadziwienie.

Takiego albowiem obywatela Rzeczypospolitej na ten czas trzeba było, któryby ranami swojemi rany oyczyzny goił. W tej cieśninie biedzącego się z sobą narodu, gdzie wielu wiara i cnota pogrążona zatoneła, port bezpieczny sława Czarnieckiego znalazła. Nie zuchwałością fortuny ślepej, ale wiecznej rady wskazaniem podniesiony do góry, on sam sobie za natchnieniem bożem i cnotą był szczęśliwością; podobny do bujnej ziemi, która nie

Caeli temperie, sed innata glebae ubertate efflorescit. Bellicae virtutes, quae ubi gentium vigeant, Polonia extorres in eum confluxere; omnia tamen temperate a nostra gratia postulavit, ut nec nimium sui oblivisceretur, nec ultra modum meminisset. Nefas illi negare, quod dedit omnibus, capiti nostro Coronam, Regnum Ordinibus, Patriam Civibus, Cives Urbibus, Urbes Provinciis, Provincias Regno et Magno Ducatui Litvaniae reddidit. Tot variantis fortunae vicissitudinibus, veluti fatorum probris, proculcatam gentis utriusque famam summa gloria restituit.

*Coguntur gentes externae praedicare sub ejus vexillis militantem fortunam; invidentes Poloniae, quod Stephanum genuerit. Praeprospera felicitate tumentem Regem, capiti nostro infensum, mira celeritate armorum, infelicem, totique Christiano orbi infamem ejus fortunam effecit. Ambitionem Transilvanam montes Carpatios progressam, ac Provinciis Regni insultantem, solotenus dejecit. Moschum, ipsa sua barbarie validum et ferocem, maximis cladibus domuit, et vinci docuit sui impotentem tyrannum. Cum ultra fines patrios victoriis proventus aequo-
ta et insulas suo nomine nobilitaret, tam fortiter apud remotissimos Cimbro, quam domi pro-*

tylko łaskawem nieba polecieć, ale i wrodzoną sobie płodnością kwitnie. Umiejętność wojskowego rzemiosła w inszych narodach kwitnąca, z Polski wygnana, w nim tylko jednym pozostała; przecież wszystkiego z umiarkowaniem od naszey łaski dopraszał się, ażeby, ani ze wszystkim o sobie zapomniał, ani zbytecznie pamiętał. niesprawiedliwość byłaby nie dać mu tego, co on dał wszystkim; głowie naszey koronę, królestwo stanom, oyczyznę obywatelom, mieszkańców *miastom*; miasta prowincyom, prowincye królestwu i W. X. Litewskiemu powrócić. Tak wielą niestateczney fortuny odmianami, niby złego losu uciskiem, przygniecioną oboygą narodów sławę podźwignął.

Obce krainy przymuszone były wysławiać pod znakami jego bojującą fortunę; zazdrosne Polszce, że urodziła Szczepana. Gwałtowną szczęśliwością króla nadętego, a głównego naszego nieprzyjaciela, dziwną prędkością wojowania nieszczęśliwym, i całemu chrześciańskiemu światu niesławnym uczynił. Wyniosłego Siedmiogrodzianina, że przeysć Karpackie góry, i prowincyom królestwa grozić ważył się; aż za jego góry wyrzucił. Moskwicina, samą swoją dzikością potężnego, wielą klęskami poskromił, i niewładnącego sobą tyrana, co to jest być zwyciężonym, nauczył. Kiedy aż za granice oyczyste zwycięztwami zaniesiony; morza i wysp imieniem swoim usłachcał, tak szczęśliwie u Cym-

Patria bella gessit: exiguisque viribus ingentes exercitus aut fudit, aut repulit. Mutari illi unum, etiam mutante belli alea, potuit nunquam.

Non posteritati tantum laudum materies erit Czarniecius; priscae Antiquitati negotium suo nomine facesset, ex quo majorum suorum intaminata nobilitas, non incrementum modo, sed etiam originem posset ducere. Diu superstitem benedictione nostra Regia servant superi in amplam nepotum sobolem, quorum ex eadem radice fides in Principem, et ausus adolescat in hostem.

Quo itaque vindice Respublica pene patrio pulsa solo nuper suas haereditates recepit; huic Tykocinum gratiae nostrae memoriale aeternum, de concordia, et unanimi Ordinum Reipublicae ad comitia generalia protunc celebrata congregatorum consensu, inhaerendo eorundem Comitiorum constitutioni, in haraeditatem locamus et donamus, Juri terrestri incorporamus, a regali totaliter alienamus, et transferimus, absoluta et plenaria comitali potestate; nihil nobis successoribusque nostris Serenissimis juris ad eadem bona tanquam jam terrestria relinquentes. Quae ab hic eo nomine, titulo, ac immunitate, cum omnibus ejusdem hactenus tenutae nostrae Tykoci-

brów odległych, jak w domu dla oyczyzny wojując; małą garstką swoich woysko niezmierne, albo rozpraszał, albo odpędzał: umysłu na wszystko przygotowanego, chociażby mu kiedy los wojenny odmienił się, nigdy nie odmieniając.

Nie saméy tylko potomności zadziwieniem i chwałą będzie Czarniecki; dawna nawet starożytność nim zatrudni się, gdzie przodków jego niezmazana szlachetność, nie tylko od niego wzrost swój, ale i początki mogłaby ciągnąć. Niechay go Bóg z błogosławieństwa naszego królewskiego w wielkie rozrodzi pokolenie, w którémby jako z tego szczepu pochodzącym, wiara dla królów, i śmiałość dla nieprzyjaciół wzrastała.

Za którego więc powodem Rzeczpospolita, prawie ze swojego wypędzona siedliska, niedawno swoje dziedzictwa odzyskała, temu Tykocin łask naszych pamiątkę wieczną, z jednostaynéy Stanów Rzeczypospolitéy na seym na tenczas zgromadzonych zgody, przychylając się do tegoż seymu konstytucyi, na wieczność oddajemy i darujemy; do praw ziemskich przyłączamy, od królewskich ze wszystkiem oddzielając, i przenosząc tą powszechną i zupełną seymową władzą; nic sobie i najjaśniejszym następcom naszym prawa do tychże dóbr, jak i już ziemskich, nie zostawując. Które odtąd tem imieniem, tytułem i przywilejem, że wszystkimi teyże do tych czas dzierżawy naszéy Tykocińskiej

nensis, villis, praediis, pagis, nominatim cum ipsa civitate Tykocinensi, villis Bierki Łopuchowo, Stelmachów, Broniszowo, Lipnik, Siekierki, Saniki, Złotorya, Suwino, Młynary, Białystok, Starosielce, Bojarze, Wysokistok, Bojarze ad fluvium Supraśl dictum, Zawadów, Dolistaw, Radzie, Smogorowka, Trzciano, na Cmentarzu Brzeziny, Jeżowo, Leśniki, Pajewo cum villis numero tredecem, dictis: Zakontki, Marusy, Mazury etc. nuncupatis, ac in genere universis attinentiis et pertinentiis, nullis omnino exceptis, ipse memoratus Magnificus Stephanus Czarniecki Palatinus Russiae ac Successores ejus tenebunt, habebunt et possidebunt; iisque bonis secundum suum beneplacitum plenarie disponent in perpetuum.

Reliquum, quod merita Czarnieccii nunquam immoritura olim desiderent, sera posteritas re-
pendet. Nos, non virtuti tantum Stephani, sed gloriae nostrae data gratia consulere volumus: Ut omnes ad ardua instimulati decernant, virtutem potius, quam inertiam sectandam, et fortissimus quisque suae posthac fortunae patronam Czarnieccii virtutem designet. Pro majori rei praesentis perpetuae firmitate ac stabilimento, se clariori benefici animi nostri in praenominatum Magnificum Palatinum Russiae documento, loque perenni, praesens diploma manu nostra

kolwarkami, wsiami, wioskami; wyraźniej zaś: z samém miastem Tykocinem, i wsiami: Bierki, Łopuchowo, Stelmachów, Broniszowo, Lipniki, Siekierki, Saniki, Złotorya, Sawino, Młynary, Białystok, Starosielce, Bojarze, Wysokistok, Bojarze nad rzeką Supraśl, Zawady, Dolistaw, Radzie, Radule, Smogorówka, Trzciano, na Cmentarzu Brzeziny, Jeżewo, Leśniki, Palewo ze wsiami trzynastą nazwanemi Zakontki, Marusy, Mazury i t. d. i w powszechności ze wszystkiemi przyległościami, nie nie wyłączając, sam wspomniony Wielmożny Szczepan Czarniecki Wojewoda Ruski, i następcy jego będą trzymać i posiadać, temiż dobrami według upodobania swego wieczyście rozrządzając.

Resztę zaś, co do nagrody nieśmiertelnych zasług Czarnieckiego jeszcze nie dostaje, pózna mu potomność wypłacać się będzie. My wyświadczać mu łaskę, nie tylko zasługom jego, ale i sławie naszej zaradzić chcieliśmy; ażeby wszyscy, do dźwigania ciężarów oyczyzny biorący się, poznali, jak piękna jest drogami cnoty, nie zaś gnusności postępować, i odtąd jak z mężnych obywatelów każdy szczęście Czarnieckiego za wzór dla siebie obrać ma. Dla większój dzieła tego wieczystego waleczności i siły; czyli dla jaśniejszego, a tego nieśmiertelnego błaski naszej dla wspomnionego Wojewody Ruskiego

subscriptum, sigillo Majestatis nostrae insignitum dedimus. Varsoviae, im comitiis generalibus Regni, die decima tertia mensis Junii anni Domini millesimo sexcentesimo sexagesimo primo, Regnorum nostrorum Poloniae, decimo tertio, Sveciae vero decimo quarto anno.

Joannes Casimirus Rex.

dowodu, ten przywilej ręką naszą podpisany, pieczęcią majestatu naszego stwierdzić kazaliśmy, Warszawie na Seymie narodu, dnia trzynastego miesiąca Czerwca, roku pańskiego tysięcznego sześćsetnego sześćdziesiątego pierwszego; królestw naszych: Polskiego trzynastego, Szwedzkiego czterdziestego nastego roku.

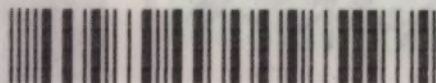
Jan Kazimierz Król.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

4991/III S



001-004991-03-0

ZBIORY ŚLĄSKIE